

ZBIORY ŚRODKA KARTA

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 5/512** **1990**



WYDAWCA
ILLP

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. KACZMAREK: **NOSTALGIA I SKUTECZ-
NOŚĆ POLITYCZNA**

J. PAWŁOWSKI: **PULAPKA GEOPOLITYKI**

L. UNGER: **ALE KINO...**

A.M. PEDZIWOŁ: **O UKRYTYCH MILIONACH...
ROZMOWA Z JÓZEFEM PINIOREM**

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek:	<i>Nostalgia i skuteczność polityczna</i>	3
Janusz Pawłowski:	<i>Pulapka geopolityki</i>	10
Andrzej Krzeczunowicz:	<i>Trzecia droga — jej zalety i wady</i> . . .	15
Zenowicz:	<i>Wrażenia naukawca z Moskwy</i>	20
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dżuma w Neapolu. Relacja o stanie wyjątkowym</i>	22
WIERSZE		
Maciej Strzembosz:	<i>Z Symonidesa</i>	40
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli (Ale kino...)</i>	41
Tadeusz Kontek:	<i>Pytania pod adresem p. Simonsa</i>	53
WYWIADY KULTURY		
Monika Agopsowicz i Manana Chyb:	<i>Wielonarodowość — słabość czy bo- gactwo? (Rozmowa z Irakliem Sze- ngelajem)</i>	56
A.M. Pedziwoł:	<i>O ukrytych milionach, trzeciej drodze, nadziei i entuzjazmie (Rozmowa z Józefem Piniorem)</i>	64
KRAJ		
Porozumienie Ponad Podziałami:	<i>W sprawie polityki gospodarczej rządu</i>	71
Sławomir Magala:	<i>Niestety nienowe</i>	74
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Sprawozdanie Funduszu Pomocy Nieza- leżnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1987—1989</i>	77
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	79
Józef Darski:	<i>Kronika litewska, białoruska i ukraińska</i>	84
Grzegorz Ziętkiewicz:	<i>Kronika niemiecka</i>	91
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Dobosz:	<i>O czytaniu listów</i>	96
Leszek Szaruga:	<i>Martwica</i>	108
CI, CO ODESZLI		
Janina Katz Hewetson:	<i>Kornel Filipowicz — pożegnanie</i>	114
Bogdan Rogatko:	<i>Andrzej Banach: właściciel realności (1910-1990)</i>	117
KSIĄŻKI		
Stanisław Bieniasz:	<i>„Ogromna strata”</i>	121
Regina Wasiak Taylor:	<i>„Cud nad Tamizą”</i>	129
Benedykt Heydenkorn:	<i>Polacy w Brytyjskiej Kolumbii</i>	131
Józef Lewandowski:	<i>Recenzja bez adresata</i>	133
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	137
—	<i>Instytut Literacki w Kraju (uzupeł- nienia)</i>	139

(Ciąg dalszy na stronie 160)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1990

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Wiesław K. Brodowski, Spartanburg, SC (USA) — zamiast kwiatów na grób Brata, 15-letniego Grzegorza, zabitego w grudniu 1970 r. Dol. US 50,00	F. 280,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna w 9-tą rocznicę Jego śmierci — Żona i Syn z rodziną (Manchester — Londyn, W. Brytania)	F. 350,00
F. H. (USA), po raz 24-ty — Dol. US 13,00	F. 73,00
Alfred Jesion, Stockholm — dla uczczenia pamięci Matki, Aleksandry Melbechowskiej, zmarłej 5 marca 1990 r. — Krs 300,00	F. 285,00
Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) — dla uczczenia pamięci Żony, Alicji Kotlickiej, w drugą rocznicę Jej śmierci	F. 200,00
Elżbieta i Janusz Majewscy, Reading, PA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Bronisława Sadnickiego, profesora La Salle University w Filadelfii — Dol. US 50,00	F. 280,00
Nagroda Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych (<i>Bayerische Akademie der Schönen Künste</i>) w Monachium dla red. Jerzego Giedroycia i <i>Kultury (Internationaler Exilpreis 1989)</i>	F. 42.030,00
Pamięci Helenki Weynerowskiej-Dragan — H.K.W., San Francisco, CA (USA) — Dol. US 25,00	F. 140,00
Waroczewski A., Etobicoke, ON (Kanada), po raz 25-ty — Dol.c. 60,00	F. 282,00
W dziewiątą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — Syn, Synowa i Wnuczka z Paryża	F. 150,00
Lucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 25-ty — Dol. US 422,00 (dar wpłynął w końcu grudnia 89 r. — przepraszamy za opóźnienie w jego odnotowaniu — Red.)	F. 2.363,00
Zamiast kwiatów na grób prof. Klemensa Szaniawskiego — Helena Eilstein, Albuquerque, NM (USA) — Dol. US 20,00	F. 112,00
•	
Wł. Kaplan, Sollentuna (Szwecja) — na apel Andrzeja Vincenza dla Liceum Ukraińskiego w Legnicy — Krs 100,00	F. 95,00

Informujemy, że Instytut Literacki posiada
Telefax nr 33 i 39-62-57-52

Nostalgia i skuteczność polityczna

Rozpad imperium nagle ożywił z lekka uśpione mechanizmy polityczne w świecie. Polityka, na Wschodzie zdominowana przez ideologię i aparat przemocy, a na Zachodzie zdystansowana przez dynamikę zespołu gospodarczo-finansowego, na nowo staje się instrumentem wyznaczania międzynarodowego porządku. Problem polega jednak na tym, że władzom politycznym brak dziś środków i determinacji na miarę kryzysów wstrząsających światem. Zachód nie ma wizji ogólnej, osi, która pozwoliłaby organizować zbiorowy wysiłek wokół celów przekraczających perspektywę doraźnych potrzeb. Ex-komunistyczny Wschód z kolei przybywa na światowe forum polityki nie tylko bez atutów, ale w ogóle z niewłaściwymi kartami. Wizje wschodnich polityków, zagubione w lokalnej mizerii i mistycznym historyzmie, opóźniają albo wręcz uniemożliwiają sprzężenie woli obu światów dla podjęcia próby przezwyciężenia bezradności u schyłku epoki złudzeń — industrialnych u jednych, ideologicznych u drugich. Na wschodniej szachownicy politycznej zaściankowością wyróżniają się działacze polscy, co z uwagi na znaczenie Polski w tym rejonie Europy skutecznie wpływa na trwałość zasadniczego impasu w stosunkach między obiema częściami kontynentu i skazuje gospodarkę Polski na stan trwałego upadku. Głęboka nieznajomość świata, do którego drzwi pukają nowi władcy kraju, oraz niejasność celów, z jakimi przychodzą, nadają ich polityce piętno nostalgii i nieskuteczności.

Coraz większą rolę w świecie odgrywają ponadnarodowe zgrupowania gospodarcze. Ich skuteczne wejście na teren Polski uzależnione jest od szeregu czynników, wśród których niebagatelną rolę odgrywają uwarunkowania kulturowe w naszym kraju.

Niewiedza Polaków o świecie, wiara we własną wyższość duchową, a niekiedy objawy hysterii, jak rozwijana w środowisku *Gazety Wyborczej* zdumiewająca koncepcja zagrożenia niemieckiego, prowadzą do zbiorowej reakcji nieufności pod adresem kapitału zachodniego, zwłaszcza niemieckiego, gotowego do podboju Polski.

Koniecznością wielkich firm jest rozwój. To ich zyski tworzą nowe miejsca pracy przez reinwestycję kapitału, ich strategia zdobywania nowych rynków bez ograniczeń geograficznych prowadzi do lokowania wytwórni w pobliżu tych rynków. Po krachu giełdowym w 1987 roku tendencją wielkich grup, zwłaszcza azjatyckich, jest przekazywanie samodzielności finansowej zagranicznym oddziałom. Z kolei transfer samodzielności technologicznej filiom, które zwykle startują z poziomu wytwórni montażowych, uzależniony jest całkowicie od dynamiki lokalnego rynku oraz od rozwoju zawodowego pracowników. Sztaby wielkich grup są coraz bardziej zainteresowane, żeby na terenie, na którym ulokowany jest ich oddział, rosło spożycie ich produktów oraz by personel oddziału podnosił swoje kwalifikacje: są to mianowicie warunki przetrwania przedsiębiorstwa.

Tylko wielkie grupy dysponują wystarczającymi funduszami oraz pełną mocą synergiczną dla gigantycznych inwestycji koniecznych w Polsce. Jest zatem rzeczą pierwszorzędną wagi opracowanie dynamicznej polityki pod ich adresem.

Zilustrujmy to na przykładzie sektora samochodowego. Jak dotąd prowadzone są jedynie zabiegi licencyjne lub drobne układy typu *joint ventures*. Wobec braku gotówki ze strony polskiej tego rodzaju układy muszą mieć zakres ograniczony. Proponuję porzucenie rozwiązań licencyjnych i rozpoczęcie starań o przekształcenie zakładów polskich na filie przedsiębiorstw zagranicznych. Adresatem takich ofert są wielkie grupy, natomiast aspekt polityczny obejmuje np. przystąpienie do europejskiego obszaru ochrony celnej i kwotowej. Wewnętrzne sprzeczności pomiędzy sojusznikami pozostawiają tu spore pole manewru. Jedni są bowiem za natychmiastowym otwarciem rynku europejskiego dla wozów japońskich, inni wolą dłuższy okres adaptacyjny. Za otwarciem są Anglicy, których przemysł spenetrowany jest przez dynamiczny i pewny siebie kapitał amerykański, a także Niemcy, których wozy klasy luksusowej dobrze sprzedają się już teraz w Japonii. Przeciwno natychmiastowemu otwarciu wypowiadają się Francuzi i Hiszpanie, potrzebujący pewnego czasu na okrzepnięcie. Renault na przykład poszukał wzmocnienia przez fuzję ze szwedzkim Volvo: dlaczego nie zaproponować mu hal fabrycznych na Żeraniu dla zainstalowania tam montowni?

W każdym razie dziś konieczne jest poznanie mechanizmów

międzynarodowego rynku i nabranie obyczaju przygotowywania *dossiers* nie tylko politycznych, lecz także posiadających mocną podbudowę technologiczną.

Tymczasem realne zainteresowanie Polską zarówno ze strony wielkich grup, jak i małych i średnich firm rozwojowych uzależnione jest od rozwoju sytuacji w naszym kraju.

PORZUCIĆ POLITYKĘ RECESJI

Środki wprowadzone przez rząd Mazowieckiego mają charakter przede wszystkim obronny. Przymusowa wymiana zysków dewizowych, wysokie cła i podatki, drogi kredyt, blokada zarobków — to program na odstraszenie kapitału zachodniego oraz zduszenie przedsiębiorczości Polaków i ich motywacji do pracy. Program Balcerowicza to skrupulatne przestrzeganie zaleceń MFW za cenę przyhamowania dynamiki gospodarczej. Zalecenia te były zupełnie poza wszelką konkurencją, gdy chodzi o preferencje rządu, ponieważ stanowiły one warunek manewrów kredytowych, a przecież cała zachodnia polityka polskich działaczy w ciągu ostatniego roku sprowadziła się do prostych zabiegów o dary i pożyczki.

Obrona i stabilność za wszelką cenę charakteryzują styl pracy większości ministerstw. W dziedzinie inwestycji i restrukturalizacji gospodarki licencje, akcjonariat pracowniczy i samorząd skutecznie wykończą przemysł, dla którego nie widzą innej szansy znalezienia operacyjnych funduszy poza sprzedażą jego części na montownie grup zagranicznych. W dziedzinie prawa pracy wysiłek resortu skoncentrowany jest na tworzeniu odruchów solidarności i sprawiedliwości społecznej, z całkowitym zaniedbaniem dotkliwej konieczności liberalizacji prawa pracy dla ożywienia lokalnej przedsiębiorczości i zachęcenia inwestorów zachodnich. W polityce zagranicznej wspólny front rządu, generalicji KOK-u i środowiska *Gazety Wyborczej*, rozpowszechnianej już także w wydaniu angielskim, wskrzesza koncepcję obrony porządku jałtańskiego, w ramach którego obecność wojsk sowieckich w Polsce stanowić by miała argument przetargowy w stosunku do Niemiec.

Odnosi się zresztą wrażenie, że stabilne, by nie rzec znieruchomiłe opcje rządu to nie wybór rzeczowy, ale następstwo oczadzenia politycznego, kiedy nikt nie myśli o robocie, a wszyscy o kularowych debatach.

Warunkiem powodzenia polskiej rewolucji jest zdynamizowanie zmian we wszystkich dziedzinach. Ewolucyjne, drobne posunięcia, polegające na stopniowej wymianie poszczególnych kółeczek w mechanizmach gospodarczych i społecznych, mogą

doprowadzić do sytuacji, gdy po wymianie wszystkich kółeczek okaże się, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło: kółeczka dostosowały się do mechanizmu.

Dotyczy to również spraw personalnych. W szczególności powinien powstać nowy rząd, pozbawiony obciążeń koalicyjnych i świadomy zasad funkcjonowania nowoczesnej administracji. Być może nie jest konieczna wymiana wszystkich ministrów, ale na pewno ministrów starego portfela, a w szczególności wianuszka komunistycznych wiceministrów, otaczających kierowników wielu resortów. Dotyczy to również obsady niższego szczebla, gdzie liczne rzesze niesprawnych biurokratów i stenotypistek powinny ustąpić odmłodzonej i dynamicznej kadrze fachowców. Jeśli ministrowie nie dysponują własną ekipą, powinni zastosować fachowe metody naboru metodycznego: poprzez konkursy, testy, wyspecjalizowane gabinety kadrowe.

Nowy rząd z inicjatywy energicznego premiera powinien najpierw opracować ogólną wizję przemian w Polsce. Głównym ich elementem będzie dynamiczna wizja gospodarki, wkomponowana w porządek światowej gospodarki intensywnej oraz prowadząca do nowego układu monetarnego jako czynnika przełamania impasu kredytowego. W ramach ogólnej wizji zarysowany będzie wewnętrzny program gospodarczy, oparty nie o recesję, ale przeciwie — o rozwój. Należy uruchomić wszystkie środki motywacyjne dla ruchu kapitału i pracowitości ludzi. Powinien być zapewniony transfer zysków dewizowych przez granice i praktyczna wolność handlu zagranicznego. Korzystny jest niski kurs złotego, ustalony przez Balcerowicza, ale trzeba uniknąć jednego z dwóch możliwych niebezpieczeństw: popłynięcia dolara w górę albo spadku cen detalicznych. Te ostatnie osiągnęły w niektórych wypadkach poziom światowy — i powinny go utrzymać, natomiast rosnać muszą płace.

Działania rządu, a ściślej ministerstwa finansów, powinny iść w kierunku utrzymania dynamicznej równowagi rozwoju. Innymi słowy trzeba tak prowadzić politykę, by wzrost płac nie przekraczał wzrostu wydajności, a wzrost spożycia w gospodarstwach domowych nie był większy niż rozwój produkcji przemysłowej. Utrzymanie w korbach inflacji związanej z rozwojem gospodarczym będzie przedmiotem precyzyjnie ustalanych porozumień płacowych. Duża rola przypadłaby tu Solidarności, pod warunkiem powszechnego przestawienia się związku na rzeczowy tryb pracy, oparty o integralne opracowania, ankiety, analizy społeczne i gospodarcze — zarówno w przekroju krajowym, jak międzynarodowym.

Ewentualne objawy nadmiernego przegrzania gospodarki regulować można poziomem stopy procentowej. Rozwój inwestycji w postaci montowni oddziałów firm zagranicznych spowo-

duże ujemny bilans handlowy; na jego częściowe pokrycie można się odwołać do społeczeństwa poprzez np. pożyczki wewnętrzne finansowane wzrostem płac. W trudnych chwilach nie do odrzucenia byłaby przymusowa oszczędność, ale zasada wzrostu płac według wzrostu wydajności — stymulator tej wydajności — musi być utrzymana.

Resort przemysłu musiałby się przekształcić w rodzaj japońskiego MITI, prowadzącego świadomą politykę intensyfikacji gospodarki zarówno w kraju, jak i za granicą. Na zewnątrz ministerstwo pracuje wówczas przez raporty analityczne i prognozujące oraz spójne i dynamiczne negocjacje. Polityka zagraniczna resortu jest środkiem do nadrzędnego celu: niemal całkowitej wymiany ekwipunku przemysłowego w Polsce poprzez wyprzedaż dużej części majątku spółkom zachodnim oraz sprzyjanie rozwojowi wielkich grup krajowych.

W takim planie rolą ministra staje się popieranie rozwoju wielkich prywatnych grup krajowych oraz zachęcanie do przekształceń zakładów na filie przedsiębiorstw zagranicznych, prowadzenie polityki oszczędności energii poprzez inicjowanie podwyżek cen paliw i elektryczności, zamykanie zakładów trujących, tworzenie systemu, w którym przedsiębiorstwa niedochodowe muszą upaść, wpływanie na rządową politykę tworzenia nowych miejsc pracy w usługach, przedsiębiorstwach rodzinnych, a przede wszystkim — powtórzmy — w wielkich montowniach o kapitale zachodnim. Praca ministerstwa wewnątrz opiera się o ścisłą łączność z kluczowymi resortami: finansów, polityki zagranicznej i pracy. Jej przedmiotem są inicjatywy ustawodawcze, przygotowywanie procedur prywatyzacji przedsiębiorstw, weryfikacja kadry dyrektorskiej sektora państwowego, uporządkowanie trybu kontaktów między firmami krajowymi i zagranicznymi poprzez wydawanie syntetycznych przeglądów poszczególnych sektorów, wreszcie regularne raporty podawane do publicznej wiadomości o tendencjach światowych i rozwoju sytuacji w kraju.

Oznaczałoby to odejście od polityki licencji, sprawiedliwego akcjonariatu pracowniczego, rozwoju samorządu, od biurokratycznego zneruchomienia, najogólniej mówiąc. Tym sposobem ministerstwo przemysłu będzie głównym, obok finansów, motorem bieżących przemian i przygotowuje teren pod strategiczną wizję nowego modelu technologicznego gospodarki kraju na przyszłe stulecie.

Konieczność zdynamizowania pracy dotyczy wszystkich resortów, w tym ministerstwa pracy. Gdy chodzi o ochronę interesów pracowników, to podstawowy nacisk położyć trzeba na rozwój mechanizmu finansowania, raczej niż podziału, funduszy rent, emerytur i zapomóg. Ministerstwo nie powinno na

przykład wyrażać zgody na politykę niestwarzania nowych miejsc pracy, nawet gdy mówi się, że to tylko „do jesieni”. Poprzez inicjatywy ustawodawcze liberalizujące prawo pracy oraz wydawane na czas przepisy wykonawcze ministerstwo winno brać czynny udział w przekształcaniu gospodarki. Polityka solidarności społecznej ma sens wówczas, gdy towarzyszą jej wysiłki na rzecz tworzenia dóbr do podziału.

Kompletnej reorientacji musi ulec resort spraw zagranicznych i ogólnie sfera kontaktów międzynarodowych wysokiego szczebla. Narodowa mitomania, nieznamość światowych tendencji politycznych, niedzisiejsze kategorie polityczne — jak jałtańskie pojęcie własnej suwerenności — niefachowy i bierny sposób uprawiania polityki, wszystko to, konsekwentnie afiszowane przez przywódców „S” i rządu, stanowi znaczący czynnik odstraszania zachodnich sfer przemysłowo-finansowych.

NIE TYLKO SYSTEM JEST WINIEN

W ostatecznym rachunku główne czynniki wydajności gospodarczej narodu mają charakter kulturowy. Taka też ujawnia się główna perspektywa koniecznych na Wschodzie przemian. Rządy komunistów to u nas, historycznie rzecz biorąc, sekunda dziejowa: nie jest rzeczą przypadku, że emigracja zarobkowa miała u nas miejsce i we wcześniejszych wiekach, że znaczące zabytki renesansowej kultury materialnej tworzyli u nas Niemcy i Włosi, że od kilkuset lat słabsze zaplecze gospodarcze stawiało nas w pozycji z góry przegranej w dziejowych konfrontacjach. Paradoks historii spowodował, że u schyłku europejskiej epoki cywilizacyjnej Wschód kontynentu ma szansę realnego przyłączenia się do Zachodu — a więc i wzmocnienia nas poprzez stopniowe poznawanie jego specyfiki. Ogromną rolę mają tu do odegrania zarówno politycy, jak i środki przekazu, których zainteresowanie powinno się rozszerzyć także na losy wielkich grup i porozumień przemysłowo-finansowych. Niektóre z nich są już obecne na Wschodzie Europy. Zakup przez Springera czterech dzienników budapeszteńskich; unia Thyssena z Lyonnaise des Eaux dla masowych inwestycji ekologicznych w Niemczech Wschodnich; ostrożna strategia sieci supermarketów Leclerca przygotowującego uwerturę handlową w Polsce — rzeczowa, beznamiętna analiza takich tematów przybliży zrozumienie mechanizmów rynku i demokracji, a zarazem ułatwi pojęcie własnych obciążeń w stosunku do Zachodu.

Przyłączenie się do niego to rewolucja niełatwa, pełna niebezpieczeństw: w planie międzynarodowym nie napawa optymizmem postawa Imperium. Upłynie zapewne sporo czasu,

zanim generacja w Moskwie da się przekonać, że Rosja bez krajów podbitych też będzie mocarstwem. Przy takim założeniu harmonia w stosunkach międzynarodowych stanie się podstawowym warunkiem przetrwania i rozwoju. Wbrew Rosji i na przekór Zachodowi niepodobieństwem jest tworzenie globalnego porządku gospodarczego. Porozumienie z Moskwą to problem równie złożony jak porozumienie z Zachodem, tak trudny jak planetarny pokój. Takimi kategoriami musi jednak operować polityka, która dziś pragnie być skuteczna. Chodzi tu o wspólną politykę państw Europy wschodniej niezależnych od Rosji, ale niekoniecznie jej wrogich, otwartych na Zachód, ale bez serwitutów ubożego krewnego.

W każdym razie nie można w Polsce odkładać przyspieszenia zmian na potem, „po jesieni”, po wyborze normalnego parlamentu, po wyjaśnieniu intencji Gorbaczowa... Polityka salonna budzi w świecie zakłopotanie i nieufność, a na dłuższą metę doprowadzi do izolacji od własnego społeczeństwa. Liczą się inicjatywa i intelektualna ruchliwość, a przede wszystkim gospodarcza zaradność. Jej zrębów zaś nie tworzy się przez wzniesienie barier przed przedsiębiorczością i puszczenie mechanizmów pseudo-rynkowych na wolny bieg, rychło się bowiem okaże, że jest to bieg jałowy.

Robert KACZMAREK

Paryż, 03.04.1990

Pułapka geopolityki

Przez ostatnie czterdzieści pięć lat Polska jako państwo pozbawione niepodległości nie prowadziła własnej polityki zagranicznej. Jednym z najdotkliwszych skutków tego faktu jest zanik politycznej wyobraźni, widoczny u przywódczych elit polskiego społeczeństwa. Widać to wyraźnie od momentu, gdy zelżał bezpośredni nacisk ZSSR na Europę Wschodnią i gdy przed Polakami pojawiła się szansa na niezależne kształtowanie własnego losu. Uwolniona z okowów cenzury i autocenzury, polska refleksja polityczna natychmiast ujawniła swą niezdolność do intelektualnej samodzielności, grzęznąc w tradycyjnych stereotypach i bezmyślnie powtarzając odziedziczone po przeszłości frazesy. Okazało się, iż mimo trwającej pięćdziesiąt lat lekcji, udzielonej Polsce przez komunizm, kilka „geopolitycznych” banałów jest więcej warte niż pół wieku empirycznych doświadczeń.

Schematyczność i bezwładność polskiego myślenia politycznego są szczególnie denerwujące w chwili obecnej, kiedy nieoczekiwanie powstała konieczność sprostania zupełnie nowej sytuacji międzynarodowej. Oto po jednej stronie polskiego terytorium rozpoczął się proces jednoczenia się Niemiec, po drugiej zaś zaczyna się rysować solidnie dotychczas wyglądający gmach sowieckiego więzienia narodów. Wydawać by się mogło, że nowe elity polityczne wywodzące się z antykomunistycznej opozycji okażą się na taki rozwój wypadków szczególnie dobrze przygotowane. Wszak oczekiwane przez nie załamanie się komunistycznej potęgi nigdy nie dawało się logicznie pomyśleć bez ścisłego związku ze zjednoczeniem Niemiec i niepodległościowymi aspiracjami wszystkich sąsiadów Polski. Tymczasem nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż kształtujący się aktualnie nowy *establishment* nie tylko nie posiada gotowej koncepcji twórczego zareagowania na

powstające wydarzenia, ale co gorsze, nie stara się nawet takiej koncepcji wypracować. Wystarczyło kilka nieprzyjaznych pomruków ze strony ukraińskich i litewskich nacjonalistów oraz uświadomienie sobie możliwości pojawienia się w przyszłości niemieckich pretensji terytorialnych, aby polska polityka znów weszła na dopiero co opuszczony szlak szukania opieki i protekcji we wschodnim imperium. Działa tu magia od lat lansowanego geopolitycznego dogmatu, głoszącego, iż jedyną skuteczną reakcją na obecność u granic Polski jakichkolwiek silnych Niemiec jest ścisły związek z każdą imperialną Rosją.

Powyższe przekonanie funkcjonuje aktualnie w postaci dwóch pozornie tylko różniących się od siebie programów polityki zagranicznej.

Pierwszy z tych programów odwołuje się do tradycji politycznych polskiej prawicy i stawia na narodowe państwo rosyjskie. Zbudowany jest on wokół przeświadczeń, zakładających, iż naszym wschodnim sąsiadem jest Rosja, a jedynym mającym polityczną wartość sojusznikiem naród rosyjski. Głównym celem polskiej polityki powinno być zatem porozumienie się z tym narodem na następujących warunkach: Polska uznaje suwerenność Rosji na wschód od Bugu i respektuje rosyjskie interesy militarne w Europie Środkowej. W zamian za to imperium nie będzie usiłowało określać kształtu życia publicznego w Polsce oraz zgodzi się spełniać rolę gwaranta nienaruszalności polskich granic.

Oczywiście, pielęgnujący taką wizję ludzie na ogół woleliby, żeby panowanie rosyjskie na wschodzie przybrało formy możliwie najbardziej liberalne i demokratyczne. W ostateczności jednak gotowi są zaakceptować także autorytarną wersję tego panowania, zbliżoną do modelu wypracowanego za czasów Romanowych.

Druga koncepcja reprezentuje sobą styl myślenia typowy dla orientacji lewicowych, wywodzący się z rozmaitych atawizmów i przyzwyczajzeń tej formacji światopoglądowej. Koncepcja ta opiera się rozumowaniem zbliżonym do poprzedniego, z tym że miejsce Rosji zajmuje w nim ZSSR. Za pożądanego partnera Polski na wschodzie uznaje się to socjalistyczne państwo wielonarodowe z centralą w Moskwie. Podstawą integracji tego państwa miałyby być nie rosyjski nacjonalizm, lecz jakiś uniwersalny interes społeczny. Oczywiście, w myśl założeń wyznawców tej wizji ZSSR byłby krajem demokratycznym, „pierestrojkowym”, szanującym prawa jednostek i narodów. Od tak pomyślanego tworu również oczekuje się gwarancji dla trwałości granic Polski oraz poszanowania dla jej wewnętrznej niezależności, rzecz jasna, z dyskretnym uwzględnieniem szczególnej życzliwości dla ugrupowań lewicowych.

Protagonści obu przedstawionych wyżej konstrukcji politycznych uważają swoje wyobrażenia za modelowe przykłady politycznego realizmu. Co więcej, w aktualnym postępowaniu przywódców ZSSR widzą zapowiedź rychłego spełnienia się ich oczekiwań. Narodowi realiści głośno entuzjazmują się, że oto nareszcie wygrywa w Rosji tendencja do poszukiwania porozumienia z Polską na nieideologicznej płaszczyźnie państwowych interesów. Soc-realiści z kolei (na razie raczej w cichości ducha) cieszą się, że ZSSR wchodzi na wymarzoną przez nich drogę „demokratycznego socjalizmu”, uczciwie respektującego narodową odmienność i samodzielność swych politycznych przyjaciół.

Niestety, są to radości nieuzasadnione, świadczące o naiwności obu wersji polskiego realizmu. Tym bowiem, co łączy napisane przez ich wyznawców scenariusze przyszłych polkosyjskich stosunków jest fakt, iż nie mają one szans na praktyczną realizację.

Przed wszystkim nie jest dziś możliwe ukonstytuowanie się nieideologicznego, narodowego imperium rosyjskiego. Przy istniejących w ZSSR narodowościowych stosunkach i proporcjach nie ma mowy o podporządkowaniu sobie przez naród rosyjski tak ogromnej masy obcych mu etnicznie, a często i cywilizacyjnie ludzi. Do końca XIX wieku dla zniewolenia jakiegos narodu wystarczało zniszczenie lub zneutralizowanie jego stosunkowo nielicznej elity, obdarzonej kulturalną i narodową samowiedzą. Dzisiaj, gdy świadomością swej politycznej podmiotowości obdarzone są całe narody — próba trzymania ich w przymusowej zależności wcześniej czy później oznaczać musi długotrwałą i krwawą, a na dodatek przegraną wojnę.

Równie mało prawdopodobne jest urzeczywistnienie się liberalnej wersji Wszzechrosji, zakładającej powstanie państwa federacyjnego. Udana federacja rodzą się na ogół wówczas gdy tworzą je narody wewnętrznie wolne i cywilizacyjnie dojrzałe, których polityczna świadomość zdolna jest wznieść się ponad elementarny głód samodzielności. Narody ZSSR, budzące się dopiero do nowoczesnej egzystencji, są zbyt zranione długotrwałą niewolą i zbyt spragnione niepodległości, by zgodzić się mogły na jakąkolwiek formę politycznego upodrzednienia. W kontekście tym idea przekształcenia się ZSSR w oświecone federacyjne imperium wydaje się fantastycznym mirażem, w oparciu o który nie sposób odpowiedzialnie budować przyszłej polskiej polityki.

Jeszcze większym nieporozumieniem jest oczekiwanie na przeobrażenie się ZSSR w państwo jakiegos liberalnego socjalizmu. Po pierwsze z tego powodu, że liberalny i demokratyczny socjalizm jest po prostu niemożliwy. Po drugie zaś dlatego, że każda próba (także uznana za „socjalistyczną”) otwarcia przed

obywatelami i narodami ZSSR wrót rzeczywistej wolności musi w praktyce doprowadzić do tego samego rezultatu — do rozpadu wschodniego olbrzyma na kilka lub kilkanaście odrębnych państw.

Czas już wreszcie uświadomić sobie, iż jedynym skutecznym spoiwem, w oparciu o które przetrwać może moskiewskie imperium, jest istniejący tam socjalistyczny (lub, jak kto woli, komunistyczny) porządek społeczny. Tylko socjalizm bowiem potrafi skutecznie paraliżować narody. Tylko on umie niezawodnie niszczyć, podobnie jak wszystko inne, także świadomość i energię narodową, czyniąc ludzi niezdolnymi do zwyenia marzeń i aspiracji niepodległościowych.

Dobrze to rozumieją nawet najbardziej zaciętrzewieni wielkorusyjscy szowiniści, którzy pomimo głoszenia monarchistycznych i religijno-nacjonalistycznych hasel, w praktyce ściśle wiążą swoje imperialne projekty z trwałością komunistycznego *status quo*.

Nie należy zatem ludzić się fantazmatem powstania na wschodzie liberalnego i przyjaznego Polsce mocarstwa. Realną szansę na realizację mają tam jedynie dwa rozwiązania. Albo dojdzie do rozpadu Związku Sowieckiego na pewną liczbę państw narodowych, pośród których największym będzie cofnięta do swych etnicznych granic i wtedy, być może, demokratyczna Rosja; albo w taki czy inny sposób odrestaurowany zostanie totalitarny ZSSR.

W odniesieniu do obu tych ewentualności kalkulacje polskich geopolityków nie mają politycznego sensu. Co gorsza, z punktu widzenia dobrze pojętej polskiej racji stanu ich pomysły mogą się okazać wysoce szkodliwe. Każdy, kto marzy o dalszym istnieniu za Bugiem wielkiego rosyjskiego opiekuna, w praktyce sprzyja przetrwaniu tam komunistycznej niewoli ze wszystkimi złowieszczymi, także dla Polski, konsekwencjami. Komunistyczne mocarstwo bowiem na mocy wpisanego weń społecznego mechanizmu zawsze będzie nie tylko opresyjne wobec własnych obywateli, ale także agresywne i nietolerancyjne w działaniach zewnętrznych. Będzie musiało ono dążyć do ogólnoswiatowej dominacji, bo jedynie takie dążenie daje mu, jako tworowi programowo antycywilizacyjnemu, szansę na przeżycie pośród ludzkich cywilizacji.

Punktem ciężkości polskiej polityki nie może być szukanie protekcji takiego sąsiada. Polska w żadnych okolicznościach nie powinna przyczyniać się do konserwowania dotychczasowego porządku politycznego, chowając się pod skrzydła symbolizujących go układów i instytucji. Musi się zdecydować na związanie swej przyszłości z procesami, które ów porządek rozsadzają, zdobyć się na wysiłek ułożenia sobie egzystencji pośród nowych wolnościowych dążeń Europy.

Jest to niewątpliwie zadanie trudne i pod wieloma względami ryzykowne. Tak zjednoczone Niemcy, jak i budzące się do niepodległości narody Wschodu mogą wystawić Polskę i świat na niejedną ciężką próbę. Negatywnych skutków żadnej z nich nie da się jednak porównać z cywilizacyjnym zagrożeniem, jakie stanowiłoby dla wszystkich dalsze istnienie sowieckiego imperium. Dlatego trzeba odważnie podjąć ryzyko pełnej niepodległości i nie demonizować *a priori* możliwych niebezpieczeństw. Nie wolno dopuścić do tego, aby lęk przed owymi niebezpieczeństwami stał się argumentem na rzecz przetrwania komunizmu, który już zaczął przebierać się w swój ochronny kostium tzw. „mniejszego zła”.

Janusz PAWŁOWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Trzecia droga — jej zalety i wady

W 1912 r. inżynier Marian Wieleżyński założył w Borysławiu przedsiębiorstwo naftowe „Gazolina”. Jego wielkie nowatorstwo polegało na tym, że pracownicy byli zarazem akcjonariuszami. Firma ta wydobywała ropę w zagłębiu borysławskim, odkryła i zagospodarowała złoża gazu ziemnego w Daszawie, skąd dostarczała gaz do Lwowa własnym gazociągiem, wybudowała też gazownię w Gdyni. W przededniu drugiej wojny światowej miała prawie 700 pracowników-współwłaścicieli, posiadających blisko połowę kapitału przedsiębiorstwa. Prosperowała tak dobrze, że prezydent Mościcki, były wiceprezes zarządu „Gazoliny”, zainicjował studia nad prywatyzacją podług tego wzoru wielkiego *holding*’u państwowego „Wspólnota Interesów”, zatrudniającego około 30.000 pracowników w licznych kopalniach węgla oraz zakładach metalurgicznych i chemicznych na Śląsku. Pionierskie osiągnięcia „Gazoliny” opisał syn założyciela, a zarazem stryj mojej żony, Lech Wieleżyński, w książce „Wspólna praca, wspólny plon” (Veritas, Londyn 1985).

Kwestia prywatyzacji znalazła się dziś znowu na porządku dziennym w Polsce. System monopolistycznej własności państwowej splajtował bez reszty, niemal wszystko trzeba budować od zera. Jednym z naczelnych problemów jest przy tym brak własnych kapitałów. Jak można zatem uniknąć znanych z przeszłości ekscesów i dysproporcji, wynikających z nadmiernej koncentracji własności w rękach wąskiej grupy ludzi finansowo uprzywilejowanych lub inwestorów zagranicznych? Czy akcjonariat pracowniczy stanowić może dogodną trzecią drogę między niebezpieczeństwami etatyizmu i klasycznego kapitalizmu?

Na Zachodzie, właśnie w kolebce kapitalizmu, mnożą się od mniej więcej trzydziestu lat eksperymenty mające dowieść, że taka czy inna forma udziału pracowników stanowi wymarzone panaceum. Inicjatorzy bardzo licznych planów w tej dziedzinie kierują się na ogół przesłanką, że w klimacie coraz ostrzejszej konkurencji międzynarodowej przedsiębiorstwo potrafi przetrwać i pomyślnie się rozwijać tylko pod warunkiem maksymalizacji wydajności pracy i stałego tworzenia nowych produktów, a zatem zdobywania nowych rynków zbytu. Dla osiągnięcia tego celu niezbędne jest pełne wykorzystanie potencjału ludzkiego przez odpowiednią motywację materialną w formie podziału zysków lub akcjonariatu. Zwolennicy akcjonariatu mają argument dodatkowy: nieustająca potrzeba modernizacji aparatu produkcyjnego wymaga stałego dopływu nowych kapitałów, te zaś są często trudno dostępne, między innymi ze względu na warunki kredytowe. Akcjonariat pracowniczy ma być zatem systemem zachęcania do oszczędności, przekształconych za jednym zamachem w nowe środki inwestycyjne i bodziec do lepszej pracy załogi.

Na ogół rozróżnić można cztery podejścia do kwestii akcjonariatu pracowniczego. Pierwsze z nich, czysto pragmatyczne, dominuje w krajach anglosaskich. Celem jest tutaj przede wszystkim zwiększanie wydajności ekonomicznej przez rozszerzenie bazy współodpowiedzialności za losy przedsiębiorstwa. Jest to więc podejście typowo menadżerskie. Druga tendencja, przejawiająca się zwłaszcza w niektórych krajach Europy zachodniej i północnej, ma charakter bardziej społeczno-reformatoryski. Ogólną wytyczną jest w tym wypadku stopniowe przekazywanie w ręce pracowników-współwłaścicieli nie tylko własności, ale także władzy w przedsiębiorstwie. Trzecie podejście można by nazwać społeczno-humanistycznym. Widzi ono w różnych formach udziału, w tym także akcjonariatu pracowniczego, dogodną technikę zmierzającą do zapewnienia podmiotowości ludzi pracy. Taki był kierunek pierwszych inicjatyw francuskich w dziedzinie partycypacji za czasów prezydentury generała de Gaulle'a, taka jest przede wszystkim myśl przewodnia encykliki Papieża Jana Pawła Drugiego *Laborem Exercens*, wyrażającej filozofię współpracy, a nie walki klas społecznych. Czwarła wreszcie postawa jest typu otwarcia ideologicznego. Jej główny misjonarz, amerykański prawnik Louis Kelso, ogłosił w 1958 r. dokument programowy, który wcale nieprzypadkowo nazwał „Manifestem kapitalistycznym”. Zamierzeniem jego akcji i innych, które się z niej zrodziły, jest oparcie gospodarki na „bardziej sprawiedliwych” podstawach. Służyć temu ma swoisty kapitalizm ludowy, osiągnięty w drodze rozpowszechniania

akcjonariatu pracowniczego, a prowadzący do rozszerzenia własności prywatnej, dalszego otwarcia wolnych rynków i ograniczenia zasięgu władzy ekonomicznej państwa.

System wypracowany przez Louisa Kelso, zwany ESOP (*Employee Share Ownership Plan*) jest najbardziej radykalny ze wszystkich z punktu widzenia techniki finansowania. Zakłada on, że pracownicy nie muszą mozolnie oszczędzać, aby nabywać akcje swych przedsiębiorstw, lecz mogą je od razu zakupić na kredyt, spłacany następnie z dywidend lub zysku z transakcji giełdowych. W Stanach Zjednoczonych istnieje aparat ustawodawczy, sprzyjający tego rodzaju „błyskawicznemu kapitalizmowi” w formie ulg kredytowych i podatkowych. Nic też dziwnego, że właśnie ten akcjonariat pracowniczy ma największe sukcesy liczbowe. Około 11 milionów pracowników amerykańskich posiada dziś akcje swych firm, a przedsiębiorstw takich jest kilkanaście tysięcy.

Model ten nie przyjął się jeszcze w Europie zachodniej, która woli postępować ostrożniej. We Francji (kilkaście ustaw w ciągu ostatnich trzydziestu lat) żaden z licznych możliwych wariantów nie traci z oczu elementu socjalnego tych przedsięwzięć. W Wielkiej Brytanii ograniczono się dotąd do przyznawania ulg podatkowych różnym planom podziału zysków, opcji udziałowych czy oszczędności przetwarzanych po określonym upływie czasu w akcje przedsiębiorstw. W RFN kładzie się tradycyjnie akcent na rozszerzenie zasięgu współdecyzji pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami, choć i tutaj istnieją ustawy przewidujące pomoc państwa w budowie własności prywatnej. Najdalej idzie w Europie system szwedzki, polegający na zbiorowym akcjonariacie pracowniczym, zasilanym z funduszu, do którego pracodawcy muszą uiszczać obowiązkowe wpłaty. *Nota bene* jest to system mający absolutne poparcie związków zawodowych. We Francji i w Anglii stosunek związków zawodowych do tych spraw jest sceptyczny lub wrogi. W Japonii, supermocarstwie gospodarczym, nie ma natomiast żadnego systemu akcjonariatu pracowniczego, a to z racji patriarchalnego nastawienia przedsiębiorstw do pracowników, uważanych za szerszą rodzinę firmy i obdarowywanych różnego rodzaju premiami.

Warto jeszcze wymienić w skromnych ramach tego artykułu dwa specyficzne zastosowania zasady akcjonariatu pracowniczego. Może ona być wprowadzona w życie, gdy danemu przedsiębiorstwu grozi bankructwo. Pracownicy wykupują wówczas akcje, by uratować się przed bezrobociem. Są przykłady wielkich sukcesów operacji tego typu, były jednak też bolesne porażki. Drugie

zastosowanie dotyczy Trzeciego Świata i wynikało z przemyśleń nad sposobami zmniejszenia niebywałego zadłużenia krajów tego obszaru. Przyjęty schemat przewiduje przekształcenie zadłużenia (na ogół przedsiębiorstwa państwowego) w tytuł własności wierzyciela (na ogół zagranicznego), w drugim zaś etapie zamianie tego tytułu na akcje rozsprzedawane pracownikom przedsiębiorstwa. Brzmi to bardzo atrakcyjnie, ale należy sądzić, że szanse powodzenia tego planu pozostawiają sporo do życzenia, przede wszystkim ze względu na brak drobnych ciułaczy w Trzecim Świecie i na panującą tam plagę korupcji. Jest znacznie prawdopodobniejsze, że zbankrutowane wytwory gigantomanii przemysłowej krajów biednych skończą w rękach lokalnych plutokratów lub banków zagranicznych.

Także w krajach uprzemysłowionych koncepcja akcjonariatu pracowniczego ma licznych przeciwników. W samym pojęciu pracownika-współwłaściciela istnieje trudna do przezwyciężenia sprzeczność wewnętrzna. W razie kryzysu finansowego w przedsiębiorstwie pracownik broni swego miejsca pracy, akcjonariusz zaś nalega na zredukowanie liczebności załogi. Zdrowie danego przedsiębiorstwa zależy od wielu czynników zewnętrznych, nad którymi ani dyrekcja ani pracownicy nie są w stanie panować. Ryzyko, jakie bierze na siebie każdy, kto kupuje akcje (nie tylko pracownicze) przejawia się w codziennych fluktuacjach giełdowych. Akcjonariat pracowniczy rozszerza wprawdzie bazę ryzyka, ale tam, gdzie człowiek zamożniejszy potrafi przetrwać ostry spadek kursów giełdowych, mały akcjonariusz może bezpowrotnie stracić oszczędności całego życia. Giełdą kieruje wolny rynek, a wolny rynek ma to do siebie, że prowadzi w sposób nieodparty do koncentracji własności. Oczywiście można ograniczyć ustawowo nabywanie akcji pracowniczych przez obcych, ale odbywa się to kosztem utraty dynamiki kapitałotwórczej. Kolejnym problemem w przedsiębiorstwach należących do pracowników może być zmarnowanie czasu i zasobów na kłótnie wewnętrzne lub uchylanie się od trudnych decyzji menedżerskich, dotyczących płac lub inwestycji. Dobrym przykładem schorzenia tego typu jest całkowite fiasko jugosłowiańskiego systemu samorządu robotniczego, spokrewnionego z akcjonariatem pracowniczym tylko psychologicznie, ale nie strukturalnie.

Akcjonariat pracowniczy zrodził się w burzy ideologicznej czasów najnowszych jako próba zbliżenia między światem pracy a światem kapitałów. Ujęcie statystyczne jego bilansu nie jest jeszcze możliwe ze względu na zbyt szczupły dotąd stopień rozpowszechnienia. Istnieją przykłady wspaniałych sukcesów i przykrych porażek, o których na ogół mniej się pisze. Kluczem

do trwałego powodzenia tego systemu jest zapewne znalezienie złotego środka ustawodawczego, gwarantującego że kapitalizm ludowy będzie zjawiskiem stałym, a nie formą przejściową na drodze ku nowej koncentracji własności. Ale tym samym ustalili się pewne granice wolnego rynku, którego wolności nie jest dziś rzeczą przyjętą kwestionować po jego historycznym zwycięstwie nad gospodarką centralnie planowaną.

Andrzej KRZECZUNOWICZ

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352.

Cena F. 150,00.

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkiem.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

Wrażenia naukowca z Moskwy

Świeże wrażenia, można by powiedzieć — bogate. Ostatni raz byłem „u Rusków” (Wilna nie licząc) przed półtora rokiem. Wtedy to był Leningrad. W stolicy, prócz krótkich przejazdów, byłem chyba dziesięć lat temu. Różnica duża. Ci ludzie najwidoczniej przestali się bać. Wszyscy pyskują na wszystkich i to całkiem jawnie. Miasto oklejone różnymi odezwaniami za i przeciw, żywotami *kandydatów w dieputaty* i to z każdej strony, na ulicach stoją różne typy, rozdają *niebłagonadiożnyje* ulotki i sprzedają także gazetki. Na Arbacie stoją osobnicy z mikrofonami w ręku i głośnikami pod pachą i klną wszystko, na czym sowiecki świat stoi od Marksa i socjalizmu zaczynając, a na *sowietской własci* kończąc. Porozwieszane biało-niebiesko-czerwone sztandary. Wypisz-wymaluj, jakby się sami chcieli odłączyć od *Sojuza* Zresztą w gazetach oficjalnych, może prócz *Prawdy* i *Izwestij*, plus-minus to samo, także w radiu i TV. W handlu dewocjonalia i kalendarze z ikonami. Z zaopatrzeniem znacznie gorzej. Widać to już w bufetach hotelowych (a mieszkalem w dobrym hotelu), które tam zawsze są co kilka piętér. Czarna kawa, cukier do niej, suchy chleb, jakieś *pirożki, wot i wsjo*, a dawniej były zawsze dobrze zaopatrzone. Na ulicach na zewnątrz kolejek nie widać, a w sklepach zbity tłum. Z ciekawością poszedłem na Plac Puszkina do niedawno otwartego MacDonalda. Kolejka chyba z 500 metrów, jeżeli nie więcej, porządku pilnuje milicja, poustawiane żelazne przegrody, żeby kolejka odpowiednio zaginała się. Ku swemu zdziwieniu na mojego *Big Mac'a* czekałem tylko pół godziny. Co kilka minut wpuszczają może po 200 osób, a w środku za ladą, przy przygotowywaniu posiłków uwija się około 200 dziewczyn. Wszystko zautomatyzowane, słowem Europa, ale ceny tak na oko ze trzy razy wyższe niż u nich na ogół. Byłem tam również na różnych przyjęciach i w ambasadzie — już teraz RP — i nawet w ekskluzywnej *gostinicy „Rossija”* tuż przy *Krasnoj Płoszczadi*. Tam po staremu i *ikra* i *jesiotry* i wódka plynie stru-

mieniami. Jak im się języki rozwiązały, to zaczęli gratulować Polakom, że oni zaczęli, że tak trzeba, że dają przykład, jak i Rosjanie muszą zrobić.

Mawzolej Lenina zakryt, kolejki przed nim nie ma, stoi dwóch smutnych wartowników. Zginęły tak charakterystyczne do niedawna *łożongi*, portrety, gwiazdy, dekoracje. Rzecz jasna, że obserwacje te są powierzchowne, żeby wczuć się głębiej, trzeba by więcej niż kilku dni. Aha, pokazało się dużo żebraków.

ZENOWICZ

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ●

Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Dżuma w Neapolu

RELACJA O STANIE WYJĄTKOWYM

I

Relacja niniejsza jest dalszym ciągiem mojego opowiadania *Cud* (1983), narracyjnej co prawda i nieznacznie podbeletryzowanej, lecz historycznie wiernej i ściślej rekonstrukcji plebejskiego buntu Masaniella w roku 1647. Co bystrzejsi czytelnicy zauważą ukryte powinowactwa *Cudu* i urwanego świeżo, po ogłoszeniu stanu wojennego, rozdziału *Solidarności*. W autorze świadomość tych powinowactw pojawiła się i stopniowo zaostrzała dopiero w miarę pisania; jeśli (jak ktoś gotów jednak podejrzewać) istniała od początku, to w sposób tak niejasny, że trudno tu mówić o świadomości; należałoby raczej napomknąć o podświadomości, która jest przecież matką większości nieoczekiwanych i niejasnych początkowo impulsów pisarskich.

Inaczej rzecz się ma z dalszym ciągiem *Cudu*, czyli z *Dumą w Neapolu*. Mógłbym, z racji podobieństwa tytułów, położyć na pierwszej stronie motto użyte przez Camusa w *Dżumie*, zdanie z przedmowy Daniela Defoe do trzeciego tomu *Robinsona Crusoe*: *It is as reasonable to represent one kind of imprisonment by another, as it is to represent anything that really exists by that which exists not*. Camus posłużył się tym mottem także dlatego, że Defoe był klasykiem opisu dżumy (londyńskiej z roku 1665, którą zresztą, będąc w chwili jej wybuchu pięcioletnim dzieckiem, odtworzył z cudzych świadectw)? Nie wiem. Wystarczy mi pewność, że zdanie Defoe w równym, jeśli nie większym nawet, stopniu pasuje do *Dżumy w Neapolu*. Materiał czerpałem z kronik epoki, zachowując wobec nich absolutne i względne zarazem (w ramach dewizy Defoe) posłuszeństwo.

Podtytuł, na przykład, zapożyczyłem z krótkiej anonimowej *Relacji o stanie pestylencyjnym w Neapolu w roku 1656*. Jeżeli pozwoliłem sobie ograniczyć wskazany w podtytule temat tej relacji do dwóch słów „stan wyjątkowy”, to nie w celach — jak można byłoby mniemać — wyłącznie „aluzyjnych”. Po prostu anonimowy autor z XVII wieku posługuje się w tekście zwrotem „stan wyjątkowy” lub „stan wojenny” częściej, i z większym jakby przekonaniem, niż nagminną wówczas formułą „stan pestylencyjalny”.

Co wyjaśniewszy we wstępie, miałbym prawo przystąpić do *Dżumy w Neapolu*. Ale wyjaśnienia wymaga jeszcze sama potrzeba tak licznych wyjaśnień wstępnych. Cóż to za opowiadanie (pomyśli nie bez cienia ironii czytelnik), które potrzebuje tylu aż podpórek, aby stanąć na nogach i ruszyć żwawo z miejsca? Przyznam mu rację, prosząc jednak o pamiętanie, że opowiadanie opowiadaniu nierówne. Nie w sensie większej czy mniejszej wartości artystycznej, uchowaj Boże!, nie o to mi chodzi. W tym sensie, że moje opowiadanie (niechaj chwilowo czytelnik uwierzy mi na słowo) posiada szczególnie klucz narracyjny, posuwać się mianowicie będzie wąską ścieżką między historią i jej bładym odbłaskiem w rzeczywistości, tak bładym, że wolno zwątpić o płynących z niej (historii) naukach. Czy z historii płyną jakieś nauki? Ja twierdzę, że albo w ogóle nie, albo nader żłudne i zwodnicze. Lecz twierdzę równocześnie, że niekiedy — bardzo rzadko! — zdarzenia historyczne ciągną za sobą dziwną poświatę, która jest jakby podtekstem wpisanym niewyraźnie czyjąś niewidzialną Ręką. W takich wypadkach historia jest więcej niż nauką; jest fragmentem czy odpryskiem naszych dziejów, odbitych w Oku Wszzechwidzącego. I w takich wypadkach potrzeba ciągłych wyjaśnień przed rozpoczęciem opowiadania jest dowodem, że autor, nie zawsze dowierzając własnym skojarzeniom, dostyszanym z daleka echem, wieloznacnym i wymykającym się wciąż analogiom, pragnie z góry przygotować do nich, uwrażliwić na nie, łaskawego i cierpliwego czytelnika.

II

A zatem dalszy ciąg *Cudu*. Czy wolno mi jednak zakładać, że *Cud* odcisnął dostatecznie głęboki ślad w pamięci tych, którzy go przed laty czytali? Nie wolno oczywiście, muszę więc *Dżumę w Neapolu* poprzedzić swoistym prologiem: możliwie zwięzłym streszczeniem mojego poprzedniego opowiadania.

Plebejska rewolta Masaniella była dla hiszpańskiego Wice-

królestwa Neapolu istnym trzęsieniem ziemi. W madryckich archiwach zachowały się raporty księcia d'Arcos, namiestnika Filipa IV w Neapolu, które wyrażały nie tylko popłoch obcego gubernatora w państwie wasalnym i kolonialnym, lecz obawy przedstawicieli lokalnej arystokracji, oddanej ciałem i duszą hiszpańskiemu suwerenowi. Władcy absolutni za naturalne zjawisko uważają konflikty a nawet wojny z „wrogiem zewnętrznym”, o bicie serca natomiast przyprawia ich „wróg wewnętrzny”, bunt własnych poddanych. Tym był dla neapolitańskiego dworu Masaniello na czele neapolitańskich oberwańców: zagrożeniem panującego, przez Berło i Krzyż ustanowionego, Porządku. W próbach oblaskawienia buntownika i zażegnania społecznej burzy książę d'Arcos (przy współudziale neapolitańskich karmazynów i purpuratów) posunął się niewiarygodnie daleko: mianował go „generałem ludowym” i przyjął jego spisane w „umowie społecznej” warunki przywrócenia spokoju. Rzecz wyglądała na kapitulację dworu przed ludem („motlochem”), a była podstępem i zyskaniem na czasie, czego prostoduszny i zadufany w sobie Masaniello, w przystępie zawrotu głowy od powodzenia, nie zrozumiał. Wyprowadzono go w pole, aresztowano i zamordowano, osiągając dodatkowo rzecz w podobnych sytuacjach najistotniejszą: zbuntowani nie wytrzymali zbyt długo własnego buntu i odwrócili się od swojego przywódcy. Gdy książę d'Arcos, z pomocą neapolitańskich baronów i dostojników kościelnych, ubezpieczył zagrożony Porządek, gdy (innymi słowy) społeczna burza przeminęła i ucichła na dalekim horyzoncie, lud pojął swój błąd. Nie pozostało mu już jednak nic innego, jak ugiąć karki i zadowolić się legendą Masaniella.

Myli się, kto nie docenia siły legendy, zwłaszcza w prostych umysłach. Legendarny Masaniello rósł, potężniał, stał się bohaterem potajemnych rozmów, symbolem i aktem wyzwania, przedmiotem kultu. Ważył w pośmiertnych wyobrażeniach więcej, niż w ciągu tygodnia swej chwały za życia. (I — powiedzmy szczerze — niż na to w rzeczywistości zasługiwał). Poruszał zresztą wyobraźnię nie tylko swych prostych rodaków, duch jego poszybował daleko poza granice Królestwa Neapolu, krążył nad całą Europą jako dowód kruchej, pozornej mocy władców i prawdziwej, zależnej tylko od ich śmiałości i inteligencji, mocy poddanych. Uprzytamniano to sobie z pełną wyrazistością czy nie, Masaniello był zwiastunem rewolucji, płomieniem przytkniętym na chwilę do tronów i zgaszonym tuż przed powszechnym pożarem. Nie tylko tron madrycki zadrżał, nie tylko, jakkolwiek królewski dwór hiszpański (wraz z neapolitańskim dworem wicekrólewskim) rozumiał to najlepiej. Wolnych i możnych ogarnęło przerażenie na widok przekrwionych oczu i zacisniętych pięści niewolników. Jakże łekliwi, tknięci paniką, stają się

ci, którzy zamiast dobrze znanej zbroi przeciwnika widzą naraz przed sobą bezkształtną, wścieklą miazgę zbuntowanych!

III

Anonimowy autor *Relacji o stanie pestylencjalnym w Neapolu w roku 1656* był przypuszczalnie neapolitańskim księdzem; tak sądzą archiwiści, którzy jego tekst odnaleźli pod koniec zeszłego stulecia jako jedyny ocalały. Było zapewne tych relacji więcej, gdyż neapolitański ksiądz — zdaniem archiwistów — odgrywał prawdopodobnie rolę podopiecznego i totumfackiego jakiejś wpływowej osobistości w Watykanie, która być może miała za zadanie informować regularnie i z pierwszej ręki Ojca Świętego o „stanie pestylencjalnym” w zadżumionym mieście.

O eklezyjstycznym piórze świadczy styl relacji — pełen niedomówień i domyślników, udawanej pokornie niewiedzy, a dla adresata o pokrewnej mentalności tym czytelniejszy i wymowniejszy, im bardziej z pozoru ostrożny i powściągliwy. Rzymski prałat musiał z przyjemnością i uśmiechem rozsuptywać węzły, które tak misternie i niewinnie (dla niepowołanych oczu) zawiązywał z miną poczciwego ignoranta jego wytrawny i przenikliwy agent w Neapolu. W ostatnim zdaniu jedynej odnalezionej relacji, przed wpisaniem daty 20 czerwca 1656, Anonim w sutannie pozwolił sobie na zrzucenie maski pokory i niewiedzy: „Żyję zamknięty w moim domu; a przecież wiem o wszystkim; w naszym nieszczęściu to powód do odrobiny szczęścia”.

Wiedział rzeczywiście o wszystkim. Wiedział, co w moim opowiadaniu najważniejsze, dlaczego „stan pestylencjalny” w Neapolu zasługiwał bardziej na określenie „stan wyjątkowy” lub „stan wojenny”. Zdawał sobie sprawę, że ksiądz d’Arcos nie odniósł całkowitego zwycięstwa nad ludową rebelią Masaniella. Gdzieś głęboko, pod popiołem, żarzyły się dalej rozpalone węgle. Następca księcia d’Arcos, hrabia d’Ognatte, nie potrafił ich zdeptać, lecz na odwrót — swoją żołdacką brutalnością i bezwzględnością rozniecił je jeszcze bardziej. Toteż odwołano go szybko do Madrytu, a na jego miejsce przysłano obficie utytułowanego (co pominiemy) hrabiego Castrillo, z zaleceniem sprawowania rządów „łagodnych”, niemal „ojcowskich”. W roku 1653 było już na to za późno. Wicekrólestwo wymagało wprowadzenia praw specjalnych, tym więcej że w Castellamare pojawiły się okręty francuskie, być może z zamiarem zbrojnej interwencji w Neapolu dla wykorzystania bądź zdławienia podskórne-go podniecenia w stolicy kolonii hiszpańskiej. Nawet nowy wicekról, człowiek z ukształtowania niezbyt wojowniczy (mimo

wielu bojowych odznaczeń i upodobania do rangi Generała), czuł że powinien coś stanowczego i radykalnego zrobić. Ale co? Najpilniejsze wydawało się rozbięcie więzów społecznych, które w ludzie neapolitańskim wzmacniała z każdym dniem legenda Masaniella. Groźna bliskość floty francuskiej mogła podyktować ogłoszenie stanu wyjątkowego lub wojennego. Hrabia Castrillo jednak, mężny Generał, widział w tym akt upokorzenia i przyznania się do słabości. Należało według niego wprowadzić coś, co byłoby w praktyce stanem wyjątkowym czy wojennym, lecz nazywało się inaczej.

IV

Z dwóch względów przywołam teraz Daniela Defoe, niechaj to będzie uznane za krótkie interludium w opowiadaniu.

Po pierwsze, chcę nieco głębiej wniknąć w istotę „dewizy Defoe”, która przydatna była Camusowi w jego *Dżumie* i jest mnie przydatna w *Dżumie w Neapolu*. „Rozumne, słuszne jest przedstawiać cokolwiek istniejącego naprawdę poprzez coś co nie istnieje”. Camus napisał powieść alegoryczną, jego dżuma w Oranie była narracyjnym zmyśleniem dla określonych celów. A moja dżuma w Królestwie Neapolu? Nie jest narracyjnym zmyśleniem, opiera się rygorystycznie na przekazach i świadectwach historycznych. A mimo to również przedstawia coś istniejącego naprawdę poprzez coś, co nie istnieje. Lecz w odmienny sposób. Choć zabrzmiałoby to jak paradoks, a nawet absurd, w moim opowiadaniu istnieje i zarazem nie istnieje sama dżuma. Była prawdziwą dżumą dla swoich ofiar — jak licznych, czytelnik dowie się we właściwym momencie. Była dżumą nieprawdziwą dla swoich sprawców, którzy powierzyli jej do spełnienia pewne zadanie. Zadanie? Ważne jest wiedzieć o tym od razu, stąd nie boję się zaryzykować tu twierdzenia na pierwszy rzut oka niepoczytalnego. Co jednak nie znaczy, że zamierzam uprzędzić naturalny bieg wypadków w opowiadaniu.

Po drugie. W *Journal of the Plague Year*, kronice dżumy londyńskiej z roku 1665, Defoe zauważa: „Zanim choroba osiągnęła swój punkt szczytowy, ludzie mieli więcej sposobności do obserwowania i porozumiewania się, niż później; gdy nasilenie choroby było maksymalne, zanikła międzyludzka komunikacja, ludzie przestali porozumiewać się między sobą: albo uciekali po prostu z miasta, albo ryglowali drzwi i okna w swoich domach”. Z rozwojem i wzrostem dżumy wymierało życie społeczne. Dżuma jest przede wszystkim chorobą życia zrzuczonego, jak trąd jest chorobą jednostki wyklętej, naznaczonej cierpieniem

o cechach mistycznych. Powiem to jeszcze precyzyjniej: dżuma jest synonimem zaniku więzów międzyludzkich, trąd jest synonimem bezgranicznej samotności; nad dżumą wznosi się przeważnie Bóg karzący; nad trądem nie wznosi się nikt.

Bystry agent neapolitański prałata watykańskiego trafnie podkreśla jeden szczegół w swojej *Relacji*. Dżuma neapolitańska przeniknęła do stolicy Królestwa w styczniu 1656. Lekceważono ją z początku, władze nie pozwalały — wbrew medykom — nazywać jej po imieniu. W marcu, w okresie pełnego rozpędu (ale jeszcze nie zenitu) epidemii, zakazane było i karalne używanie słowa *dżuma*. W maju ten zakaz zniesiono, jakkolwiek w języku urzędowym obowiązywały nadal dwa eufemizmy: *ricorrente infermità* lub *morbo epidemiale contagioso pernicioso*. Autor *Relacji o stanie pestylencjalnym* dał niedwuznacznie do zrozumienia adresatowi co to oznacza: chciano nie tylko uniknąć paniki (co byłoby zrozumiałe), lecz odwrócić uwagę od źródła i pochodzenia choroby.

V

Źródło i pochodzenie choroby łączyły się z różnorakimi jej interpretacjami. Najprostsza, jak zwykle, i najgorliwiej głoszona przez duchowieństwo wszystkich stopni, od prostych księży do biskupów i arcybiskupów, od zwykłych zakonnic do przeorysz, była Kara Boża. Za co? Małoż to grzechów popełniają nie dość pobożni i bogobojni, ukrywając je przed swoimi spowiednikami! Kara Boża, Bicz Boży (jak chętniej i częściej mówiono, skoro obraz Dłoni Zaginionego Wszechmocnego, zaciskającej bat lub różgę, bardziej odpowiadał męczarniom choroby) popularność swą zawdzięczały także nadziei, że Gniew można przebłagać, że nie jest czymś ostatecznym i nieodwracalnym. Budowano więc nowe kościoły i klasztory (do jednego z nich, *Suor Orsola*, miały być dopuszczone wyłącznie dziewice, zdolniejsze jakoby niż ktokolwiek inny wyprosić przebaczenie u Pana Niebios), umartwiano się, zapelniano dniem i nocą nawy kościelne żarliwymi modłami, spowiadało się nieustannie i komunikowano, wypychano jałmużnym groszem torby kościelnych i ulicznych kwestarzy, słuchano z drżeniem samozwańczych teologów, którzy końcem świata grozili zanadto obojętnym i letnim w swej wierze. Nie będzie przesadą powiedzieć, że Kościół rozkwitał i wypuszczał nowe wciąż pędy na nawozie dżumy. Był schronieniem i rękojmą odmiany losu na dobrotliwszy. Ale w imię ścisłości dodać należy, że tylko dla oszczędzonych jeszcze przez chorobę. Z ust już zadżumionych dobywały się, ciekły wraz z pianą i śliną choroby, błuźniercze złorzeczenia.

Odsunąwszy na bok naturalny Bicz Boży, staje się wobec wachlarza innych interpretacji. Wicekrólewska chmara płotek policyjnych, wypuszczana co dzień rano do miasta na przespiegi i dla prowokacji, rozsiewała pracowicie, korzystając ze swej nierozpoznawalności, wiadomość, że winnym dżumy był Antychryst-Masaniello, zza grobu knujący znowu przeciw dobrobytowi miasta. Ktokolwiek w wicekrólewskim Pałacu wpadł na ten pomysł, znał kiepsko psychologię ludu. Lud rozumował po swojemu, wśród nędzy i śmierci krzewiły się nastroje buntownicze z roku 1647. Tym więcej, że dżuma, jak niewidzialną ręką prowadzona, najobfitsze żniwo zbierała w dzielnicach, gdzie przed dziesięciu laty mieszcili się główne gniazda rebelii. Nie pomógł też pomysł postawienia przed sądem, za rozprzestrzenianie choroby, kilku nastu dawnych towarzyszy Masaniella, którzy z emigracji wrócili do Królestwa Neapolu. Mało kto brał na serio oskarżenia floty francuskiej o przygotowania do interwencji zbrojnej, pod osłoną przemycanej do miasta dżumy. Pogląd ludu streszczał się w słowach: dżuma jest zemstą Hiszpanów za tydzień triumfu Masaniella i naszych rządów w Neapolu. Niebawem wymawiano w zaułkach słowo „dżuma” jednym tchem ze słowem „zemsta”.

Jeden tylko istniał pewnik, który starano się na dworze wicekrólewskim ukryć za wszelką cenę: dżumę przywłókł do Neapolu z Sardynii, gdzie od dłuższego już czasu dziesiątkowała ludność, piętnastoosobowy oddział żołnierzy hiszpańskich. Ten pewnik usiłowano nie tylko ukryć, lecz na wszelki wypadek zrównoważyć „teorią proszku”. Prawdziwym ogniskiem zarazy był jakoby proszek, podsypywany przez wrogów Królestwa Neapolu do zbiorników wody i studzien. Dwóch przyłapanych rzekomo podsypywaczy proszku natychmiast, na wielkim placu miejskim, powieszono. Obaj należeli do dawnej „zgrai” Masaniella. Dżuma nabierała charakteru wznowionej walki między dworem i ludem, choć przecież służyć miała, w formie zamaskowanego „stanu wyjątkowego lub wojennego”, do przetrącenia ludowi kręgosłupa jednym mocnym ciosem.

VI

Czas naszkicować paroma bodaj kreskami portret hrabiego Castrillo, Wicekróla i Generała.

Fizycznie był szpetny, oślizgły, prawie odpychający. Uderzała jego sztywność, jakby nosił od szyi do bioder gorset; sztywność, która niekiedy nadawała mu wygląd szmacianej kukły wyprostowanej patykami bądź drutem. Głowę miał nieproporcjonalnie małą, rzekłbyś czaszkę obciążoną gładką, żółtawą

skórą. Jego twarz pozbawiona była zupełnie wyrazu, nawet w mdłych oczach nie zapalał się nigdy żywszy ognek. Nie znalazł uśmiechu, zastępował go w rzadkich chwilach dobrego humoru osobliwym grymasem, który nie wiadomo co znaczył: zadowolenie czy ledwo osłodzoną gorycz. Nad mówienie przedkładał słuchanie, niby to uważne, lecz w rzeczywistości roztargnione. Zdawał się zajęty przede wszystkim własnymi myślami, nie musiały jednak być ani zbyt przyjemne ani ciekawe, bo od czasu do czasu otrząsał się z nich jak człowiek, którego oblażyły robaki. Przeważały w nim sprzeczności, lecz z wyglądu przynajmniej sądząc, nie nadawał się z pewnością do odegrania roli Wicekróla „łagodnego”, niemal „ojcowskiego”.

Zawdzięczał karierę wysokiemu urodzeniu, męstwu w bitwach (choć nie lubił wojaczki i węższono w nim bojaźliwość) oraz darowi dyplomacji. Wolno się zastanawiać, co odegrało główną rolę w decyzji Filipa IV wyznaczenia go na neapolitański tron wicekrólewski; prawdopodobnie zaufanie do talentów dyplomatycznych hrabiego w połączeniu z gwarancją, że posiadał jedynak bogate doświadczenie wojskowe. Królestwo Neapolu po rewolcie Masaniella wymagało, zdaniem Madrytu, dwóch stosowanych równocześnie lekarstw: przebiegłości i „ojcowskiej łagodności”, podpartej siłą wojskową. Filip IV mówił o swoim namiestniku w Neapolu: „Dobry taktyk, dzielny żołnierz *contre coeur*, wierny sługa korony, jeżeli mnie zawiedzie, to z nadmiaru gorliwości”. Okazał się, jak zobaczymy, dobrym prorokiem.

Na stanowisko namiestnika królewskiego w Neapolu hrabia przyjechał z młodą, młodszą od niego o trzydzieści lat, świeżo poślubioną żoną Isabel. Klejnot urody zastępował jej klejnot szlachecki: była dość pospolitego pochodzenia. Lecz była ozdobą dworu wicekrólewskiego, budziła podziw i może więcej niż podziw wśród neapolitańskich arystokratów w Pałacu, na ulicach witano ją oklaskami podczas przejazdów karocą z mężem. Odnaczała się przy tym nieklamana dobrocią. Zdarzało się i dawniej żonom Wicekrólów zaglądać czasem do zaułków, ale tyle w tym było fałszu i przymusu, że wspaniałomyślne wizyty więcej pozostawiały rozjątrzenia i irytacji, niż planowanego na dworze pożytku. Ilekroć Isabel odwiedzała zaułki, wspomniano ją potem z uczuciami wdzięczności i urzeczenia. Wtajemniczeni w intencje Filipa IV mieli powody podejrzewać, że nałożony na hrabiego Castrillo obowiązek „ojcowskiej łagodności”, tak nie licujący z jego wyglądem i usposobieniem, wykonywać miała w zastępstwie męża Wicekrólowa. W każdym razie udało jej się otoczyć Pałac atmosferą nieco mniej wrogą wobec obcych rządów (wśród ludu). Co nie było błahym osiągnięciem.

Nie mieli dzieci, mimo że małżeństwo trwało już pięć lat. Rzecz jasna, w opinii neapolitańskich dworzan i prostaków

winna temu była, prócz wieku, jakaś organiczna wada Wicekróla. Niechęć do hrabiego wzbogaciła się o domieszkę pogardy.

VII

Wkrótce po północy z 12 na 13 grudnia 1655 roku na dziedziniec Pałacu zaczęły wjeżdżać karoco. Pierwszy chyba raz w ciągu swoich rządów hrabia Castrillo wezwał na tak późną godzinę wszystkich magnatów neapolitańskich, związanych w ten czy inny sposób z administracją Wicekrólestwa. Wychodzili, lub przez służbę wyprowadzani byli z karoc, zdziwieni, z minami, w których zaskoczenie przeplatało się z niepokojem. Nie może to być — szeptali do siebie na schodach księżęta, diukowie, markizi, baroni — by za tym nagłym wezwaniem nocnym nie kryło się coś poważnego, a może i groźnego!

Wicekról siedział za stołem bardziej jeszcze ponury i nieodgadniony, niż zazwyczaj. Gdy gremium było w komplecie, z ministrami stanu i członkami Izby Królewskiej na swoich zwykłych miejscach, przemówił. Niechętnie, przerywając często, jękając się jak gdyby, patrząc w sufit, sztywny i nieruchomy w czerwonym fotelu. I więcej niż znudzony — po prostu nieobecny.

Żądał, aby wszyscy wezwani wysłali natychmiast rodziny do swoich latyfundiów, albo w każdym razie daleko od stolicy Wicekrólestwa, a sami przenieśli się do Pałacu, gdzie będą należycie doglądani przez wicekrólewską służbę. Pałac stanie się na pewien czas fortecą, wszystkie jego bramy i drzwi wyjściowe będą zaryglowane i strzeżone przez straż. Do miasta należy z prowincji sprowadzić stacjonowane tam ze względu na obfitość trawy oddziały kawalerii i rozmieścić je w koszarach na peryferiach, zakazując ludności cywilnej najsurowiej wstępu na ich teren, a żołnierzom wychodzenia do miasta. Neapol miał być odtąd, na czas nieokreślony, podzielony na dwór z przyległościami, garnizon wojskowy i całą resztę, czyli ludność.

Przyglądali mu się, patrzyli nawzajem na siebie, nie ukrywając zdumienia, nawet osłupienia i popłochu. Grobową ciszę przerwał książe San Severo, najśmielszy w tym gronie, bo najwyższej urodzony, związany pokrewieństwem z dwoma rodami królewskimi. Czy Jego Wysokość okazałby na tyle łaskawości, aby wytłumaczyć obecnym przyczyny tych zarządzeń?

Wicekról spojrział na niego, jak przebudzony ze snu. Wciąż ni to znudzony ni nieobecny, nie zmieniając na milimetr swej sztywnej pozycji, milczał dość długo. Wreszcie wycedził wolno cichym głosem: „Grozą nam dwa niebezpieczeństwa. Na Sardynii

szaleje dżuma, co tydzień dobijają stamtąd do naszego portu statki z ważnymi ładunkami. W Castellamare przegrupowują się okręty francuskie, jakby szykowały się do ataku". Diuk d'Atri zapytał, czy nie można by wstrzymać komunikacji morskiej z Sardynią, oraz własną flotę przygotować do odparcia ewentualnej interwencji francuskiej. Wicekról patrzył na niego długo zimnym, mdłym wzrokiem, po czym odpowiedział krótko: „Nie, nie można by”. I uznał posiedzenie za zamknięte. Rozchodzili się wciąż oszołomieni, zamyśleni, nieskorzy do rozmów i komentarzy. Około pierwszej w nocy dziedziniec Pałacu zaczął się opróżniać. Wicekról, co nie było w jego zwyczaju, stał na balkonie i wahadłowym ruchem ręki żegnał odjeżdżających.

Dopiero po zaryglowaniu bramy Pałacu cofnął się z balkonu i przywołał do siebie skinieniem dłoni stojącego w półcieniu pod ścianą kapitana Mermoza. Diego Mermoz, trzydziestoletni olbrzym znany z szalonej odwagi, był dalekim kuzynem Isabel, którego Generał na jej prośbę przywiózł z Madrytu jako swego adiutanta polowego i oficera do specjalnych poruczeń. Miał teraz dla niego poruczenie bardzo specjalne. Nie pozostanie u boku Wicekróla, w Pałacu przemienionym w fortecę, lecz wyniesie się z niego niezwłocznie aż do odwołania do ludowej Dzielnicy Hiszpańskiej (zwanej tak ze względu na dawne budynki kwaterekowe żołnierzy hiszpańskich), znajdzie tam bądź zarekwiruje mieszkanie dla siebie i będzie stamtąd co trzy dni przysyłał pisemne raporty do Pałacu o nastrojach ludności, zwłaszcza biedoty. Raporty niech przez swego ordynansa przysyła po zmierzchu na odwach, adresując je do rąk własnych Wicekróla. Niech w tym okresie nie waży się pod żadnym pozorem przestąpić progu Pałacu.

Kapitan wysłuchał błady: z bojowego oficera zrobiono szpiega i donosiciela. Ale wyprężył się na baczność i bez słowa pożegnania odmeldował. Hrabia siedł długim korytarzem do sypialni z ledwie dostrzegalnym grymasem zadowolenia w kątach małych, zaciśniętych ust.

VIII

Jedna z kronik epoki — zresztą chaotyczna, rozwlekła i miejscami dość histeryczna — zawiera opis dnia 13 grudnia 1655 roku w życiu hrabiego Castrillo. Zdawałoby się, że autor kroniki nie mógł wiedzieć o tajnym posiedzeniu nocnym w Pałacu, czemu więc do owego jednego dnia przywiązywał taką wagę? I czemu opisał go tak, jakby dojrzał w nim ułożony zawczasu scenariusz? Wypytywałem o to znawców historii dżumy w Neapolu, żaden

niestety nie umiał mi dać jednoznacznej odpowiedzi. Najsensowniej brzmiały dwie hipotezy: albo autor kroniki należał do bliższego otoczenia Wicekróla i pisał ją anonimowo, wyłącznie na własny użytek, bez myśli o wydaniu w przyszłości; albo też kronika powstała wiele lat po dżumie, gdy wiedziało się o wypadkach dość dużo, a autor opatrzył ją bezprawnie datą 1657 dla przyciągnięcia uwagi badaczy i czytelników. Mało to na dobrą sprawę ważne dla mnie, autora współczesnej „relacji o stanie wyjątkowym”, której przysłużyć się tylko może opis wicekrólewskich czynności nazajutrz po nocnym posiedzeniu w Pałacu.

Okolo południa Wicekról konno zjechał do dzielnicy plebejskiej, przed „cudowny obraz” *di Nostra Signora del Carmine*, szczególnie czczony przez lud neapolitański. Pokłonił się nisko, przyklęknął, przywarł ustami do szyby zasłaniającej święty wizerunek. Zebrał się spory tłum, rozległy się w nim okłaski (choć nie zanadto rześiste). Hrabia Castrillo skłonił szybkim i energicznym ruchem głowę na piersi, co znano w Neapolu jako jego „generalską” odpowiedź na wszelkie hołdy.

Stamtąd wspiął się na koniu, w asyście dwóch oficerów, do nie gotowego jeszcze klasztoru *Suor Orsola*, gdzie wciąż trwały ofiarne prace pobożnych ochotników. Tłum był wielki, różnorodny, przejęty, ale zaraz zrobiono przejazd dla Wicekróla. Zeskoczył zręcznie (jak na swoją sztywność) z wierzchowca, oddał go towarzyszom, a sam chwycił wetkniętą w usypisko piasku łopatę. Nie poprzestał na symbolicznym machnięciu łopatą, kilka minut naprawdę pracował. Nagrodzono go w tłumie nie milknącą długo owacją.

Następnym etapem była mała przystań obok głównego portu. Czekał cierpliwie na zapowiedziany o tej godzinie statek z Sardynii. Załoga statku z Sardynii miała od dawna tylko prawo wyładowywać to co przywozła (przeważnie surowce) i obowiązana była wracać natychmiast na pokład i nie schodzić już z niego aż do odjazdu z Neapolu. Tym razem prócz zwykłego ładunku statek przywiózł z Cagliari oddział piętnastu żołnierzy hiszpańskich. Wicekról szepnął coś na ucho jednemu ze swych towarzyszy, który podskoczył do dowódcy oddziału: „Byliście długo na ciężkiej służbie, należą wam się święta w mieście, zameldujecie się w koszarach po Nowym Roku”.

Zapadał już wczesny wieczór, gdy hrabia Castrillo przyjął u siebie w gabinecie starą wróżkę imieniem Rossana, którą po intronizacji w Neapolu polecił mu jego poprzednik. Nazywał ją w myślach „czarownicą”, choć przekonał się parokrotnie, że jej wróżby warto brać na serio. Zamówił ją poprzedniego dnia, jak zwyczaj to robić w momentach wyjątkowych. Rozprężył się w fotelu, był wyraźnie zmęczony. Starucha postawiła na stole dużą

szklaną kulę, to zakrywała ją żółtym płótnem, to błyskawicznie odkrywała, patrząc do środka z wyrazem bolesnego napięcia w pomarszczonej twarzy i bełkotliwym szeptem bezzębnych ust. Nareszcie spojrzała mu w oczy: „Będziesz zwyciężcą na cmentarzu”. Urwała, jakby wahała się, czy powiedzieć coś więcej. Usłyszał w końcu jej przyciszony nieco głos: „I na grobie”. Nie próbował prosić o większą jasność. Znał z doświadczenia daremność takich prośb, wiedział że tej nędzarki z zaułków nie przekupi nawet sakiewką złota. Kazał jej odejść, wyciągnąwszy do ucałowania rękę z monetą. Nagłym i dziwnym dreszczem przeszył go szyderyczy błysk w jej starych oczach.

IX

Nie ma wątpliwości, że przywlekli dżumę do Neapolu żołnierze hiszpańscy z Sardynii. Nasuwają się tedy dwa pytania: dlaczego Wicekról polecił skierować ich do miasta, zamiast do wojskowego lazaretu, wiedząc że jeżeli nie wszyscy, to niektórzy z nich są zarażeni? Co się z nimi w mieście stało? Łatwiej odpowiedzieć zwięźle na drugie, skoro pierwsze stanowi składnik tkanki narracyjnej i odpowiedź na nie wyłoni się stopniowo, w miarę rozwoju opowiadania. Otóż o losie piętnastu żołnierzy hiszpańskich z Sardynii wiemy tylko tyle, ile Wicekrólowi doniósł kapitan Mermoz. Trzej zarazili prostytutki, u których zamieszkali, i niebawem umarli wraz ze swymi przygodnymi kochankami. Tam, w owym małym burdelu, narodziło się ognisko dżumy, która w ciągu stycznia przedarła się do sąsiednich zaułków w rejonie Lavinaio. O pozostałych dwunastu żołnierzach nic pewnego (raportował Mermoz) powiedzieć nie można: albo objęła ich pierwsza fala epidemii, albo zostali zlinczowani, jako winni, po pojawieniu się dżumy; w każdym razie wszelki ślad po nich zaginął.

Sumienny historyk Salvatore De Renzi pisze w książce z roku 1867 *Napoli nell'anno 1656*: „Powszechna była wtedy opinia, że dżumę przywieziono z Sardynii by zniszczyć lud, który osiem lat wcześniej wstrząsnął Hiszpanią i nie dał się jeszcze całkowicie ujarzmić. Według jednomyślnego sądu było to prawdziwe morderstwo”. De Renzi powołuje się na zdanie kronikarza epoki, kanonika Celano: „Nasze biedne miasto zostało zamordowane”. De Renzi więc, inteligentnie według mnie, wiąże dżumę z buntem Masaniella („osiem lat wcześniej”). Inni historycy (z XIX wieku) są ostrożniejsi: podkreślają dekadencję Hiszpanii jako imperium kolonialnego, tłumacząc tym jej rosnącą, ślepa bezwzględność. Przypominają, że w roku 1648

dżuma skosiła w samej Hiszpanii dwieście tysięcy osób, co mogłoby być ukrytą sprężyną potrzeby „irracjonalnego odwetu” na Wicekrólestwie Neapolu. Argumenty mało przekonujące, jakkolwiek oparte na istotnych przesłankach, zwłaszcza w przypadku zjawiska ślepej bezwzględności, towarzyszącego często rozkładowi mocarstw kolonialnych. Należy o tych argumentach pamiętać, dając jednak prymat intuicji Salvatore De Renzi. Gdyż znajduje ona oparcie zarówno w archiwach hiszpańskich, jak w poglądach współczesnych historyków hiszpańskich, koncentrujących się na osobie hrabiego Castrillo.

Omawiając w kwartalniku madryckim *Hispanidad* wielotomowe dzieło Eliasa Tejada *Napoles hispanica*, znany eseista Jorge Turga pół żartem próbuje główną tezę profesora Tejada, że Neapol pod panowaniem hiszpańskim był miastem bardziej hiszpańskim od miast rdzennie hiszpańskich. „Zapewne — ironizuje Turga — było tak bezspornie, jeśli łatwo wykryć *locura hispanica*, szaleństwo hiszpańskie, zarówno w rebelii bosych i półnagich proletariuszy neapolitańskich pod wodzą Masaniella, jak w zamiarze Wicekróla Castrillo zduszenia raz na zawsze wszelkich myśli o buncie w pętl dżumy”.

Nie do wiary prawie, że erudyta tej miary co Jorge Turga mógł z ironią potraktować prawdę, albo raczej wstydliwą połowę prawdy, którą poważnie rozważają i w zasadzie milcząco przyjmują jego rodacy historycy XVII stulecia. Dajmy spokój „hiszpańskiemu szaleństwu” Masaniella i jego towarzyszy, ale niewątpliwie hiszpańskim szaleńcem był w swoim *rzeczywistym* zamiarze hrabia Castrillo. Jego zachowane w madryckich archiwach raporty na użytek Króla nie stanowią niezbitego dowodu zbrodni, zawierają jednak dostatecznie dużo jaskrawych (dla uważnego badacza) poszlak zbrodni.

Wicekról miał zupełną obsesję na punkcie *sentido de la comunidad*, poczucia wspólnoty, które jego zdaniem Masaniello zaszczerpił w neapolitańskim plebsie. „Jeżeli chcemy dalej tym miastem rządzić, jeżeli uważamy je — i słusznie — za perłę w koronie Wicekrólestwa, za prawdziwą kopalnię wielorakich bogactw, musimy to poczucie wypalić rozżarzonym żelazem”. Ten motyw powtarza się bezustannie. Krok w krok szło za nim przekonywanie Króla (widocznie w odpowiedzi na madryckie sugestie), że ogłoszenie stanu wojennego czy wyjątkowego byłoby przez mieszkańców miasta, szczególnie przez „zbuntowany w duchu motłoch”, poczytane za dowód słabości, choćby nawet dało je się uzasadnić agresywną bliskością floty francuskiej. „Trzeba czegoś więcej — powtarzał — czegoś straszniejszego, nawet, lecz skutecznego jak operacja chirurgiczna”. To są raporty *przed* nadejścia dżumy. Potem motywem przewodnim w raportach staje się równie maniakkalne dowodzenie, że dżuma nie

jest żywołem, że można ją „kontrolować” i mimo całej jej okropności („którą dobrze znamy z naszej własnej przeszłości”) „kierować ją we właściwym kierunku”. Tu ocieramy się do prawdy o *locura hispanica*. Ale jest to szaleństwo logiczne, bo hrabia w niektórych raportach podkreśla „cechy dysgregacyjne dżumy w życiu społecznym” językiem zbliżonym prawie do wywodów i spostrzeżeń Defoe.

Nie, nie waham się twierdzić, że Wicekról rozmyślnie, na zimno, sprowadził dżumę do Neapolu i powierzył jej określone zadanie do spełnienia. Jakże? Wtrącenia części ludu neapolitańskiego do grobu; rzucenia reszty, ocalałych, na kolana. De Renzi i kanonik Celano mieli rację, pisząc o zamiarze zamordowania miasta. Ja, który każdy stan wojenny czy wyjątkowy uważam za zbrodnię, ze zgrozą myślę, w jaki sposób szatański pomysł hrabiego Castrillo skazał na niewyobrażalne męki, od stycznia do początku września 1656, „Neapol hiszpański”.

X

W naszym stuleciu, w „epoce pieców” i „białych krematoriów”, w czasach odkrywania i odkopywania masowych grobów, wielkie liczby ofiar tracą swą siłę. Więcej — zacierają jakby i pospolitują ludzką tragedię, znieczulają wyobraźnię na rozmiary cierpienia. Może było tak i niegdyś, bo co zbyt ogromne, ma na ogół tendencję do otepiałego powszednienia. Ale niezależnie od tego, jak działały i działały niegdyś wielkie liczby, nie da się ich pominąć. W siedemnastym wieku Neapol był drugim co do wielkości miastem w Europie. Wypośrodkowując między wyższymi i niższymi szacunkami, liczył około siedmuset pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. W ciągu ośmiu miesięcy dżumy przeszło połowa z nich zmarła.

Nie brak dokładnych, drobiazgowych niekiedy sprawozdań z życia miasta zarażonego, nie odważę się jednak sięgnąć do obfitego materiału. Czuli bym się kopistą czy co najmniej naśladowcą nieprześcignionego dziennika Defoe, jakkolwiek przy zasadniczym podobieństwie dżumy w Londynie i w Neapolu, zdarzały się także godne pióra różnice: zadżumieni londyńczycy i neapolitańczycy chorowali i umierali tak samo, ale (co zapewne przepisać należy specyficznym cechom charakteru narodowego) neapolitańczycy częściej od londyńczyków padali ofiarą przedśmiertnych ataków obłędu. Nie należał do rzadkości obraz ludzi, rażonych podwójnie: przez chorobę ciała i skrajną konfuzję umysłu. Pasquale, kronikarz skrupulatny i wiarygodny, zestawił bogatą listę różnorodnych form pomieszania zmysłów.

O dreszcz przyprawia zestawiona przez Pasquale lista: oto ktoś pędzi przed siebie z przejmującym krzykiem i skacze w przepaść lub do morza; oto ktoś inny przechadza się wolno ulicą i naraz z takimże krzykiem usiłuje wdrapać się na fronton mijanego domu, aby spaść na bruk bez życia; oto ktoś inny jeszcze, jak ścigany zbieg z więzienia, ucieka w nagłym przypływie energii i pada martwy pod murem, zawsze twarzą do muru.

Zadowolnić się w tym krótkim opowiadaniu trzeba, w dążeniu do syntetycznej wizji dżumy w Neapolu, słowami kanonika Celano: „Nie stawało miejsca na cmentarze, nie stawało chętnych do grzebania. Widziały moje biedne oczy ulicę Toledo, gdzie podówczas mieszkałem, tak zasypaną trupami, że karoco jadące w kierunku Pałacu wgniatały głębiej i głębiej w ziemię ochrzczone mięso ludzkie”.

Wicekról zaś, za murami swej fortecy, miał prawo zacierać ręce. Stało się to, czego pragnął, czego nie ukrywał nawet w raportach przygotowywanych dla Madrytu: pękły wszystkie więzy społeczne i rodzinne. Tak o tym pisał ówczesny historyk Florio: „Nie było rzeczą możliwą ujrzeć przyjaciela pocieszającego przyjaciela lub spieszącego mu z pomocą, krewnego wyciągającego rękę do chorego krewnego, męża żegnającego konającą żonę. Lekarz dotykał chorego i uciekał. Sługa podawał panu obiad i uciekał. Ojciec chorego syna, żona zamykała na klucz drzwi od pokoju złożonego niemocą męża. Syn nie śmiał pochować zmarłego ojca, lecz nocą wynosił go owiniętego w prześcieradło przed bramę domu, oczekując, że furgon grabarzy zauważy i zabierze zwłoki”. Zalety „dysgregacyjne” dżumy napępniały satysfakcją hrabiego Castrillo. Miasto było na jego łasce i niełasce.

Najwyższe nasilenie dżumy i największa liczba jej ofiar przypadają na lipiec i sierpień. Zwłaszcza upalny sierpień, *agosto di fuoco*, dokonał spustoszeń przewyższających wszystkie poprzednie miesiące. Miało się niebawem okazać, że był punktem szczytowym dżumy tuż przed jej wygaśnięciem.

W połowie sierpnia znaleziono o świecie między kolumnami w pałacowym krużganku zwłoki kapitana Mermoza. Skąd się tam wziął, jakim sposobem żywy jeszcze i chory lub martwy już i podrzucony przez kogoś, przeniknął do zamkniętego i strzeżonego Pałacu, było tajemnicą. Milczą o niej kroniki epoki. Milczą również o okolicznościach zgonu, w tydzień później, pięknej Isabel, której zwłoki z brzuchem wzdętym jak w ciąży Wicekról kazał zamurować w grobowcu w podziemiach Pałacu, wypędzwszy do miasta dwie pokojowe hiszpańskie, obsługujące Wicekrólową w jej sypialnej komnacie. Jak i na co zmarła Isabel? Mogłyby o tym coś powiedzieć tylko jej dwie pokojowe, gdyby i po nich nie zaginał rychło wszelki ślad jak po dwunastu żołnierzach

hiszpańskich. Czyżby zarazki dżumy przecisnęły się jednak, albo zostały przemycone, do Pałacu? Kronikarzom epoki zabrakło widać danych do odpowiedzi na to pytanie, tym bardziej że wkrótce potem wygaśnięcie dżumy skierowało wszystkie myśli w inną stronę.

XI

Po Biczu Bożym nastął Deszcz Boży. Zasługiwał na taką nazwę deszcz z początku września 1656. Czegoś podobnego nie widziano w Neapolu ani przedtem, ani nigdy potem. Zdawało się doprawdy że Bóg, wychłostawszy okrutnie miasto, otworzył miłosiernie upusty niebieskie dla obmycia zadanych mu ran. Oberwały się czarne chmury skotłowane nad Neapolem, ulicami i zaułkami płynęły rwące potoki, na placach tworzyły się jeziora, wzdłuż morza dudniła na promenadzie szeroka rzeka. Potop, *diluvio universale* według określenia kronikarza, trwał cztery dni i cztery noce. Ludzie nie wychodzili z domów, czując że zbliża się kres udręek. Ledwie ustał oczyszczający Deszcz Boży i w ciągu jednego dnia słońce obsuszyło trochę miasto, miejsce wody zajęły płomienie w kłębach dymu: palono wszystko co mogło być zarażone, meble, pościel, stare łachy; Neapol zrzucił z siebie chorą skórę, pewny już — choć nie śmiał tego wyrażać słowami i okrzykami radości — że szybko porośnie zdrową.

W miesiąc później Wicekról — którego nazywano teraz wszędzie, nie wiadomo dlaczego, Generałem, *Il Generale*, jakby to on niczym Święty Jerzy włócznią przebił smoka dżumy i przegnał nią z Castellamare flotę francuską — poprowadził na czele orszaku procesję dziękczynną do kościoła Niepokalanego Poczęcia. Szły za orszakiem tłumy. Wicekról stąpał wolno, z głową poderwaną dumnie do góry, z wotywną świecą w prawej ręce, z lewą opartą na rękojeści szpady, przy dźwiękach fanfar i kościelnych dzwonów. Co w nim przeważało? Duma czy święty lęk Boży, *santo timor di Dio*? Duma — powiada De Renzi — powiodło mu się bowiem „przerobienie, na modłę Nerona, naszego miasta”. Zagadkowe słowa, ale w duchu mojej „relacji o stanie wyjątkowym”.

Filip IV, od dawna bezdzietny i nieszczęśliwy z tej przyczyny, doczekał się nareszcie syna. Narodziny następcy tronu w Madrycie uczcił Wicekról balem w neapolitańskim Pałacu, balem w którym wzięła udział nieprzebrana rzesza ludzka, także zaproszeni po raz pierwszy przedstawiciele plebsu (w tym paru dawnych towarzyszy Masaniella), których hrabia Castrillo powołał zaraz po dżumie do Senatu miejskiego. Nie tak łatwo było

docisnąć się do czerwonego fotela wicekrólewskiego, by „ucałować generałską rączkę”, *baciare la manina del Generale*. Nigdy dotąd Wicekról nie cieszył się cząstką bodaj tej uwagi, jaką okazywano mu obecnie, po dżumie, w mieście pomniejszonym przez nią o połowę mieszkańców. Czemu tak było, nie potrafił wyjaśnić nikt z kronikarzy epoki i późniejszych historyków. Lecz tak było, muszę zatem odnotować to w mojej relacji.

Fakt, że Wicekról urządził bal w Pałacu nie czekając na koniec żałoby po śmierci żony, stał się dla całego Neapolu sygnałem do skrócenia żałoby po wszystkich zmarłych, mimo postowań i gromów duchowieństwa. Nie upłynął nawet kwartał od ozdrowieńczego września, a Neapol zanurzył się w szale zabaw, libacji, festynów ludowych, iluminacji, fajerwerków, niepohamowanego sensualizmu (gwałtowniejszego niż kiedykolwiek w przeszłości, zauważa kronikarz).

Hrabia Castrillo donosił z odcieniem samochwalstwa Filipowi IV, że jego poddani w Wicekrólestwie, „choć poważnie z woli Nieba w liczbie uszczupleni, zadowoleni są ze swego losu i po tym co wypadło im przeżyć niepamięcią i wyrzeczeniem okryli dawne, niebezpieczne dla tronu rojenia i uroszczenia, za co Bogu i jego wiernym sługom niech będą dzięki”. Za całą nagrodę monarcha odwołał wiernego sługę Bożego do Madrytu, nadał mu tam jeszcze jeden tytuł honorowy i zalecił długi, zasłużony odpoczynek w ojczystych majątnościach pod Burgos, a do Neapolu na wicekrólewski stolec posłał hrabiego Pegnaranda.

XII

W epilogu swego *Dziennika roku dżumy* Defoe nie powstrzymał się od melancholijnej konkluzji: o ogóle mieszkańców Londynu można po dżumie powiedzieć to, co powiedziano o synach Izraela po przejściu przez Morze Czerwone; że, mianowicie, opiewali Jego chwałę, lecz zapomnieli szybko o Jego dziełach.

Gdy wypaliła się euforia ocalenia po neapolitańskiej dżumie, gdy nacieszono się do syta życiem o krok od śmierci, dały o sobie znać prawdziwe i głębokie skutki tych straszliwych ośmiu miesięcy. W znakomitej większości opracowań historycznych przewija się ten sam lament: przez pół blisko wieku, do końca XVII stulecia, w Wicekrólestwie Neapolu panowały się demoralizacja, korupcja, pogarda dla praw Boskich i ludzkich, niechęć do pracy, obojętność, apatia, atrofia oporu przeciw obcemu panowaniu. Dżuma zabiła w ocalałych, w ich dzieciach, wnukach

i prawnukach smak, wartość i godność życia zrzeszonego, ze wszystkimi jego blaskami i nędzami.

„Dzuma?”. Hrabia Castrillo, dopóki jeszcze żył na pozłanym zesłaniu w swych posiadłościach, wzruszeniem sztywnych ramion przyjmował te wieści z podległego niegdyś kraju. „Dzuma? — gładził w zamyśleniu i milczeniu czoło, nie dopuszczając by wąskie wargi ułożyły się w triumfalny uśmiech. — Mój stan wojenny, mój stan wyjątkowy”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Styczeń 1990

Nagroda srebrnojubileuszowa PFK im. Prezydenta RP E. Raczyńskiego

W związku z 25 rocznicą powstania Polskiej Fundacji Kulturalnej, zarząd Powierników Fundacji uchwaślił ufundowanie corocznej Nagrody PFK im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w wysokości £1.000. za najlepszą pracę o tematyce historycznej i politycznej, wydaną w Kraju lub na emigracji.

Tegoroczna Nagroda dotyczy prac opublikowanych w latach 1987 i 1988. Termin nadstawiania prac: **do 31 grudnia 1989 r.**

Adres: **PFK, 9 Charleville Road, London W14 8JL**

Maciej STRZEMBOSZ

Z SYMONIDESA

Niezliczone w powietrzu
szybowaly ptaki.
Ryby przeżyły swe ciała
srebrne i wilgotne.
Wiatr, słońce dotykały ziemi
wytrwale i czule

Aż otworzyła swe wnętrze
i czern jej stała się głębsza
od snu wśród cichej, bezgwiazdnej nocy.

Z wnętrzości czasu jak z rybiego brzucha
błyśnie nieraz diament — wpół urwana fraza...
Zapomnianego życia niejasny testament.

Maciej STRZEMBOSZ

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

ALE KINO...

Juozas Urbšys, jeżeli jeszcze żyje, ma 95 lat: urodził się w 1896 roku. Zawodowy wojskowy i dyplomata, był ministrem spraw zagranicznych Litwy w latach 1938-1940, czyli — można powiedzieć po chińsku — w najciekawszym okresie historii swego kraju. Urbšys był świadkiem i aktorem wszystkich wydarzeń tego czasu, od polskiego ultimatum w 1938 roku poprzez zagarnięcie Kłajpedy przez Hitlera w 1939 roku po wejście czerwonej armii w październiku tego samego roku, no i, naturalnie, okupację kraju po ultimatum sowieckim w czerwcu 1940.

Urbšys wraz z żoną zostali aresztowani niedługo po zagarnięciu Litwy, ale udało im się, żywym, powrócić na Litwę w 1956 r. za Chruszczowa. Dzięki temu Urbšys mógł spisać swe przygody. Ukazały się one, żeby było śmieszniej, w prasie... litewskiej w 1988 roku. Urbšys jest chyba jedynym żyjącym uczestnikiem rozmów Litwinów ze Stalinem i Mołotowem w latach 1939 i 1940. Jego notatki to fascynujący dokument. Urbšys opisuje m.in. pierwszą rozmowę na Kremlu, 3 października 1939, w kilka dni po zamordowaniu Polski. To wtedy właśnie Stalin zaproponował Litwinom dwa traktaty. Pierwszy o wspólnomyślnym podarowaniu Litwie wówczas białoruskiego Wilna, drugi o stacjonowaniu na teźże odpowiednio powiększonej Litwie 50.000 (w istocie więcej) żołnierzy sowieckich.

Urbšys, naturalnie, zgodził się na pierwszy, ale nie miał mandatu (ani ochoty) na negocjowanie drugiego. Wykrzyknął tyłko: „Ależ to równa się okupacji Litwy”.

Na co Stalin z subtelnym humorem: To dla waszego bezpieczeństwa. Nasze wojska pomogą wam przecież unicestwić komunistyczny bunt, gdyby do niego miało dojść”.

Resztę państwo pamiętają. Litwini też niczego nie zapomnieli. W chwili kiedy piszę te słowa, mogliby powołać się na obietnicę Stalina i poprosić Gorbaczowa, żeby wojska sowieckie, których jest na Litwie coraz więcej (nie wiem czy mniej czy więcej niż 50.000 wystanych przez Stalina) pomogły im dziś likwidować niewątpliwy wszak spisek komunistyczny przeciwko Litwie.

Tendencja litewskiej pamięci

Litwini w ogóle mają dobrą pamięć. I mają co pamiętać. Czesław Miłosz, który był na Litwie w owym roku 1939, w wywiadzie dla *Le Monde* powiedział, że Litwini to „najbardziej uparty naród na świecie”. Ale słowa jego można także przetłumaczyć na „najbardziej pamiętliwy”. Pamięć, powiadają do Litwinów psycholodzy, ma tendencję optymistyczną. Być może, odpowiadają Litwini, ale nie u nas i nie nasza. Wam się zdaje, dodają Litwini — ale to mogą zrozumieć tylko Miłosz i inni Polacy wychowani na Mickiewiczu — że to Wojski gra, a my wiemy, że to wojsko grało.

Przejazd czołgów o północy przez miasta i miasteczka, defilada przed parlamentem, lądowanie spadochroniarzy dla — jak powiadają — ochrony obiektów użyteczności publicznej i życia ludzkiego, okupacja budynków państwowych, zamykanie granic, blokada morską, wielkie i ostentacyjne manewry wzdłuż granic Litwy i na jej terytorium: skąd Polacy to znają?

Jeżeli chodzi o pamięć, to Litwini mają spory wybór. Ale psychologii nie znają i tendencji optymistycznej nie odnajdują. Do czego rzeczywiście można by porównać to, co się obecnie (uwaga: obecnie, to znaczy w pierwszych dniach kwietnia 1990) dzieje na Litwie? Do pacyfikacji Berlina w 1953 roku? Do inwazji Węgier w 1956 roku? Do likwidacji wiosny praskiej w 1968 roku? Co jeszcze jest na składzie: Gruzja z lat 20-tych, Afganistan? A może po prostu czas przed polskim grudniem roku 1981?

Propozycja atrakcyjna i pozornie wiarygodna. Na pierwszy rzut oka polski scenariusz nie jest bez szans. Metody stosowane przez Gorbaczowa wobec Litwy rzeczywiście bardzo przypominają to, co Breżniew i ci, co się do niego przyłączyli, wyczyniali wobec Polski w 1981 roku.

W Polsce w grudniu 81 bawił, żeby tak to określić, marszałek ZSSR Kulikow; na Litwie w marcu 1990 znalazł się nagle „generał (marszałków już w ZSSR prawie nie ma) Warennikow, szef sztabu wojsk lądowych ZSSR.

Polska, jak pamiętamy, pokryta została jesienią roku 1981

gęstą siecią komisarzy wojskowych, oficjalnie wysłanych dla ochrony przed anarchią, a w istocie instalujących aparaturę i infrastrukturę stanu wojennego. Na Litwie wojsko sowieckie zajęło, ciągle zajmuje, centra mniej lub bardziej istotne dla kontroli sytuacji: gmachy partyjne, prokuratury, drukarnie, a mówiło się także o radiu i o telewizji.

Tak jak w Polsce dziewięć lat temu, wojna psychologiczna i „hecowanie” klimatu dziś potęgują szantaż wojskowy wobec Litwy. I w Polsce i na Litwie generałowie przestrzegali przed chaosem i anarchią, a przede wszystkim przed terrorem antykomunistycznym. W Polsce wołano „uwaga, Solidarność będzie komunistów wieszać”; na Litwie generał Warennikow ujawnił, że Sajudis, widocznie łagodniejszy, przygotował nie szubienice, a tylko gułagi dla komunistów wiernych Moskwie.

Tak jak w Polsce w 81 roku, niektóre gazety oddały potwarz w służbę dyktatury. *Krasnaja Zwiezda*, tak jak jej bratni *Żołnierz Wolności*, najwyżej niosły sztandar kalumnii. Wałęsa był agentem imperializmu, ojciec Landsbergisa okazał się, z pewnym opóźnieniem, budowniczym hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Gdzie jest litewski Jaruzelski?

Mniejsza o detale, można by tę listę jeszcze ciągnąć. Ważne jest pytanie, czy z tego zestawienia wynika, że wojskowy zamach stanu był na Litwie nieunikniony. Wysłałam ten tekst trzy tygodnie przed jego drukiem i dziś, w połowie kwietnia, uważam, że nie. Nie jest nieunikniony.

Mimo zachęcających zbieżności, sytuacja jest zupełnie inna. Po pierwsze, Gorbaczow nie dysponował litewskim generałem Jaruzelskim. Nie było też ani ŻOMO ani wojska litewskiego, zdolnego do samodzielnego zdławienia ruchu niepodległościowego. Nie było WRON-u ani PRON-u, nikogo zdolnego do wybrania „mniejszego zła” i zarządzania jego skutkami. Zresztą dziś, po latach, rezultat osiągnięty przez wojskowych menadżerów w Polsce nie zachęca specjalnie do powtórzenia eksperymentu.

Po drugie układy międzynarodowe z początkiem kwietnia 1990 w zasadzie (co nie znaczy, że tak będzie zawsze) odradzały uderzenie czołowe. Stan wojenny Jaruzelskiego wywołał nieprzystojne echo na świecie, a przecież był to, że tak powiem, czysto polski akt gwałtu. Można sobie wyobrazić, że reakcja na gwałtowne, wyłącznie sowieckie udławienie Litwy przyniosłaby Moskwie szkody znacznie większe i trwalsze. Jakikolwiek akt powszechnego gwałtu, wojskowy, policyjny, czy nawet oficjalnie

„cywilny”, musiałby wywołać, na jakiś czas, dyplomatycznie niebezpieczną i dla Gorbaczowa kosztowną reakcję Zachodu. Popularność za granicą, *prejugé favorable* wobec Gorbaczowa, coś w rodzaju uczucia wdzięczności w państwach Europy Wschodniej, raczej irracjonalna sympatia światowej, zwłaszcza niemieckiej, opinii publicznej, to najmocniejszy atut Gorbaczowa, główny sukces pięciolecia jego władzy.

Otóż tolerancja — z przeświadczenia czy z wyrachowania — Gorbaczowa dla rozmaitego typu ruchów emancypacyjnych to zasadniczy wstępny warunek zamiany tego kapitału sympatii w kapitał zaufania i doprowadzenia Zachodu do progno prawdziwej konkretnej współpracy, politycznej i gospodarczej i to na taką skalę, która by naprawdę pomogła Gorbaczowowi w odbiciu się od dna i dała jego *pieriestrojce* szanse powodzenia. Stawka jest więc ogromna.

Także z tego punktu widzenia zachodzi dość zasadnicza różnica między Polską a Litwą. Uwzględniając normalną a może większą niż normalną dawkę hipokryzji, likwidacja Solidarności mogła być w optyce Zachodu sprawą wewnętrzną Polski: jedni Polacy wykańczali innych Polaków. Francuski minister Cheysson był więc szczery (teraz bardzo żałuje) ale logiczny, kiedy zapytany, co jego rząd robi w odpowiedzi na pucz w Warszawie, bez wahania odpowiedział „Naturalnie nic”.

Gdyby Sowietci zbrojnie rozbili Litwę, następcą Cheyssona nie mógłby tego, ani tak, powiedzieć. Świat, naturalnie, znowu umyłby ręce, ale — choć Europy zachodniej Litwa właściwie nie wzrusza (parlament europejski w Strasburgu ledwo burknął) — nie byłoby to takie łatwe mycie. Solidarność była, że tak powiem, tylko ruchem opozycyjnym. Landsbergis jest legalnie i demokratycznie wybranym szefem demokratycznie i legalnie wybranej władzy republiki litewskiej, której zagrabienia przez ZSSR Zachód nigdy formalnie nie uznał.

Zbrojna akcja na Litwie nie zepchnęłaby być może świata do zimnej wojny, ale w zdecydowany sposób wzmocniłaby pozycję USA w Europie, odłożyłaby *ad calendas Graecas* wszelkie aluzje o wycofaniu wojsk amerykańskich z Europy, wrzuciłaby na długo zjednoczone Niemcy w klamrę NATO, no i uzasadniłaby niezbędność wojskową Paktu Atlantyckiego. Inaczej mówiąc, stanęłaby w sprzeczności z podstawowymi celami dyplomacji Gorbaczowa.

Dla tych wszystkich powodów, niezależnie od jego prawdziwych intencji (to dla historii nie ma znaczenia), Gorbaczow musiał zachować się w 1990 roku na Litwie inaczej niż Breżniew dziewięć lat temu w Polsce, nie mówiąc już o Stalinie pięćdziesiąt lat temu.

Scenariusz według Gorbaczowa

Scenariusz opracowany przez Gorbaczowa odpowiadał tej nowej sytuacji. Był on wpisany między dwa aksjomaty. Z jednej strony, nie powinien w Wilnie powtórzyć się pekiński plac Tien Anmen ani nawet kopalnia Wujek. Z drugiej strony, żadna republika nie powinna mieć możliwości opuszczenia Związku Sowieckiego na zasadzie jednostronnie proklamowanego faktu dokonanego i żaden żołnierz czerwonej armii nie może bezkarnie dezertować. Gdyby Gorbaczow na to pozwolił, Rosja bardzo szybko zostałaby bez kolonii, a armia czerwona bez żołnierzy.

Na Litwie Gorbaczow stanął prawdopodobnie w obliczu najtrudniejszej sytuacji w swojej karierze. Przykład Europy wschodniej stanowił memento. „Doktryna Sinatry” zamiast doktryny Breżniewa, to znaczy zezwolenie krajom bloku komunistycznego w Europie środkowej i wschodniej na obranie własnej drogi, miała przyspieszyć reformy, a zwłaszcza urentownić satelicką konstrukcję, uwspółcześnić ją, dostosować do nowych układów międzynarodowych i aspiracji narodowościowych, ale nie zakładała absolutnie tego, co się stało, to znaczy błyskawicznego całkowitego rozwalenia komunizmu, ostatecznego rozpadu systemu.

Otóż, to samo — *toute proportion gardée* — dotyczyło zgody na rozszerzenie autonomii krajów bałtyckich. Gorbaczow wiedział, co robi. Choć spodziewał się, że *glasnost*’ zaostrzy apetyty Bałtów, postanowił ryzykować i stworzyć tam laboratorium dla *pieriestrojki*, aby uprzedzić i zamortyzować procesy emancypacyjne. Udało mu się, ale nie spodziewał się, że do tego stopnia. Litwini ogłosili niepodległość. Na to Gorbaczow zgodzić się nie mógł. I tak zaczęła się wielka wojna nerwów sowieko-litewska i tak zaczął się rodzić pierwszy międzynarodowy spór epoki po-zimnowojennej.

Naturalnie, w polityce nie ma sytuacji identycznych: w przypadku Litwy nie chodzi o destalinizację, a o dekolonizację. To jest zasadnicza różnica. Żadne państwo Europy wschodniej, choć niektóre się nawet o to starały, nie zostało przecież nigdy formalnie włączone w skład Związku Sowieckiego.

Ale wydawać się mogło, że Gorbaczow, przy wszystkich zastrzeżeniach i różnicach, będzie jednak skłonny, na dłuższą metę, do szukania możliwości zastosowania wobec Litwy i pozostałych republik bałtyckich o podobnych aspiracjach i argumentach, modelu, nazwijmy go, polskiego. Inaczej mówiąc, że doktryna Breżniewa zostanie uznana za nieproduktywną w stosunkach nie tylko z imperium zewnętrznym, ale także imperium wewnętrznym.

A tymczasem sytuacja rozwinęła się inaczej. Dlaczego?

Odpowiedzi jest, jak zwykle, kilka. Przede wszystkim Gorbaczow mógł uznać, że nie może rozpocząć prezydenckiego mandatu od chwili słabości czy wahania. Uznał może, że to właśnie jest chwila, kiedy powinien wykazać tzw. autorytet. Litwini mieli pecha, kwestia litewska była pierwsza na wokandzie nowej prezydentury. Nowy prezydent uznał więc może, że nie po to wyposażył się w ogromne prerogatywy, aby z nich nie korzystać i to na samym początku.

Można sobie także wyobrazić, że Gorbaczow nagle, właśnie na samym starcie, to także prawidłowość, znalazł się pod ostrym naciskiem połączonych sił przeciwników *pieriestrojki*. Nie mogłem przewidzieć, jakie będą w maju układy na Kremlu i w okolicy, ale z końcem marca była tam koniunktura na dogadanie się partyjnej konserwy, wojska (pamiętać wszak należy) „zwyyczajnych”, że tak powiem, Rosjan przywiązanych do imperium, a także przedstawiciele 25 milionów Rosjan, przeważnie nomenklaturowców, zamieszkujących nierosyjskie skolonizowane terytoria.

No i wreszcie Gorbaczow, on sam, nie trzeba o tym zapominać, uważa się za szefa imperium. Gorbaczow to ambitny polityk, nie dał się wybrać na zasadzie mandatu likwidatora. Gorbaczow wyobrażał sobie, że jego misją czy przeznaczeniem jest nie likwidacja super-potęgi sowieckiej i imperium, a ich obrona, zapewnienie im warunków przejścia w XXI wiek, ich unowocześnienie i utrwalenie na opłaczalnych zasadach.

Przecież Gorbaczow nie tylko nie protestował, ale nawet się nie skrzywił, kiedy w antylitewskiej debacie na Kremlu powołano się na to, co się określa eufemizmem o „dobrowolnym akcesie” Litwy do Związku Sowieckiego w 1940 roku, choć był to skutek układu Stalina z Hitlerem.

Gorbaczow mógł się więc poczuć zagrożony w tym właśnie litewskim epizodzie, powiedzieć sobie, nie bez racji zresztą, że po Litwie przyjdą Łotwa i Estonia, potem np. Mołdawia (to przecież taka sowiecka NRD, z większością narodu po drugiej stronie granicy), Gruzja i inne, no i na koniec Ukraina.

Gorbaczow nie mógł więc powitać decyzji litewskiej secesji z pieśnią na ustach. Postanowił działać. Ponieważ, z powodów jak wyżej, wolał unikać otwartego gwałtu, nie mógł, naturalnie, sięgnąć do wypróbowanych pretekstów regulowania sporów politycznych w Rosji, takich jak morderstwo Kirowa czy spisek Tito, nie mógł posłużyć się ani Rokossowskim, ani, z braku kandydatów, Jaruzelskim. Tym mniej zresztą, że Litwa to przecież nie Azerbejdżan (choć w Moskwie nie cofano się przed takim porównaniem) i że przez pierwszy miesiąc po proklamo-

waniu niepodległości na Litwie nie została przelana ani jedna kropla krwi.

A ponadto Gorbaczow powtarzał wiele razy, zwłaszcza po masakrze w Tyflisie, że nie będzie stosować siły w rozwiązywaniu politycznych sporów w ZSSR. Gorbaczow powiedział to Bushowi w czasie szczytu na Malcie, Szewardnadze powtórzył to wobec Bakera w marcu w Namibii i w kwietniu w Waszyngtonie.

W przypadku Litwy Gorbaczow sprawiał poza tym wrażenie, że chciał uniknąć drastycznych decyzji, niosących ryzyko konieczności użycia siły. Gorbaczow dawał do zrozumienia, że chodzi mu przede wszystkim o zyskanie na czasie. Starał się proces targowania się o Litwę rozciągnąć w czasie tak, aby Moskwa zdążyła wypracować i uchwalić ustawę o secesji, która, dziś już wiemy, stanowi prawdziwy tor przeszkód, rozciągnięty na pięć lat i dający ostatnie słowo nie Litwinom czy innym „separatystom”, a Radzie Najwyższej w Moskwie, w której, jak na razie, słowiańscy obrońcy imperium dysponują zdecydowaną większością.

Trzecia strona medalu

Gorbaczow uruchomił więc na Litwie bardzo wykwintnie preparowany mechanizm zastępczy, alternatywę do otwartej akcji zbrojnej. Z dylematu „czołgi czy kapitulacja” Gorbaczow znalazł trzecie wyjście: egzekucję przez powolne uduszenie. Coraz ostrzej pisane ultimata, żądanie wykupu jak z tatarskiej niewoli, wojna nerwów, zastraszanie, szantaż, presja gospodarcza, okupacja budynków, paraszutyści, blokada, zamykanie gazet litewskich sprzyjających Sajudisowi, konfiskata broni myśliwskiej, oblawy na dezertersów, usuwanie urzędników, np. prokuratorów mianowanych przez Landsbergisa, zachęcanie do donosicielstwa, groźba aresztowań, to wszystko tylko środki, które miały się złożyć na bardzo kompleksową operację, stanowiącą polityczną ripostę, starannie opracowaną, na zimno przeprowadzoną i skutecznie kryjącą siłowy w istocie charakter interwencji.

Sięgając do klasyków, czerpała ona natchnienie nie w skrytobójstwie, a w metodzie salami, stosowanej z powodzeniem na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Polsce w drugiej połowie lat 40-tych, kiedy to komuniści obcinali kawałek po kawałku, aż do skutku, zakres ledwo co zdobytej wolności.

Celem operacji było przeprowadzenie dowodu, że nie ma litewskiej niezależności, albowiem w istocie i w rzeczywistości władza spoczywa w rękach sowieckich. Inaczej to formułując, chodziło o wykazanie bardzo prostej prawdy, aż przykro to

odkrywać, że nie wystarczy powiedzieć, że się ma władzę, aby ją istotnie sprawować, i że nie wystarczy proklamować się niezależnym, aby nim rzeczywiście być.

Jeszcze inaczej mówiąc i posuwając te refleksje nieco dalej, wiosną 1990 roku na Litwie Gorbaczow przeprowadził (dziś jeszcze nie wiem, z jakim skutkiem) próbę generalną modelu pełzającej, kroczącej, bezlitosnej, ale niegwałtownej, brutalnej i cynicznej, ale bezkrwawej i skutecznej, sowieckiej *de facto* okupacji i kontroli republik, które śladem Litwy czy Bałtów w ogóle chciałyby Związek w taki czy inny sposób opuścić. Kontroli lub okupacji poprzez wojskowe i cywilne, głębokie, korozyjne i paraliżujące spenetrowanie społeczeństwa i państwa lub, jak mi to „podrzuciła” przez telefon Roma Bratkowska, przez wessanie się w naród. Zapamiętajcie ten termin, on ma szanse pozostania w antologii politycznej. Mówiąc teatralnie, przez kilka aktów miałyby trwać komedia pomyłek, to znaczy rodzaj dwuwładzy sowieckiej (prawdziwej) i litewskiej (na niby), natomiast w epilogu Landsbergis miałby się obudzić pewnego dnia i zauważyć, że już niczego nie kontroluje.

Świat błogosławi

Scenariusz ten ma szanse powodzenia. Tym bardziej, że w operacji tej Gorbaczow dysponuje także potężnym atutem zagranicznym: świat się z nim zgadza. Brutalne, ale bezkrwawe „sałami” Gorbaczowa ma ciche poparcie dwóch zasadniczych sił: Kościoła i Zachodu.

Upłynęły dwa długie tygodnie, zanim papież powiedział kilka słów na temat Litwy. Jeszcze dłużej odczekał arcybiskup Wilna, który za pośrednictwem włoskiej *La Repubblica* wyraził co prawda pewność, że Litwa doczeka się w końcu statusu Polski czy Czechosłowacji, ale przede wszystkim zachęcał do spokoju i rozważy oręż piętnował „gorące głowy”.

To prawda, że sprawa litewska wybuchła w niedobrym momencie z punktu widzenia dyplomacji watykańskiej. Od grudniowej wizyty Gorbaczowa u papieża watykańska ostpolityka nabrała tak niebywałego tempa, że z końcem marca można już było ogłosić o nawiązaniu, po raz pierwszy od 1917 roku, stosunków prawie-dyplomatycznych (nie wiadomo jak je nazwać — sytuacja jest bez precedensu) między Moskwą a Watykanem.

Ks. Adam Boniecki przypomniał w *Tygodniku Powszechnym*, że jedyne dialogi sowiecko-watykańskie w ciągu ostatnich 72 lat sprowadził się do podpisania porozumienia w sprawie papieskiej misji humanitarnej w 1922. Działalność tej misji zbiegła się

ze szczególnie okrutną, jak pisze Boniecki, akcją przeciw religii i z okresem nie mniej okrutnego głodu. Dziś można powiedzieć, że jeżeli chodzi o głód, że sytuacja się bardzo nie zmieniła, ale jeżeli chodzi o akcję przeciwko religii, to rzecz się ma wprost przeciwnie. Nie tylko nie jest prześladowana, ale stały kontakt Rzymu z Moskwą ma umożliwić relegalizację Kościoła unickiego, rewindykację jego mienia, odbudowę struktur kościelnych w ogóle, no i, *last but not least*, podróż papieża do ZSSR i na ...Litwę.

Stawka jest ogromna, nie tylko dla Watykanu. Zachód też nie miał wiele do powiedzenia w obronie litewskiej niepodległości. Landsbergis wołał, że wiele zależy od tego, co Zachód może uczynić. Ale, poza retoryką, Zachód mógł albo chciał uczynić niewiele. Linia postępowania Zachodu sprowadzała się do hasła „Ciszej nad tą Litwą” lub, jak ktoś zawołał: „Mniej decyzji nad Bałtykiem”.

Nie jest to hasło heroiczne, ale jest realistyczne. Landsbergis był niesprawiedliwy, kiedy oskarżał Zachód, że znowu Litwę sprzedał, bo Litwę w 1940 roku sprzedał Stalinowi nie Zachód, a Hitler, ale zachodzi coś w rodzaju „spisku”, no powiedzmy umowy amerykańsko-sowieckiej w sprawie Litwy: wy nie rozlewacie krwi, my nie rozlewamy łez. Priorytet był oczywisty: unikać wszystkiego, co mogłoby osłabić Gorbaczowa i *pieriestrojkę*, wstrzymać procesy demokratyzacyjne w ZSSR i w krajach Europy wschodniej.

Powrót, choćby częściowy, do twardej linii na Kremlu, mógłby się odbić na aktualnie rozwijających się procesach politycznych w Europie, a przede wszystkim na jednoczeniu się Niemiec, wobec którego Moskwa nie zaczęła nawet jeszcze stosować tych wszystkich środków obstrukcji, jakimi naprawdę dysponuje. Przy tej samej okazji można było zobaczyć prawdziwą fińską finlandyzację w akcji. Aby uniknąć konieczności odpowiadania na pytania w sprawie Litwy, prezydent Finlandii po prostu odwołał konferencję prasową.

Dyplomaci zachodni nie mówią tego wprost ani głośno, ale uważają Litwinów za amatorów. Litwini istotnie, jak sędzę, popełnili kilka głupstw. Byłoby nawet dziwne, gdyby było inaczej. Litwini wybierali Sajudis trochę tak, jak Polacy wybraliby Solidarność w 1980 roku: jako symbol aspiracji do niepodległości, a nie jako maszynę do rządzenia.

Dziś świat ma im za złe, że popełnili takie błędy, które przyparły Gorbaczowa plecami do muru. A jest to pozycja nie tylko *à la longue* niewygodna, ale nie do przyjęcia dla szefa supermocarstwa, nawet, jak obecnie ZSSR, w stanie upadku.

Prezydent Bush próbował już wszystkiego, ale jego pole manewru jest bardzo ograniczone. Z jednej strony ciśnie wspom-

nienie po masakrze w Pekinie. Bush przelknął pekińską żabę i nawet się nie skrzywił. Odwrotnie, zrobił wszystko, aby przejść jak najszybciej do porządku dziennego nad straszną nocą na Placu Niebiańskiego Spokoju. Kongres mu tego nie zapomniał i cynicznego kapitulancstwa w sprawie Litwy łatwo by mu nie przepuścił. Z drugiej strony, wspomnienie o operacji w Panamie relatywizuje mimo wszystko (ja rozumiem różnice, ale litewska sytuacja nie zostawia szerokiego pola dla subtelności) szczerłość moralnego uniesienia Busha. No i, a może przede wszystkim, z trzeciej strony (bo jest taka strona w tej sprawie), Bush nie może pójść za daleko, bo mogłoby to stworzyć zagrożenie dla szczytu z Gorbaczowem, przewidzianego już na koniec maja. Mówiąc najkrócej, Zachód ma ogromną sympatię dla aspiracji litewskich, ale nie chce, jak poradził prezydent Mitterrand, robić tego, co Moskwa mogłaby uznać za dolewanie oliwy do ognia. W 1939 roku świat nie chciał umierać za Gdańsk. Nie będzie też umierał w 1990 za Kłajpedę. To niedaleko zresztą...

Dlatego łatwiej i odważniej świat poszukiwał śladów złota zdeponowanego na Zachodzie przez ostatni rząd przedwojennej Litwy, niż sposobów udzielenia Litwie, z trudem wychodzącej z sowietyzmu, skutecznej pomocy w odparciu wojskowego, politycznego i gospodarczego szantażu sowieckiego.

Litwo, ojczyźno moja

Na litewskie wezwanie świat odpowiedział tak, jak przy innych tego typu sytuacjach w ciągu ostatniego roku: ze zdziwieniem, z zażenowaniem, ze strachem. Zachód, który nie przewidział żadnego wiarygodnego scenariusza na żadne z wielkich historycznych wydarzeń ostatnich sześciu miesięcy, jest także nieprzygotowany na proces dekolonizacji Związku Sowieckiego.

Kiedy mówię świat czy Zachód, mam naturalnie na myśli także Polskę i to nie tylko ze względu na geografię. Stanowisko Polski jest szczególnie ważne moralnie (w tym przypadku słowo to jest absolutnie na miejscu), politycznie i historycznie.

Głos Polski, która niedawno mobilizowała cały świat wokół granicy na Odrze i Nysie, choć jej przecież nikt faktycznie nie zagrażał (to inny temat, poruszyliśmy go częściowo w poprzednim numerze *Kultury*), powinien być zabrznieć wyjątkowo donośnie w obronie niepodległości Litwy. Tym głośniej, że Polska była wszak jeszcze niedawno w podobnej sytuacji i że na mocy tego samego bandyckiego paktu z sierpnia 1939 roku, który przyniósł śmierć niepodległej Litwy, dokonany został także czwarty rozbiór Polski.

Rząd polski, to prawda, poparł Litwinów, zajął w tej sprawie

przychylnie stanowisko w mniej niż 24 godziny po proklamowaniu niepodległości Litwy, był nie tylko pierwszy, ale poszedł także w formułowaniu tego poparcia dalej niż jakikolwiek inny rząd, także na wschodzie.

Ale, z drugiej strony, rząd polski wyraźnie doszedł do wniosku, że nie może formalnie uznać niepodległej Litwy, bo na to nie pozwalają nie tylko aspekty prawne, ale i racja stanu. Uwikłany w pasjonalną „politykę niemiecką”, rząd polski uważał, że nie może narazić sobie Moskwy i że krok dalej w uznaniu Litwinów mógłby negatywnie wpłynąć na stanowisko Kremla wobec interesów Polski w perspektywie np. zjednoczenia Niemiec.

Sprawa litewska to rzeczywiście bardzo delikatny odcinek problematyki polsko-sowieckiej. Rząd polski nie przekroczył rubikonu dyplomatycznego uznania Litwy, a mimo tego Moskwa, blokując jedyny przejazd drogowy w Ogrodnikach, spuściła bez uprzedzenia kordon sanitarny i żelazną kurtynę na granicy polsko-litewskiej i zamknęła przed nosem Litwinów jedyne ich „lądowe” okno na Zachód. Zły humor Moskwy poszedł tak daleko, że zaczęła się zwyczajnie Polaków czepiać: oficjalny rzecznik rządu sowieckiego zaatakował niewinną i zupełnie nie „podpalającą” ekspedycję Geremka i delegacji sejmowej do Wilna.

Można się naturalnie z real-politycznym rozumowaniem rządu polskiego nie zgadzać (ja się np. nie zgadzam). Można też być zdania (ja jestem), że polska racja stanu, której naturalnie nie należy nie doceniać, doprowadziła rząd do zbytnej ostrożności. Inaczej mówiąc, myślę, że można było, i trzeba było, bez większego, moim zdaniem, ryzyka, pójść dalej w solidarności z Litwinami i nie pozostawiać misji ratowania twarzy tylko prasie, sejmowi i Wałęsie. Iść trzeba było tym dalej, że wśród transparentów widocznych w czasie manifestacji antyniepodległościowej w Wilnie były także transparenty po polsku.

Jaki kwaternunek?

Oczywiście, nikt nie wie na pewno, którędy biegnie granica, jakiej Litwini nie mogą przekroczyć bez sprowokowania zbrojnej reakcji Moskwy, nikt nie wie na pewno gdzie jest granica cierpliwości i tolerancji Kremla. Ale świat powinien być dać Rosjanom do zrozumienia, że na zdławieniu Litwy skończą się sny o „wspólnym domu europejskim”, albowiem jeżeli taki dom ma kiedyś powstać, to Litwa powinna w nim być pełnoprawnym lokatorem, a nie sublokateorem z łaski kwaternunku sowieckiego. Polsce się udało, Litwini nie są gorsi...

Po trzech wiekach ciągłej ekspansji imperium rosyjskie weszło nareszcie w fazę odwrotu i rozpadu. Polska była pierwszym krajem Europy wschodniej, który potrafił wydostać się z sowieckiego pancernia satelitarne. Cały proces, jeszcze niezupełnie zakończony, rozpoczął się w sierpniu 80 i trwa do teraz. Gorbaczow ma w sukcesie tego przedsięwzięcia poważny udział.

Litwa swój pochód na Zachód zaczęła dopiero kilka tygodni temu. To więc jeszcze potrwa, ale wcale niewykluczone, że Litwa będzie pierwszą kolonią, która się wyrwie z sowieckiego imperium. Także zresztą, jestem o tym przekonany, z pomocą Gorbaczowa. On przecież wie, że jakiś typ „polonizacji” Bałtów jest jedynym, to jeszcze jeden paradoks, sposobem ratowania interesów i wpływów, także strategicznych, nad Bałtykiem. I że, co ważniejsze, to jedyna droga do nadania wiarygodności planom Gorbaczowa utworzenia sowieckiej wspólnoty narodów, zaproponowania jedynej nowoczesnej i realnej alternatywy dla więzienia narodów.

Wróćmy na zakończenie na Kreml i do roku 1939. Urbšys i delegacja rządu litewskiego są po jednej stronie stołu, po drugiej siedzą Stalin, Mołotow, Woroszyłow i Żdanow („to jest obsada”, jak powiedział Bardini studiując nazwiska aktorów opery chińskiej na występach w Warszawie). Następuje ceremonia podpisania paktu przyznającego Litwinom Wilno, a Sowietom pięć baz mieszczących kilkadziesiąt tysięcy krasnoarmiejców. Urbšys wie, że to koniec nie ceremonii, a Litwy. Wstaje i chce odejść. Ale Stalin go zatrzymuje: „Nie, nie, poczekajcie — powiedział. — Teraz pójdziemy do kina...”

No właśnie.

Seans trwa.

Pisane 8 kwietnia 1990

Leopold UNGER

P.S. Bardzo poważne ostrzeżenie: powyższy tekst niesie ogromne ryzyko ośmieszenia autora. Pisany jest (niech żyje postęp technologiczny) na trzy tygodnie przed jego drukiem. Autor nie ponosi więc odpowiedzialności za to wszystko, co Gorbaczow wymyślił i przedsięwziął wobec Litwy i Pogoni po dacie umieszczonej na końcu artykułu. Pokusa pisania o konflikcie sowiecko-litewskim była jednak większa niż rozważa, doradzająca inne tematy, mniej ryzykowne, takie jak AIDS, Czarnobyl czy broń chemiczna w ręku Saddama Husseina i Kadafiego. Pocięszam się tylko, że autorzy artykułów przeznaczonych do kwartalników, a zwłaszcza autorzy książek o polityce (z sympatii nie wymienię nazwisk), są w znacznie gorszej sytuacji. A jednak piszą...

L.U.

Pytania pod adresem pana Simonsa

Prezydent Bush ma zamiar zaproponować p. Thomasa W. Simonsa Jr. na stanowisko nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Ponieważ można oczekiwać, że będzie on odgrywał kluczową rolę w kształtowaniu i realizacji polityki amerykańskiej wobec Polski w krytycznym okresie najbliższych lat, jest ważne, żeby społeczność polsko-amerykańska dowiedziała się, kim jest ewentualny ambasador St. Zjednoczonych w Polsce.

Thomas Simons, lat 51, zawodowy dyplomata, ukończył Yale University *magna cum laude*, następnie studiował w Institut d'Etudes Politiques w Paryżu, a stopnie magistra i doktora otrzymał w Harvardzie. Pracował na stanowiskach dyplomatycznych w kilku krajach Europy Wschodniej, a obecnie jest zastępcą asystenta sekretarza Stanu do spraw europejskich i kanadyjskich.

W najbliższym czasie T. Simons zostanie wezwany przed senacki Komitet Spraw Zagranicznych dla przesłuchań, zanim jego nominacja zostanie zatwierdzona przez Senat. Dlatego właśnie jest teraz pora na to, aby postawić p. Simonsowi kilka pytań w kwestiach ważnych, prosząc go o sprecyzowanie jego stanowiska w tych sprawach.

Byłoby ważne, abyśmy wiedzieli, co myśli o potrzebie starania się o większą pomoc dla Polski. Za jakim rodzajem pomocy się wypowiada? Czy ma na uwadze jakieś konkretne programy? Czy będzie walczył o dodatkowe środki dla Polish-American Enterprise Fund? Czy będzie popierał sprzedaż nadwyżek rolnych na warunkach ulgowych? Czy będzie popierał polskie starania kredytowe w bankach komercyjnych? Czy będzie walczył o pomoc charytatywną dla Polski w formie żywności i lekarstw?

Pan Simons powinien publicznie oświadczyć, że nie będzie się mieszał do polskich spraw politycznych. Oznaczałoby to, że ambasador powinien utrzymywać kontakty ze wszystkimi politycznymi, związkowymi i społecznymi ugrupowaniami, mającymi poparcie w społeczeństwie polskim.

W okresie ostatnich paru lat widoczne było w różnych środowiskach zaniepokojenie na tle faworyzowania niektórych orientacji politycznych w amerykańskich programach radiowych. Robi to wrażenie, że niektóre opozycyjne poglądy nie są postrzegane w amerykańskich środkach przekazu i że tylko niektórzy przywódcy opozycyjni są mile widziani w ambasadzie amerykańskiej. Podobnie słyszy się zarzuty, że większość pomocy rządu amerykańskiego idzie właś-

nie do tychże „uprzywilejowanych” grup opozycyjnych. Nie powinno tu być żadnych wyróżnień. Pan Simons powinien zapewnić, że dostęp do amerykańskich środków przekazu, czy do amerykańskich funduszy nie będzie wykorzystany dla celów politycznych, lecz dla właściwie rozumianych programów kulturalnych, oświatowych i społecznych wszystkich ugrupowań cieszących się społecznym poparciem. Tylko niedobitki polskiej partii komunistycznej — jakkolwiek formę one przybiorą powinny być wykluczone z pomocy amerykańskiej. Przyszły ambasador powinien przyrzec, że nie dopuści do tego, aby fundusze amerykańskie dla Polski były użyte dla wzbogacania „nomenklatury”. Obecne stanowisko rządu amerykańskiego w tej sprawie nie jest jasne.

Bardzo ważne są dla Polaków sprawy konsularne i imigracyjne. Nasze problemy w tym zakresie są olbrzymie. Obywatele polscy muszą czekać w kolejce ponad siedem miesięcy, aby się dostać do ambasady amerykańskiej w Warszawie w sprawie wizy turystycznej. Nasi przyjaciele i rodziny w Polsce ciągle poddawane są niewłaściwym indagacjom i spotykają się z odmowami. Najbliżsi członkowie rodzin pozostają latami w separacji na skutek restrykcyjnej amerykańskiej polityki wizowej i imigracyjnej. Pogłoski o korupcji w amerykańskich urzędach konsularnych są nagminne. Coś należałoby w tej sprawie zrobić. Upokarzające kolejki przed ambasadą amerykańską muszą być zlikwidowane. Polityka wizowa winna być zliberalizowana, tak aby prawdziwi turyści mogli otrzymywać wizę amerykańską bez udowodnienia, że posiadają najnowszy model samochodu czy spory majątek w nieruchomościach. Połączenie rodzin winno być głównym celem polityki wizowej i imigracyjnej.

Pan Simons powinien również popierać sezonowy program dla polskich robotników, który stanowiłby znaczną ulgę dla rządu Mazowieckiego i dałby społeczeństwu polskiemu dodatkowe kapitały dla rozwoju przedsiębiorczości w Polsce.

Innym obszarem, na który ambasador ma wpływ, jest polityka wobec uchodźców. Rząd amerykański ogłosił niedawno, że według niego nie ma już więcej kwestii uchodźców z Polski i że obywatelom polskim nie będzie się więcej przyznawać azylu politycznego. Przemawiając w imieniu Kongresu Polsko-Amerykańskiego walczyłem przeciwko tej decyzji bezskutecznie. Niektórzy działacze w naszej społeczności mieli za złe, że walczę o sprawę polskich uchodźców, uważając że szkodzi to dobremu imieniu rządu Mazowieckiego. Ten demagogiczny argument zaciemnia realia walki politycznej w Polsce i ignoruje fakt, że policja jest ciągle w rękach komunistycznych, a system sprawiedliwości pozostaje w zasadzie niezmienny.

Decyzja amerykańska w sprawie polskich uchodźców jest również niesprawiedliwa z innych względów. Decyzja ta podjęta została na zasadzie retroaktywnej. Rząd amerykański przestał przyjmować od Polaków aplikacje w sprawie azylu ponad dwa lata temu. Teraz twierdzi się, że będą rozważane tylko aplikacje, które faktycznie

wpłynęły — tak więc osoby, które oczekiwały na aplikacje w obozach uchodźczych od ponad dwóch lat, nie mogą być nawet rozważane.

Większa niesprawiedliwość polityki amerykańskiej polega na tym, że nie jest ona konsekwentna. Odmawiając totalnie statusu uchodźczego obywatelom polskim, USA przyjmą ponad 50.000 uchodźców sowieckich jeszcze w tym roku. Skoro odmawiamy statusu uchodźcy obywatelom polskim z powodu zmian zaszyłych w Polsce, dlaczego mamy przyjmować wnioski o status uchodźczy ze Związku Sowieckiego, gdzie dokonują się podobnie dramatyczne zmiany? Obywatele polscy mają takie same podstawy do statusu uchodźcy jak i Sowieci. Kwota uchodźców niewykorzystana przez Polaków zostanie prawdopodobnie wykorzystana przez uchodźców sowieckich.

Niektórzy mogą zapytać, co status polskich uchodźców ma wspólnego z ogólnymi interesami polsko-amerykańskimi. Chciałbym wskazać na dwa przykłady. Stanowisko Administracji dało Urzędowi Imigracyjnemu (INS) zielone światło do twardego obchodzenia się z Polakami. INS czuje się obecnie nieskrępowany, jeśli idzie o aresztowanie Polaków zwracających się o azyl (jak to miało miejsce w przypadku polskich marynarzy więzionych ponad sześć miesięcy w Denver) czy przeprowadzanie łapanek nielegalnie pracujących Polaków. Już obecnie widzimy efekty tej polityki w Chicago. Wkrótce możemy być ponownie świadkami aresztowania przez funkcjonariuszy INS obywateli amerykańskich na ulicach Chicago i Nowego Jorku dlatego tylko, że mówią po polsku.

Pytania pod adresem p. Simonsa w sprawie polityki wobec uchodźców są proste. Co się stanie z polskimi uchodźcami w Europie? Czy popiera on przymusową repatriację takich ludzi do Polski? Czy popiera kontynuowanie polityki wobec uchodźców i azylantów polskich na tych samych zasadach, na jakich traktowani są uchodźcy sowieccy? Czy będzie działał w kierunku odkręcania obecnej polityki amerykańskiej wobec polskich uchodźców?

Amerykański ambasador w Polsce będzie mógł też wpływać na politykę amerykańską w kwestii połączenia państw niemieckich. Polonia amerykańska musi domagać się, żeby amerykański ambasador mocno popierał stanowisko rządu polskiego i wszystkich Polaków, że „nic o nas bez nas”.

Tadeusz KONTEK

Wielonarodowość — słabość czy bogactwo?

Irakli Szengelaja — gruziński działacz opozycyjny, pisarz, jeden z założycieli Republikańsko-Federalnej Partii Gruzji powstałej, pod inną nazwą, w lipcu 1988 roku. Rozmowa miała miejsce 10 lutego 1990 roku w Warszawie, podczas pierwszego pobytu Iraklia Szengelaj poza granicami ZSSR.

IRAKLI SZENGELAJA: — Jestem przekonany, że przemoc nie jest sposobem rozwiązywania konfliktów w krajach kaukaskich, wszystkie problemy etniczne należy rozpatrywać z punktu widzenia wolności jednostki, patrząc w przyszłość, a nie wstecz. Nie mam recepty na to, jak doprowadzić do rozwiązania piętrzących się spraw, wiem natomiast, że zapewnianie bezpieczeństwa jednego narodu nie może odbywać się kosztem spokoju innego. Drogę wyjścia z tej skomplikowanej sytuacji powinny szukać wszystkie zaangażowane siły. A tych nie brakuje, bowiem różnice są nie tylko narodowościowe, ale i religijne. Najważniejszym warunkiem, który dałby nam szansę na pokojowe rozwiązywanie problemów, jest bezpośrednie porozumiewanie się stron konfliktu. I tak, na przykład, przystąpiliśmy do rozmów z przedstawicielami Abchazów już bez pośrednictwa Kremla. Unikamy w ten sposób wzajemnego szczucia i przekłamań, jakie miały miejsce do tej pory.

Myślę, że trafny jest tu pomysł Paruira Ajrikiana, założyciela Związku na Rzecz Samostanowienia Armenii, aby stworzyć w regionie Kaukazu strefę bezpieczeństwa. Warunkiem powodzenia tego planu jest oczywiście możliwość podejmowania decyzji niezależnie od Moskwy, a więc możliwość samostanowienia narodów Kaukazu. Są już takie ruchy wśród plemion gruzińskich w

Turcji — Lazów i Meschów, także wśród Kurdów i Azerbejdżan, z tym, że ci ostatni reprezentują trudne do przyjęcia stanowisko. Bo jeśli chce się stworzyć strefę bezpieczeństwa, to zawierać ona musi te wszystkie elementy, które gwarantują tolerancję, także religijną. Kiedyś Gruzja była takim tolerancyjnym państwem — teraz trzeba ten stan przywrócić i pokazać innym, że jest to możliwe.

MONIKA AGOPSOWICZ i MANANA CHYB: — *Czy dla stworzenia takiej strefy nie jest konieczna jednogłośnie zamieszkujących ją narodów w tak podstawowej sprawie, jak właśnie samostanowienie? Tymczasem mówi się, że idea ta nie jest popularna w Armenii, czego dowodem jest chyba małe poparcie dla Związku Ajrikiana.*

I.S.: — Rzeczywiście. Dla Ajrikiana fundamentalne znaczenie ma nie problem Karabachu, lecz odzyskanie niezależności. W warunkach niepodległości bowiem sprawy graniczne mogłyby wyglądać tak, jak w dzisiejszej Alzacji czy Lotaryngii. Ale idea niezależności nie jest popularna w Armenii, podobnie jak i w Gruzji. To bardzo trudna kwestia.

M.A., M.C.: — *Od 1988 obserwujemy znaczne ożywienie niezależnego życia politycznego w Gruzji. Jaka orientacja polityczna cieszy się największą popularnością?*

I.S.: — Trudno mówić o najbardziej znaczącej partii. Wciąż panuje tu chaos. Można raczej wyróżnić jakieś mniej lub bardziej popularne hasła. Na przykład, przez cały 1989 rok podnosiły się niezależne głosy, nierzadko wyrażające się w manifestacjach, o przyznaniu się władz sowieckich do włączenia Gruzji siłą w skład Związku Sowieckiego na podstawie Aktu Aneksji z 1921 roku. Nalegania te odniosły skutek, bowiem w listopadzie 1989 roku Rada Najwyższa Gruzji uznała, że fakt taki miał miejsce, przyznając tym samym, że partia komunistyczna uzurpuje sobie prawo do rządzenia Gruzją już od 70 lat. Drugą popularną ideą jest zastąpienie obecnej, praktycznie nie respektowanej konstytucji przez nową.

M.A., M.C.: — *Czy jest już jej projekt?*

I.S.: — Nie. Ale jest już jakiś początek ważniejszych zmian, także w prawodawstwie: pojawiło się nowe prawo wyborcze. W marcu 1990 roku mają odbyć się wybory do parlamentu Republiki. Ponieważ ustawa wyborcza mówi o dopuszczeniu wszystkich

ważniejszych organizacji Gruzji, nawet tych nieoficjalnych, więc i część naszej partii zdecydowała się do nich przystąpić.

M.A., M.C.: — *Czy wasz program jest już powszechnie znany?*

I.S.: — W styczniu tego roku miała miejsce pierwsza w historii Gruzji konferencja nieoficjalnych partii politycznych („nieformalów”), pierwsze od 1921 roku polityczne wydarzenie bez udziału partii komunistycznej. Na zakończenie, na konferencji prasowej padło pytanie, dlaczego nie było przedstawicieli tej partii. Jeden z członków prezydium przypomniał, iż zapowiedziano spotkanie partii *Gruzji*, a więc nieobecność komunistów, jako Sowieców, a nie Gruzinów, jest uzasadniona.

Na konferencji tej nasza partia wystąpiła z konkretnym programem. Po pierwsze, jako republikanie popieramy polityczny pluralizm oraz wolną ekonomię z częściowym interwencjonizmem. Wszyscy obywatele są w naszym przekonaniu równi wobec prawa, a państwo jest państwem praworządnym. Po drugie, zmierzamy do ewolucyjnej, a nie radykalnej zmiany panującego u nas ustroju. Naszym celem nie jest dwunastowieczna Gruzja z czasów Dawida Budowniczego. Chcemy jedności i wolności. A wolność własną osiąga się wtedy, gdy przyznaje się ją innemu człowiekowi. Podstawową dla nas wartością jest więc wolność jednostki we wszystkich sferach życia. Zależy nam na przywróceniu w Gruzji prawa narodów do samostanowienia i zagwarantowaniu tolerancji etnicznej i religijnej. Dotyczy to również wolności wyznania, co oznacza zapewnienie Kościołowi miejsca w życiu społecznym. I, wreszcie, zmierzamy do określenia roli i pozycji Gruzji w Europie i w świecie.

M.A., M.C.: — *Jakie ważniejsze organizacje działają teraz w Gruzji, ilu mają członków i czy wydają jakieś pisma?*

I.S.: — Ugrupowań politycznych jest bardzo dużo i każde z nich wydaje pismo. Liczebność nie jest ani istotna ani miarodajna; od 3 do 5 tysięcy ludzi najwięcej. Najważniejsze ugrupowania i partie to: Narodowo-Demokratyczna Partia Gruzji [pośrednicząca 13 lutego w rozmowach Ormian z Azerami w Tyflisie — przyp. M.A. i M.C.], której przewodniczącym jest Giorgi Czanturia; Partia Narodowej Niepodległości Gruzji, z przewodniczącym Irakliem Cereteli; Gruziński Związek Helsiński — ze Zwiążatem Gamsachurdia na czele; Partia Demokratyczna bez przewodniczącego; Partia Republikańska; niedawno utworzona Partia Monarchistyczna i dwie, które wznowiają swą działalność — Socjaldemokratyczna i Stowarzyszenie Liberalne; nasza

partia i wiele innych. Wszystkie te organizacje wydają swoje niezależne pisma poza zasięgiem cenzury; nie tyle nielegalnie co nieoficjalnie. Teraz już nikt nam w tym nie przeszkadza. Zresztą przygotowywana jest ustawa — zobaczymy, co to takiego. Oczywiście zmierzamy do zniesienia cenzury.

M.A., M.C.: — *Jaki jest przeciętny nakład pism niezależnych?*

I.S.: — Około 4 tysięcy. Ograniczone możliwości wydawnicze nie pozwalają na więcej. O drukowaniu książek nie ma mowy, co najwyżej udaje się opublikować broszurki. Próbuje założyć niezależne wydawnictwo. Zobaczymy, czy mi się to uda. Na razie nasza partia wydaje kilka pism. Ja wydaję *Republikę Gruzji*. Wznowione zostało wydawanie *Wiadomości Rządowych Republiki Gruzji*. Jednym z zamierzeń naszych pism jest zaznajomienie czytelnika z naszym programem oraz ze strukturami polityczno-ekonomicznymi państw zachodnich. Mamy też pisma czysto ekonomiczne.

M.A., M.C.: — *Czy mniejszości narodowe mają swoje organy?*

I.S.: — Tak. Narodowe Forum Abchazów wydaje swoje *Wiadomości*. Ponadto jest *Głos Osetyńców* i pismo Azerbejdżan.

M.A., M.C.: — *Czy oficjalna prasa udostępnia swoje łamy niezależnym organizacjom?*

I.S.: — Taką możliwość daje na przykład oficjalna gazeta Ludowego Frontu Gruzji o nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy. Poza tym *Gruziński Film*, ukazujący się po gruzińsku w 162 tysiącach egzemplarzy. Jego duży nakład jest miarą popularności. Dzieje się tak dlatego, że redaktor naczelny pisma, pani Nata Cicziszwili, przeznaczyła rubrykę na wypowiedzi przedstawicieli niezależnych ugrupowań. Cenzura działa tu na nietypowej zasadzie — albo idzie cały artykuł, albo wcale. Wypowiadałem się w tej rubryce i ja — pisałem o historii naszej partii, o jej programie.

M.A., M.C.: — *Czy można mówić o jakimś podobieństwie między Gruzińskim Frontem Ludowym a polską Solidarnością?*

I.S.: — Nie. Gruziński Front jest inicjatywą odgórną, będącą całkowicie pod wpływem komunistów, która powstała w czerwcu 1989 roku w wyniku gwałtownego naporu gorbaczowowskiej

pieriestrojki. O Froncie mówiło się wcześniej; sam zaproponowałem we wrześniu 1988 roku założenie Frontu Narodowego, który gromadziłby wszystkie ugrupowania sprzeciwiające się sowieckiemu reżimowi. Organizowanie Frontu przejęły szybko władze Gruzji i choć z początku byłem członkiem grupy założycielskiej, to wkrótce musiałem się wycofać. Teraz Front wyraźnie traci popularność. Nie można mówić o Froncie jako o opozycji, choć przystąpiły do niego niektóre postacie niezależnego życia politycznego. Pojęcie opozycyjności w tym ruchu różni się zupełnie z naszym, bo podczas gdy my walczyliśmy o zlikwidowanie kolektywizmu, im się marzy... wymiana zarządu kolchozu. Trudno się temu dziwić, kiedy się wie, że do Frontu przystąpili skorumpowani na ogół ludzie, którym, jako ważnym postaciom drugiego obiegu gospodarczego, wcale nie zależy na zmianie władzy czy ustroju. Zupełnie inna sytuacja jest na Litwie czy w Estonii. Tam z Frontów Ludowych wyłoniły się autentycznie niezależne Fronty Narodowe. Ale w tych republikach, będących pod sowieckimi rządami praktycznie od 1946, a nie od 1921 roku, struktura sowiecka nie zaszczepiła się tak skutecznie jak u nas.

M.A., M.C.: — *Wspomniał pan o drugim obiegu gospodarczym. Co to takiego?*

I.S.: — Proszę sobie wyobrazić, że gospodarka Gruzji, będąca własnością ZSSR, warta jest 24 miliardy rubli, podczas gdy drugi obieg gospodarczy dysponuje 25 miliardami rubli. Rzeczywiste życie gospodarcze rządzi się właśnie prawami czarnego rynku. Ta powszechnie panująca korupcja jest i bolączką i, jednocześnie, jedynym sposobem na przetrwanie. Jedyne, co mogłoby ten chorobliwy stan zmienić — to wprowadzenie zasad własności prywatnej. Kiedy jednak nasza partia wystąpiła z takim postulatem, okazało się, że stereotyp kapitalisty-krwiopijcy nadal w naszym zsowietyzowanym społeczeństwie funkcjonuje. Radzi się nam, byśmy w kampanii wyborczej nie zgłaszali postulatu własności prywatnej, bo ludzie nie są jeszcze do tego przygotowani. Tymczasem mówienie o własności prywatnej, to jakby stawianie wszystkich pytań na nowo. W tym problemie mieści się m.in. pojęcie stosunków międzyludzkich. Staramy się uprzytomnić wszystkim, czym jest wolność, czym są europejskie zasady wolności. Owszem, można spierać się o szczegóły, ale już nie o pryncypia.

M.A., M.C.: — *Jaki kierunek polityczny cieszy się w Gruzji największą popularnością?*

I.S.: — Nie potrafię odpowiedzieć. Mówiłem już, że hasło polityczne ma sens wówczas, gdy się je realizuje. Ale jak realizować — tego nikt nie wie. Ludzie nie mają wyrobionego zdania na temat preferencji politycznych.

Wracając do hasła. Trudność w ich realizowaniu nie polega, tylko na niewielkim realnym poparciu społecznym. Zrozumiałe jest, że domagamy się usunięcia wojsk okupacyjnych z Gruzji. Ale ich obecność na Kaukazie uzasadnia się światowym układem sił. A trudno byłoby zmienić bieg rzeki, którą jest polityka światowa. Zdajemy sobie sprawę z tego, że zmiany zachodzące teraz w Europie — przesuwanie się Zachodu na Wschód — dotyczą i nas. Nie mogąc mieć jednak większego wpływu na te wydarzenia, chcemy zadowolić się na razie niewielkimi choćby zmianami, na przykład wprowadzeniem wielopartyjności.

M.A., M.C.: — *Są to wasze życzenia, a jak wygląda praktyka?*

I.S.: — Frakcja naszej partii staje do wyborów do parlamentu gruzińskiego, choć jest to, zdajemy sobie sprawę, tylko pseudo-parlament w niesuwerennym państwie, o czym świadczy między innymi obecność w Gruzji obcych wojsk. Niemniej chcemy zwiększyć kompetencje tego ciała tak, by pod zwierzchnictwem wielopartyjnego parlamentu znalazły się nie wojska sowieckiego ministra obrony, lecz nasze. Dalszym krokiem byłoby powołanie narodowych sił zbrojnych. Po drugie, w parlamencie chcemy postawić sprawę własności prywatnej, opowiadać się za nowym, już nie sowieckim, ustrojem federalnym Gruzji. Już teraz proponujemy zmianę nazwy na „Republika Gruzji”. Prowadzimy rozmowy z przedstawicielami innych narodów, na przykład utrzymujemy bliskie kontakty z Czeczeńcami i Inguszami. Ponadto staramy się realizować inne nasze hasła. Udało się nam już pomóc ludziom w rozwiązywaniu kolchozu, choć nie było to proste. W jego miejsce ustanowiono własność rodzinną, a ziemia, jak dawniej, nadal dzierżawiona jest od państwa.

M.A., M.C.: — *Jakie znaczenie ma dla Gruzji emigracja gruzińska na Zachodzie?*

I.S.: — Gruziskich emigrantów najwięcej jest we Francji, następnie — w Ameryce, ale ich ogólna liczba jest mała. Najwięcej Gruzinów wyemigrowało po 1921 roku i po wojnie; teraz wyjeżdża niewielu. Niemniej na Zachodzie działają do tej pory wszystkie partie, które istniały jeszcze w niepodległym kraju, jakkolwiek mają one niewielu członków. Przedstawicielstw partii dzisiejszej Gruzji nie ma. Ale utrzymywane są kontakty między

partiami — na zjazd socjaldemokracji przyjeżdżają do Gruzji przedstawiciele partii socjaldemokratycznej działającej we Francji. Polityczne znaczenie ma także obecność dwóch Gruzinów we władzach Francuskiej Partii Socjalistycznej — są tam niejako ambasadorami interesów Gruzji. W Stanach Zjednoczonych z kolei Senat przyjął rezolucję w sprawie aneksji Gruzji. Gruzini mieszkający na Zachodzie udzielają nam też pomocy gospodarczej, zawiązując umowy między firmami zachodnimi i naszymi.

M.A., M.C.: — *Czy są na Kaukazie ruchy antykomunistyczne i prorosyjskie jednocześnie?*

I.S.: — Nie. Z Rosjanami chcemy żyć po dobrosąsiedzku. Chcemy być małym suwerennym państwem w nowym europejskim domu. Nie zamierzamy brać na siebie tej roli, która do nas nie należy, a tylko tę, którą historia i Bóg przypisał czteromilionowemu narodowi gruzińskiemu.

Proces wyzwiania się Gruzji rozpocznie się moim zdaniem w 1992 roku. Czy będzie on krótki, czy się przedłuży — to zależeć będzie od tego, czy naród gruziński przyswoi sobie dwie podstawowe w tym gorącym rejonie świata wartości: wolność jednostki i narodu. Zanim bowiem wycofają się wojska sowieckie, musi już być gotowy fundament, na którym stanie nasz dom. Teraz sami Gruzini podzieleni są na chrześcijan i mao-metan. Są też Adżarowie, przyjmujący całymi wioskami chrześcijaństwo, są i Gruzini tureccy, którzy chcą odłączenia się od Turcji. Osobny problem to Lazowie i Meschowie, którzy walczą o autonomię.

Konflikt z Meschami mógł być zażegnany, gdyby nie wtrąciło się doń państwo, nie rozumiejące wszystkich aspektów tej zawilej sytuacji. Nawet rosyjskim opozycjonistom musieliśmy wyjaśniać, dlaczego mamy zastrzeżenia do przyjmowania dawnych przesiedleńców. Meschowie pragnący teraz powrócić do Gruzji zostali stąd wysiedleni do Uzbekistanu w czasach stalinowskich. Wywieziono około 85 tysięcy ludzi, w czasie przesiedlenia wyginęła prawie połowa. Można więc założyć, że potomków pozostałych przy życiu jest teraz w Uzbekistanie, powiedzmy, 95 tysięcy. Skąd więc się bierze liczba zgłaszających się do powrotu 500 tysięcy? Wiemy na pewno, że nie mają oni z Meschami nic wspólnego. Drugi punkt sporny wynika z ich tożsamości narodowej. Meschowie bowiem uważają się za Turków. Wśród wywożonych byli też w dużej części Kurdowie, Tatarzy i muzułmanie ormiańscy, czyli Ormianie hemszyńscy. Wielu z nich, głównie młodzież, chciałoby w przyszłości wyjechać do Turcji, traktując Gruzję jako etap przejściowy. Brałem

udział w rozmowach z Meschami. Próbowaliśmy wspólnie rozwiązywać te problemy. Należy przecież prócz tego pamiętać, że na terenach, skąd ich wywieziono, osiedlili się inni ludzie, których przez 40 lat straszono powrotem Turków. Rozbudzano niechęć do nich i obawy.

Tym, co się dzieje teraz w naszym kraju, rządzi żelazna logika. Ilekroć występuje u nas z większym natężeniem idea niepodległości, tylekroć pojawiają się siły rozpętujące konflikty narodowościowe. Zmagaliśmy się już z problemem Osetyńców, Abchazów, następnie Azerbejdżan i znów Abchazów. Podjudzanie przeciwko nam mniejszości narodowych ma na celu wykazanie, że Gruzja nie dojrzała do tworzenia samodzielnych struktur politycznych, nie mogąc uporać się z podstawowymi problemami w łonie własnego narodu. Wszystkie te negatywne mechanizmy związane są bezpośrednio z narastającym dążeniem Gruzynów do odzyskania państwowości. Temu również służyło przetasowywanie grup etnicznych tak, by nikt nie czuł się gospodarzem we własnym domu.

M.A., M.C.: — *Czy nie ma trudności w prowadzeniu rozmów między narodowościami? Czy fundamentaliści muzułmańscy są także na nie otwarci?*

I.S.: — Tu leży rzeczywista trudność. Fundamentalisci czują poparcie Iranu i głoszą ideę teodemokracji. Sam nie wiem, co to pojęcie znaczy, ale przyznaję, że jest to jedno z najłabszych ogniw naszego łańcucha problemów.

M.A., M.C.: — *Mówi się, że obszar kaukaski stanie się nowym Libanem po wycofaniu wojsk sowieckich...*

I.S.: — Owszem, mogłaby rozgorzeć jeszcze gorsza wojna. Ale przykład Gruzji wskazuje na to, że wyjście jednak istnieje. Nie widać go niestety w innych częściach tego regionu. Stworzenie poczucia jedności — federacji szanującej istniejące różnice — jest tu rozwiązaniem, bo z jej braku państwa kaukaskie utraciły niezależność. Historycznie Gruzja zawsze była pomostem. I tę funkcję trzeba jej przywrócić.

Jest w Tyflisie, mieście wielonarodowościowym, taka dzielnica, w której stoją i kościół, i meczet, i synagoga, i cerkiew. Mówi się, że świadczy ona albo o wielkiej słabości, albo o bogactwie narodu. Dla mnie jest to przejaw bogactwa.

*Wywiad przeprowadziły i opracowały
Monika AGOPSOWICZ i Manana CHYB*

O ukrytych milionach, trzeciej drodze, nadziei i entuzjazmie

ROZMOWA Z JÓZEFEM PINIOREM

AURELIUSZ M. PEDZIWOŁ: — *To był jeden z nielicznych pięknych momentów stanu wojennego: wiadomość o tym, że kilka dni przed 13 grudnia Józef Piniór i Piotr Bednarz podjęli z konta „Solidarności” 80 milionów złotych i je ukryli. Osiem lat później historia ta miała nie mniej spektakularny finał. Na II Walnym Zebraniu Wyborczym Regionu „Dolny Śląsk” Józef Piniór przedstawił rozliczenie tych pieniędzy i oddał to, co mu pozostało: 50 tysięcy dolarów. W przeliczeniu na złote 475 milionów. Nawet dziś nie jest to mało. Delegaci nagrodzili dotychczasowego rzeczownika finansowego regionu burzliwą owacją. Okazało się, że przed 9 laty mianowano właściwego człowieka na stanowisko skarbnika regionu.*

Sprawa 80 milionów przestała być tajemnicą. Poprosiłem zatem jej głównego bohatera, Józefa Pinióra, by raz jeszcze wrócił pamięcią do tamtych grudniowych dni:

Jak doszło do podjęcia decyzji o „wycofaniu pieniędzy z banku? I może zechcesz zdradzić, jak ta operacja przebiegała? Podobno z malucha trzeba było wymontować koło zapasowe, bo walizka z pieniędzmi nie mieściła się w bagażniku?

JÓZEF PINIÓR: — *(ze śmiechem) Wokół tego narosło sporo legend. Ale o tym za chwilę. Byliśmy przekonani, że władze PRL będą próbowały zniszczyć „Solidarność”. Zarówno ja, jak i moi koledzy w Zarządzie Regionu we Wrocławiu uznaliśmy więc, że musimy zrobić wszystko, aby przygotować „Solidarność” do tego nowego etapu. Ewentualność poddania się i zaprzestania działalności w wypadku uderzenia władz w ogóle nie wchodziła dla nas w rachubę. Dlatego przygotowaliśmy się do tego od kilku miesięcy. Wtedy, na początku grudnia, sytuacja stała się już dla nas jasna, już wiedzieliśmy, że władze mogą zrobić to lada dzień, lada chwila. Jak może pamiętasz, do Sejmu próbowano wtedy wnieść projekt ustawy o zawieszeniu niektórych praw obywatelskich, taki stan wyjątkowy poprzez parlament. To dla nas było oczywiste, że to są już ostatnie dni...*

A.M.P.: — *To było bodajże 2 grudnia?*

J.P.: — Tak, to było 2 grudnia. Wiedzieliśmy więc, że stoimy przed czymś nieuchronnym, a odczucie to potęgowały jeszcze te przyszłe listy kierownictwa sowieckiej partii, które miały bardzo jednoznaczną wymowę. 2 grudnia prezydium Zarządu Regionu podjęło ściśle tajną uchwałę o wycofaniu tych pieniędzy z banku i następnego dnia udało nam się to rzeczywiście zrobić. Pieniądże zostały umieszczone w bezpiecznym miejscu — i właściwie tylko tyle mogę powiedzieć, bo miejsce przechowywania tych pieniędzy jest na szczęście do dzisiaj nieznanne władzom PRL, jest zachowane w ścisłej tajemnicy i nie wykluczam, że może jeszcze przyjść taki okres, że to miejsce będzie potrzebne.

A.M.P.: — *Wtedy był z Tobą Piotr Bednarz. Czy także ktoś jeszcze z władz regionu?*

J.P.: — Wtedy był ze mną Piotr Bednarz i jeszcze kilka osób, które nam pomagały wynosić te pieniądze z banku. Cała akcja była specjalnie przygotowywana od kilku dni przez bank, bo chodziło o to, żeby nie dowiedziała się o niczym Służba Bezpieczeństwa. Na szczęście, jak może pamiętać, ja przed samą „Solidarnością” byłem w banku tłumaczem. To mi bardzo pomogło, bo dzięki temu bardzo dobrze znałem bank...

A.M.P.: — *Dlatego też zostałeś skarbnikiem Zarządu Regionu.*

J.P.: — Dlatego zostałem wtedy rzecznikiem finansowym Zarządu Regionu. No i tak udało mi się to zorganizować, że SB nie dowiedziała się o niczym. Dyrektor tego banku został za to ukarany wyrzuceniem z pracy po wprowadzeniu stanu wojennego.

Samochody z całym majątkiem dotarły tylko do pewnego miejsca, a dalej już jechałem tylko z jedną osobą.

A.M.P.: — *Rozumiem zatem, że była to współpraca z bankiem. Że ci ludzie wiedzieli dobrze, co robią..*

J.P.: — Tak, to była współpraca. Zarówno dyrektor banku, w którym pieniądze były zdeponowane, jak i dyrektor całego dolnośląskiego oddziału NBP zachowali się wtedy bardzo dobrze, rzeczywiście pokazali klasę.

A.M.P.: — *To zależy oczywiście od Ciebie, ale myślę, że nie zaszkodzi dziś powiedzieć, jak się oni nazywają.*

J.P.: — Dyrektorem banku na cały Dolny Śląsk był nieżyjący już niestety pan Henryk Błaszak. Niestety, nie pamiętam w tej chwili nazwiska tego drugiego dyrektora.

A.M.P.: — *Zaczął się stan wojenny. Domyślałem się, że pieniądze te nie zostały zamrożone, lecz służyły RKS-owi. W jaki sposób?*

J.P.: — Oczywiście uratowaliśmy te pieniądze po to, by zapewnić „Solidarności” możliwość działania w warunkach dla niej niekorzystnych. I tak się rzeczywiście stało. Uratowanie tego funduszu na Dolnym Śląsku zdecydowało, że mogliśmy tu zacząć normalną — przy wszystkich oczywistych ograniczeniach stanu wojennego — statutową działalność „Solidarności” od samego początku, od 13 grudnia. Te pieniądze wydawane były przez Regionalny Komitet Strajkowy, który był kontynuacją Zarządu Regionu w warunkach wojskowo-policyjnej dyktatury. Dzięki temu „Solidarność” mogła tu mieć od samego początku poligrafię z prawdziwego zdarzenia, mogła wydawać gazety, pomagać ludziom, zakładom pracy, mogliśmy się organizować i — co jest najważniejsze — byliśmy niezależni. To było bardzo ważne z politycznego punktu widzenia, gdyż ten fundusz zapewnił realizację strategii, którą wypracowaliśmy w pierwszych miesiącach podziemia.

To była sytuacja luksusowa, właściwie jedyna w Polsce. W innych regionach koledzy musieli zaczynać od zera. Oczywiście pomagaliśmy im. Najbardziej spektakularną pomocą była kwota jednego miliona złotych dla Świdnika, gdzie był duży strajk robotników i wszyscy oni zostali wyrzuceni z pracy. Wtedy to było dużo pieniędzy. Pomagaliśmy komu się tylko dało w tamtym okresie. A pamiętać należy, że działaliśmy w warunkach konspiracyjnych. Nagonka na nas ze strony władz była niewiarygodna...

A.M.P.: — *Pamiętam listy gończe z Twoim nazwiskiem.*

J.P.: — Listy gończe, niewiarygodna akcja propagandowa w radiu, telewizji, w prasie, przez kilka lat, prawie że do samego końca. Jeszcze tydzień temu, dwa dni przed Walnym Zebraniem, Miodowicz oskarżał nas tu, we Wrocławiu, w Polarze o defraudację tych pieniędzy.

Kiedy zostałem złapany, w kwietniu '83 roku, to oprócz oskarżeń o obalenie ustroju, o nielegalną działalność, miałem także ten zarzut kryminalny. Władze wycofały się jednak w końcu z tego, bo w fabrykach trwała wielka akcja petycji w mojej obronie. Dopiero w 1985 przeciwko mnie wystąpił OPZZ

z powództwem cywilnym, że to właśnie OPZZ ma prawo do tego funduszu. Ten proces przegrałem. Co miesiąc przychodził do mnie komornik, zapisywał jakie mam książki, czy mam radio, czy mam telewizor. Gdybym miał cokolwiek więcej, niż szcoteckę do zębów, koszulę i ubranie, to by mi to zabrali, »

A.M.P.: — *Czy teraz zamierzasz wystąpić o rewizję tego procesu?*

J.P.: — *To zostało już załatwione przy okrągłym stole. OPZZ się wycofał z tego wygranego procesu.*

A.M.P.: — *Co nie przeszkadzało co poniektórym nadal Cię atakować!*

J.P.: — *Ja czekałem na II Walne Zebranie Regionu. Wydawało mi się, że to będzie odpowiedni moment na rozliczenie, jako że wcześniej trudno mi było wybrać właściwe grono, przed którym mógłbym się rozliczyć. Jak wiesz, trwały (i trwają jeszcze) spory i dyskusje, działały tu różne struktury, które wyłoniły się z działalności podziemnej i nadziemnej, istniał pewien dualizm władz (RKW i RKS).*

A.M.P.: — *Nagrodzono Cię burzliwą owacją, kiedy wręczyłeś nowym władzom związku 50 tysięcy dolarów.*

J.P.: — *Zdawaliśmy sobie sprawę, że wydatkując tę pieniądze osłabiamy naszą materialną bazę. Nie było rady, tak trzeba było robić. Ale z drugiej strony zdawaliśmy sobie sprawę, że ten fundusz gwarantuje, że „Solidarność” w tym regionie rzeczywiście jest politycznie niezależną reprezentacją pracowników. Dlatego dysponowaliśmy nim bardzo oszczędnie. A ze względu na inflację postanowiliśmy go zabezpieczyć w taki sposób, by nie tracił na wartości. Myślę, że nam się to udało.*

A.M.P.: — *Było jeszcze jakieś gospodarstwo rolne? Jak to wyglądało od strony prawnej, bo domyślam się, że sytuacja w tym wypadku była bardziej skomplikowana, niż w przypadku pieniędzy?*

J.P.: — *To gospodarstwo zakupione zostało oczywiście przez osobę prywatną, która współdziałała z RKS, RKS zaś miał podpisaną z nią specjalną umowę, tak że faktycznym właścicielem był RKS. Niestety, to gospodarstwo wpadło w kwietniu '83 roku. To była jedna z tych rzeczy, które w jakimś sensie nam się nie udało. Dopiero teraz zostało ono odzyskane.*

Wszystko, pieniądze i gospodarstwo, przekazałem Zarządowi Regionu. Myślę, że to się tej „Solidarności”, która teraz ma znacznie mniej członków, jest znacznie słabsza, materialnie przede wszystkim, że to się jej bardzo przyda.

A.M.P.: — *Czy mógłbyś jeszcze zacytować kilka najważniejszych szczegółów z Twojego rozliczenia?*

J.P.: — RKS przeznaczył na swoją działalność około 34 milionów złotych. To przede wszystkim dotyczy kosztów związanych z poligrafią związkową i podziemną radiostacją, z pomocą dla ludzi zwalnianych z pracy, z pomocą dla zakładów, z organizacją regionu, z pomocą dla innych regionów. To zostało dokładnie rozliczone przed Walnym Zebraniem i delegaci udzielili temu rozliczeniu absolutorium. Pozostałe 46 milionów zostało zabezpieczone. Z tego około 10 tysięcy dolarów wydatkowało RKW w latach 1988-89.

A.M.P.: — *Myślę, że na tym możemy zakończyć tę część naszej rozmowy. Chciałbym Cię jeszcze zapytać o to, co aktualnie robisz. W tej chwili nie jesteś działaczem „Solidarności”, zajmujesz się raczej działalnością polityczną. I, o ile mi wiadomo, to nie jest już PPS-RD.*

J.P.: — To, co wokół mnie jest skupione, od pewnego czasu nazywa się Socjalistycznym Ośrodkiem Politycznym. W tym młodym ruchu socjalistycznym jest niezliczona ilość grup. To jest bardzo świeże, bardzo młode. W tej chwili nie ma jeszcze miejsca na partie polityczne z prawdziwego zdarzenia. To się dzieli i łączy, dzieli i łączy... Bardziej stabilne wydają się w tej chwili ośrodki polityczne, które próbują wypracować jakiś program, kształcić działaczy, które są blisko związane z „Solidarnością”. Bo są też grupy, które nie wiążą się z tym ruchem pracowniczym, ale one są zupełnie bez znaczenia, na marginesie.

A.M.P.: — *Czy czujesz się związany z tą „Solidarnością”, którą czasami nazywa się „Neo-Solidarnością”?*

J.P.: — Dla mnie „Solidarność” jest przede wszystkim ruchem pracowniczym. A w Polsce nie ma innego ruchu pracowniczego. Myślę, że to, co decyduje o „Solidarności”, to są zakłady pracy, to jest jej baza. Tam, gdzie pracownicy, działacze, muszą odpowiedzieć na te problemy, które przed Polską stawia reforma Balcerowicza, program przystosowawczy Międzynarodowego Funduszu

Walutowego, fakt, że stalinizm znajduje się na zakręcie, że wychodzimy ku czemuś nowemu. Z tą „Solidarnością” czujemy się związani.

A.M.P.: — *Odpowiedziałeś bardzo okrężnie. Czy znaczy to, że rozróżniasz między wybieranymi teraz w demokratycznych wyborach władzami „Solidarności” a tym, co nazywasz jej bazą?*

J.P.: — Rozróżniam oczywiście między „okrągłostołowym” kierownictwem a bazą „Solidarności”. W tej chwili jest to znacznie bardziej skomplikowane, bo mamy do czynienia z jednej strony z władzami demokratycznie wybranymi, a więc oddolnie kontrolowanymi, z drugiej zaś z nowymi elementami sytuacji, jak pogłębiający się kryzys gospodarczy i antypracownicze — moim zdaniem — zmiany gospodarcze. I tutaj — myślę — „Solidarność” będzie się na nowo dzieliła i na nowo różnicowała, niekoniecznie według schematu „okrągły stół” i jego przeciwnicy. Na przykład Władek Frasyniuk, który był jednym z przywódców platformy „okrągłostołowej”, jest dla mnie przedstawicielem tej grupy, która chce reprezentować interesy pracowników.

A.M.P.: — *Czyli — jak rozumiem — zapatrujesz się na przyszłość „Solidarności” z pewną dozą optymizmu i nie uważasz, że jest to zdrada ideałów lat 80-81?*

J.P.: — Jest oczywiste, że „Solidarność” dzisiaj nie jest „Solidarnością” roku '80. Została ona bowiem wprzęgnięta w proces głośności, a to ją osłabiło, i wzmocniło jednocześnie. Z jednej strony nie jest to masowy ruch, z drugiej jednak pracownicy mogą się organizować w zakładach pracy, ruch robotniczy posiada prawa polityczne i związkowe. To jest bardzo dużo, to decyduje o tym, że „Solidarność” jest jednak żywym ruchem. Oczywiście istnieje w tym ruchu tendencja do biurokratyzowania się, do przekształcania „Solidarności” w biurokratyczny związek zawodowy w zachodnim stylu. Ale przede wszystkim jest to żywy, realny ruch, w którym organizują się ludzie pracy w tym kraju. Jestem przekonany, że będziemy mieli w „Solidarności” do czynienia z wewnętrzną dynamiką zmian i nie wiadomo, w jakim one pójdą kierunku. Będziemy mieli do czynienia z podziałami, z wyłanianiem się nowych platform — to wszystko będzie się na nowo kształtowało — jak już powiedziałem — niekoniecznie według podziału „okrągły stół” i jego przeciwnicy.

A.M.P.: — *I to chyba dobrze, bo jedność lat 80-81 była wymuszona sytuacją polityczną w Polsce i całym obozie. Rozmawialiśmy*

o „Solidarności”, teraz Cię spytam po prostu o Polskę: czy widzisz szansę dla Polski? Czy widzisz nadzieję na wyjście z tego potwornego kryzysu i znalezienie się w Europie?

J.P.: — Oczywiście, że tak. Najważniejszy jest fakt, że system stalinowski czy poststalinowski znajduje się na zakręcie. Ten system utracił swoją dynamikę i nie jest już do uratowania. To jest po prostu niemożliwe. I oczywiście, przynajmniej w Polsce, mamy do czynienia z ogromnym kryzysem ekonomicznym, z ogromnym zmęczeniem, z tymi wszystkimi — z mojego punktu widzenia — złudzeniami w stosunku do takich czy innych rozwiązań gospodarczych. Ja myślę, że jesteśmy skazani na poszukiwanie trzeciej drogi. Z jednej strony musimy odrzucić do końca biurokratyczny system stalinowski, z drugiej zaś nie ma powrotu do rozwiązań kapitalistycznych. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że polski wolny rynek nie będzie podobny do RFN-owskiego czy szwedzkiego, lecz raczej do brazylijskiego lub argentyńskiego. I dlatego jesteśmy skazani na poszukiwanie tej trzeciej drogi. We mnie to budzi nadzieję, we mnie to budzi entuzjazm. Jestem przekonany, że to społeczeństwo, wszystkie społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej znajdą jakieś nowe rozwiązania, jakiś nowy model państwa, które będzie bardziej wolne i bardziej sprawiedliwe. To jest ogromna szansa także dla tych społeczeństw, które żyją w innych systemach społeczno-gospodarczych.

Jestem optymistą. Jest we mnie mnóstwo nadziei — mimo że jesteśmy przygnieceni kryzysem, że jesteśmy zmęczeni, że jesteśmy sfrustrowani. Myślę, że wiara w możliwość lepszego życia będzie silniejsza, niż zniechęcenie.

A.M.P.: — *Bardzo Ci serdecznie dziękuję za tę rozmowę.*

Rozmawiał AURELIUSZ M. PEDZIWOŁ

Wiedeń, 7.3.1990

Porozumienie ponad podziałami

W SPRAWIE POLITYKI GOSPODARCZEJ RZĄDU

Polska musi w przyspieszonym tempie odbyć drogę, którą kraje europejskie pokonywały w ciągu dziesięcioleci. Jest szereg sprawdzonych rozwiązań, ale odmienne są sytuacje, do jakich w Polsce trzeba je stosować. Program reform nie budzi wątpliwości w punkcie wyjścia: przywracania złotemu roli pieniądza — bez tego nie powstanie zdrowy rynek. Rząd może tu odnotować istotny sukces: inflacja ulega zahamowaniu. Pozostałe elementy planu Balcerowicza wymagają już dziś poważnej korekty. Sądzimy, że nie naruszy ona jego istotnych założeń, a pomoże osiągnąć główne cele.

Rysują się dwa realne sposoby wprowadzenia polskiej gospodarki na drogę współczesnego rozwoju. Pierwsza, to sprzedaż polskich zakładów firmom zagranicznym, które wymuszą reżim technologiczny, organizację, zapewnią doinwestowanie i dostęp do światowego rynku. Tak zrobiła Hiszpania wychodząc z frankizmu ku demokracji. I pozostała Hiszpanią.

Życie gospodarcze jest międzynarodowe. Sprzedając polskie przedsiębiorstwa nie sprzedajemy Polski. Obawy wychodzące z niektórych środowisk wydają się przedwczesne. Troska o interes społeczny może znaleźć odbicie w klauzulach prawnych. Wprowadzamy natomiast w ten sposób zastrzyk nowych kapitałów, możliwości, i zmuszamy samych siebie do wyjścia z zaścianka, w którym Polakom jest ciężko, ale swojsko, beznadziejnie, ale wygodnie. Tajwan odstępując większość udziałów w swoich przedsiębiorstwach obcemu kapitałowi wzbogacił się na tyle, że mógł je z powrotem odkupić. Niepodległość kraju, także gospodarcza, zależy per saldo od jego siły. Polska stając ekonomicznie w imię nienaruszalności polskiego majątku narodowego, ulegnie politycznie swoim silniejszym sąsiadom. Niezależności nie można oprzeć na autarkii.

Aby nakłonić kapitał zachodni do inwestowania w Polsce, należy

stworzyć mu takie możliwości zyskowego działania, które zrównoważą jego ryzyko. Zarobki pracowników najemnych musiałyby być niskie (należy uwzględnić słaby poziom etyki pracy), a obciążenie podatkowe przedsiębiorstw minimalne. Również ceny zbywanego przez państwo majątku nie mogą być wysokie. Obowiązkiem rządu jest także tworzenie infrastruktury pozwalającej normalnie funkcjonować gospodarce. A zatem: sieci banków, dróg, toalet publicznych.

Otwarcie gospodarce na Zachód może zresztą przybierać różne formy. Na przykład wobec perspektywy wielkiego boomu budowlanego we Wschodnich Niemczech rysuje się szansa na rozszerzenie działalności polskich przedsiębiorstw budowlanych poza zachodnie granice Polski. Wobec niedoborów siły roboczej i surowców Niemcy będą zainteresowani współpracą. Rząd powinien przeprowadzić na ten temat rozmowy z niemieckimi władzami i przedsiębiorcami.

Drugim, równoległym posunięciem zmieniającym strukturę przemysłu jest prywatyzowanie firm państwowych przez polskich przedsiębiorców. Zachodnie banki inwestycyjne mogłyby kredytować takie inicjatywy, gdyby stworzono im w Polsce warunki normalnego działania. Tymczasem pakiet ustaw gospodarczych przyjęty przez Sejm — będący już piątą w ciągu ostatniej dekady regulacją dotyczącą przedsięwzięć o kapitale mieszanym — zawiera rażące wady z punktu widzenia tak rodzimego, jak i obcego kapitału¹.

Pożądane byłoby też, aby (podobnie jak to dzieje się na Zachodzie) duże przedsiębiorstwa rozwijały sieć małych przedsiębiorstw — swoich dostawców, kierowanych przez lokalnych przedsiębiorców, i w ten sposób zastępowały import przez dostawy miejscowe.

Takie działania mogą stworzyć szybko masę krytyczną, która poruszy sparaliżowaną i zbiurokratyzowaną gospodarkę. Koncepcje prywatyzacji sugerowane przez plan Bałcerowicza czy społeczne inicjatywy akcjonariatu pracowniczego — na dłuższą metę bardzo istotne dla pluralizmu gospodarczego — stanowią dziś bodźce zbyt słabe i powolne dla gospodarki, złożonej z państwowych molochów oraz kilkuset tysięcy jedno-, dwuosobowych przedsiębiorstw prywatnych. Żadna centralna decyzja nie rozwiąże problemu innej alokacji kapitału, zbyt skoncentrowanego w sektorze państwowym i zbyt rozdrobnionego w pozostałych. Liczne symptomy pokazują, że wielomilionowe kredyty z Zachodu są zagospodarowywane przez administrację, bez niezależnej kontroli. Tak jak w czasach Gierka, zjadane są przez niekonkurencyjnie działające zachodnie przedsiębiorstwa, a przecież i te kredyty trzeba będzie kiedyś zwrócić².

1. Jak dotąd żaden zachodni bank nie otworzył w Polsce swojej filii. Nadal obowiązuje restrykcyjne prawo dewizowe oparte na dotychczasowym sposobie myślenia. Zachodni inwestor ma wkładać do polskiego banku dolary, a zyski wyjmować częściowo w złotych. Ponowna zamiana złotych na walutę w pełni wymienialną wymaga procedury, której daleko do światowych standardów.

2. Badania rynku francuskiego i możliwości kredytowania budowy szpitala kardiologicznego w Warszawie pokazały niepokojące zjawiska zwy-

Dopływ kapitału i technologii nie może wiele zmienić, jeśli rynek nie stymuluje wzrostu produkcji, a tylko ceny towarów są ruchome. Rząd walczy z hiperinflacją nie przyjmując do wiadomości, że jest to wciąż ta sama stagflacja. Spadek wartości pieniądza wynika z niewydolności gospodarczej: obniża się ilość i jakość produkcji w stosunku do popytu, więc pieniądź słabnie. Po szokowym uspokojeniu rynku przez kolejną operację cenowo-płacową przyjdzie kolejna fala stagflacji, wynikła z recesji. Kurczący się popyt dusi produkcję-podaż. Pożyczki nie nakręcą koniunktury, gdy nie zmienia organizacji polskiej pracy, tworząc tylko — jak w przeszłości — szybko starzejące się enklawy zachodniej cywilizacji.

Niezależnie od założeń rządu faktycznie realizowany plan wygłada następująco: nowy wierzchołek starej biurokracji podejmuje pośpiesznie spektakularne decyzje, których wykonawcami mają być ludzie nomenklatury funkcjonujący w starych lub odnowionych układach. Aby dojść do gospodarki rynkowej trzeba stawiać na ludzi, którzy mogą być motorem zmian. Nie może tego dokonać administracja stworzona przez byłych właścicieli PRL, od lat hamujących te zmiany. Nomenklatura jest kompetentna w stosunku do przeszłości, komunizmu, ale nie — przyszłości. Na przekór populistycznym frazesom socjaldemokratów polityka rządu winna zmierzać do tego, aby narodowego kapitału pilnowali rodzimi i obcy kapitaliści. Nic nie jest tak potrzebne polskiemu światu pracy, jak dobrzy pracodawcy: konkurencyjni i dający pracownikom szansę awansu. Żadne rządowe, parlamentarne ani społeczne ciała doradcze czy decyzyjne nie zadbają o gospodarkę tak, jak menadżerowie i finansisci, których interesem jest także obrona cudzych interesów, lub przedsiębiorcy chcący wygrać konkurencję i nie pozwalający innym na monopol.

Warszawa 16.03.1990

W MIENIU RADY PPP:

Czesław BIELECKI

Jerzy JACKL

Jan OLSZEWSKI

Krzysztof PIESIEWICZ

Jan WASZKIEWICZ

Stefan NIESIOŁOWSKI

nia kosztów inwestycji przez firmy francuskie korzystające z preferencyjnych kredytów rządu francuskiego dla Polski.

W przypadku kontraktów wstępnych na budowę dwóch hoteli w Warszawie z firmą CBC oraz dwóch hoteli w Krakowie z firmami SAE i ACCOR można szacunkowo określić zawyżenie kosztów na ok. 30% (50% w przypadku kontraktu z Generalnym Realizatorem Inwestycji — Construction Management, a 30% w przypadku kontraktu z przedsiębiorstwem budowlanym — Entreprise Generale).

Przy organizowaniu przetargów na tego rodzaju inwestycje można używać niższe kwoty kontraktowe i w ten sposób, z tych samych kredytów, wybudować hotele łącznie z inwestycjami pozornie nierentownymi, ale jakże niezbędnymi miastu, jak szpital, oczyszczalnia ścieków czy spalarnia śmieci.

Niestety nienowe

Bardzo mi się podobało „Studio otwarte”. Formuła była taka, że nigdy nie można było przewidzieć, co zostanie powiedziane. To dobrze. Nikt nie mógł też za bardzo programem manipulować, bo nawet gdyby ktoś chciał zorkiestrować jakiś chór, w samej formule kryło się swoiste uznanie dla najnowszej wersji telewizyjnego *liberum veto*.

Powie ktoś, że kryło się w tej formule także niebezpieczeństwo. Ktoś zza granicy mógłby sobie o nas źle pomyśleć słysząc niedorzeczne argumenty, zaciętrzewione przesady i inne przypadkowe piniactwa. Odpowiem na to: i co z tego? Jeżeli chcemy, żeby nas widziano stale jako ideały zastygłe w pozach bohaterów walki z komuną, to na pewno doczekamy się wrzodów żołądka, śledząc zachodnią prasę. Jest to w ogóle argument nieco koszarowy. Życie w normalnym społeczeństwie, które poważnie traktuje demokrację i swobodę wypowiedzi, musi przebiegać w cieniu głupstwa i przesady i na to nie ma rady. Co więcej, jak demokracja, to także prawo do głupoty i przesady, gdyż zaczynając od odróżnienia tych, którym do studia wolno wejść i tych, którym się zamknie drzwi przed nosem, popełniamy niewątpliwy błąd i oślepiamy się co najmniej na jedno oko.

Piszę o tych oczywistościach, ponieważ najnowsze dzieje programu „Studio otwarte” napawają mnie niepokojem. Po programie o milicjantach miało być o stacjonowaniu wojsk rosyjskich w Polsce. Temat na pewno ważny i ciekawy, tym bardziej, że wcale nie jest pewne, czy wśród Polaków przeważa niechęć do Rosjan, czy obawa przez nazbyt rąco jednoczącymi się Niemcami. Być może zresztą dyskusja w „Studio otwartym” pomoże sporej części Polaków wyrobić sobie zdanie, zmusi do zastanowienia? Może właśnie pozwoli uzyskać dystans, pozbyć się czysto uczuciowych odruchów typu „ruskie czołgi do Wołgi” (napis taki widziałem w przejściu podziemnym na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Jerozolimskich)?

Ale ten temat wydał się rządowi zbyt drażliwy. No to co? Nie obchodzi mnie drażliwość tematów. Obchodzi mnie to, że Drawicz reaguje na telefony rządowe tak, jak reagował jego poprzednik i poprzednik poprzednika. Nie podoba mi się to.

Zaproponowano zatem temat inny, wydawałoby się — łagodniejszy. Chodziło, a raczej miało chodzić o rolę obcego kapitału w Polsce. Temat ten podobał mi się nieco mniej, bo sądzę, że dyskusja jest trochę sztucznym wybrzydzeniem na coś, czego bardzo byśmy sobie życzyli, a co może nam się nie trafić. Wiadomo

bowiem, że wyniszczone gospodarki krajów ex-komunistycznych piszcza o kredyty i o napływ obcych kapitałów (Węgrzy wręcz sprzedali część swoich fabryk, Czesi chcą połączyć swoją Bata z Bata światową). Ale i ten temat, z powodów znanych tylko rządowi RP, został „wstrzymany”. Trzeci wreszcie temat — kombatanci —, został wreszcie dopuszczony i miał zostać omówiony 16 marca (czyli w nocy z 16 na 17 marca), ale podobno minister Kuroń zadzwonił do prezesa Drawicza i powiedział, że mu to psuje szyki, bo właśnie opracowuje ustawę o kombatantach. No to co? Niech sobie opracowuje. Dlaczego chce decydować o tym, na jaki temat Polacy będą się wypowiadali w otwartym studio? I dlaczego robi bezpłatną reklamę producentom papierosów w swoich audycjach telewizyjnych? Znacznie gorsze są dla kraju konsekwencje tego, że naród widzi sympatycznego ministra z papierosem w ustach niż tego, że słyszy spory o to, kto jest kombatantem słusznej sprawy i kto nie bardzo.

Podsumujmy. Jest rzeczą karygodną, by pierwszy w miarę normalny rząd po II wojnie światowej sięgał po metody knebłowania opinii publicznej upowszechnione przez właśnie popełniających zbiorowe harakiri komunistów. Czy rzecznik prasowy rządu zechce za to przeprosić?

Sławomir MAGALA

POSTSCRIPTUM

W czasie, jaki upłynął między napisaniem powyższych uwag a wydrukowaniem ich w paryskiej *Kulturze* program został przywrócony.

Niestety, przywrócenie nie jest pełne. Program o przyszłości prasy nie jest jednak w stanie wywołać takich emocji jak program o rosyjskich żołnierzach, niemieckich kapitałach czy współżyciu kombatanta SB i kombatanta AK z renty wypłacanej przez tę samą organizację. I już to mało subtelne przesunięcie tematyczne wskazuje na ciężką rękę biurokratycznej regulacji czegoś, co mogłoby się bez nadmiaru regulacji obejść.

Nie mam recepty na „Studio otwarte”. Ale wydaje mi się, że był to i być może jeden z najtańszych i najbardziej spontanicznych ośrodków badania opinii publicznej, że formuła tego programu może się przydać także w programach lokalnych, zwłaszcza w okresie kampanii przedwyborczej do samorządów terytorialnych. Co więcej, zanim opadnie kurz wywołany biegiem ku gospodarce rynkowej, zanim rynek czasopism się ustabilizuje, „Studio otwarte”

może okazać się najprostszym i najskuteczniejszym nośnikiem ambitnych i trudnych dyskusji. Nie przyczynimy się jednak do lepszego zrozumienia samych siebie, jeżeli przestraszymy się rozmów o tym, iż w stacjonowaniu nieubliwanych wojsk widzimy cień osłony przed widmem niemieckiego nabywcy parceli letniskowej tuż obok naszej farmy czy domku letniego. A przyczynić się powinniśmy, bo wchodzimy w okres podejmowania decyzji niewielką większością głosów, okres podejmowania ryzyka i ponoszenia konsekwencji takich z trudem i bez przekonania wynegocjowanych decyzji, itd.

Jednym słowem: nowe nie wróciło, ale niestety dało znać o sobie, iż czuwa i krąży.

S.M.

KSIĄŻKI

antykwaryczne, wyczerpane i nowe ok 30.000 tytułów z dziedzin: Historia i Polityka, Druga Wojna Światowa, Literatura i Językoznawstwo, Judaica, Religia, Filozofia, Bibliografia, Sztuka, Różne.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne katalogi.
Przyjmujemy zamówienia na konkretne tytuły
z określeniem terminu aktualności.

Księgarnia Polska, A. i E. Neustein
Allenby 94, Tel-Aviv, Israel,
POB 29443, Tel.: 621311, FAX 972-3-622497.

Sprawy i troski.

SPRAWOZDANIE FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ ZA LATA 1987-1989

1. Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej został utworzony w marcu 1982 roku. W jego skład wchodzi: Czesław Miłosz (prezydent), Wojciech Sikora (sekretarz), Mirosław Chojecki, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Wojciech Karpiński, Krzysztof Pomian, Olga Scherer (Komitet Wykonawczy). Ponadto członkami Funduszu są: Stanisław Barańczak, Józef Czapski, Feliks Gross, Leszek Kołakowski.

2. W latach 1987-1989 Fundusz finansowo pomagał w wydaniu 25 książek, z których do dnia dzisiejszego ukazało się 14:

Timothy Garton Ash — *Niemieckość NRD*, Aneks, Londyn;

Seweryn Blumsztajn — *Une Pologne hors censure*, Solidarité France-Pologne, Paryż;

Josif Brodski — *82 wiersze i poematy*, Zeszyty Literackie, Paryż;

Josif Brodski — *Śpiew wahała*, Zeszyty Literackie, Paryż;

Aleksander Fiut — *Moment wieczny. O poezji Czesława Miłosza*, Libella, Paryż;

Tomasz Jastrun — *Od prawie dwustu lat*, Veto Verlag, Berlin;

Tomasz Jastrun — *W złotej klatce*, Veto Verlag, Berlin;

Wit Mader — *Walka Solidarności o społeczny kształt oświaty*, Polska Macierz Szkolna, Londyn;

Antoni Pawlak — *Trudny wybór wierszy*, Veto Verlag, Berlin;

Krzysztof Rutkowski — *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym*, Libella, Paryż;

Leszek Szaruga — *Nie mówcie Europa*, Pogląd, Berlin;

Jacek Trznadel — *Polski Hamlet*, Libella, Paryż;

Tomasz Venclowa — *Rozmowa w zimie*, Zeszyty Literackie, Paryż;

Marek Zaleski — *Mądreemu biada*, Libella, Paryż.

W najbliższym czasie ukażą się następujące książki (niektóre tytuły są prowizoryczne):

Czesław Bielecki — *Z celi do celi*, Puls, Londyn;

Włodzimierz Borodziej — *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby — Polska w stosunkach międzynarodowych w latach 1945-1947*, Aneks, Londyn;

Antoni Dudek, Grzegorz Pytel — *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, Aneks, Londyn;

Mircea Eliade — *Wybór z dziennika*, Puls, Londyn;
 Rita Gombrowicz — *Gombrowicz w Europie*, Puls, Londyn;
 Vladimir Holan — *Wybór wierszy*, Zeszyty Literackie, Paryż;
 Jerzy Malewski — *Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewicz*, Puls, Londyn;
Poezja polska lat osiemdziesiątych — debiutanci, Zeszyty Literackie, Paryż;
 Josef Skvorecky — *Wybór z prozy*, Puls, Londyn;
 Adam Zagajewski — *Eseje*, Zeszyty Literackie, Paryż;
Zbiór listów między kierownictwem WRN w podziemiu i Komitetem Zagranicznym PPS, 1939-1945, Puls, Londyn;

Ponadto Fundusz zakupił część nakładu dwóch książek:

Polscy poeci o węgierskim październiku. Antologia, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn;

Małgorzata Łukaszcuk — *I w kobysankę już przemieniony plac... (Obit. Natus est w poezji Aleksandra Wata)*, Kontra, Loudyn.

3. W okresie sprawozdawczym Fundusz udzielił 91 krótkoterminowych stypendiów umożliwiających polskim twórcom pobyty na Zachodzie. Większość z nich stanowiły stypendia miesięczne, wykorzystywane głównie we Francji. Wśród stypendystów znaleźli się pisarze, badacze w dziedzinie nauk politycznych i społecznych, artyści, dziennikarze i wydawcy, działacze polityczni i społeczni. Fundusz udzielił również pomocy finansowej kilku wybitnym twórcom emigracyjnym.

4. Środki na prowadzenie działalności Fundusz otrzymywał głównie z dwóch prywatnych Fundacji: norweskiej Fritt Ord oraz z Central & East European Publishing Project (Oxford). W listopadzie 1989 roku norweska Fundacja „Wolnego Słowa” przekazała na działalność Funduszu specjalną dotację wysokości 1 miliona franków francuskich. Zasadnicza część subwencji CEEPP przeznaczona była na program wydawniczy Funduszu, ponadto na koszty administracyjne, w tym stypendium sekretarza.

5. Sprawozdanie finansowe za okres 1987 — 1989 przedstawia się jak następuje:

WPLYWY:

Fritt Ord	1.178.181,66 FF
CEEPP	786.840,33 FF
Wpływy z operacji bankowych	38.887,93 FF
Wpłaty indywidualne	14.608,44 FF
Stowarzyszenie „Les Amis de Kultura”	10.000,00 FF
Wpływy z biuletynu <i>Co czytać</i>	1.874,61 FF

RAZEM: 2.030.392,97 FF

WYDATKI:

Finansowanie publikacji książek	597.508,50 FF
Stypendia indywidualne	265.500,00 FF
Pomoc dla kilku twórców emigracyjnych	64.000,00 FF
Stypendium sekretarza Funduszu	162.384,00 FF
Koszta administracyjne	24.856,00 FF

RAZEM: 1.114.248,50 FF

W dniu 31 grudnia 1989 na koncie Funduszu znajdowało się 1.036.295,68 FF (suma ta jest większa od różnicy między wpływami a wydatkami o pozostałość z lat poprzednich).

Wojciech SIKORA
 (sekretarz Funduszu)

Paryż, 3 kwietnia 1990

W sowieckiej prasie

Kiedy słynnemu aferzyście, wielkiemu kombinatorowi z powieści Ilfa i Pietrowa udało się wyciągnąć milion rubli od „podziemnego milionera” (rzecz działa się w latach 30-tych), wyrzekł słynne słowa: spełniło się marzenie idioty, zostałem milionerem. Nie wiadomo dokładnie, co powiedział Gorbaczow, kiedy spełniło się jego marzenie i został prezydentem. Dnia 15 marca 1990 nadzwyczajny trzeci zjazd deputowanych ludowych ZSSR wybrał Gorbaczowa prezydentem ZSSR. Cel, który sobie postawił po objęciu funkcji generalnego sekretarza został zrealizowany: ma w ręku absolutną władzę. W odróżnieniu od swych poprzedników zdobył ją drogą prawną, konstytucyjną.

Przemawiając na zjeździe Gorbaczow wyraził wdzięczność za zaufanie i wybór, a porażki minionego pięciolecia tłumaczył psychicznym nieprzygotowaniem narodu do zmian, przypadkowymi katastrofami (np. wybuchem w Czarnobylu i trzęsieniem ziemi w Armenii) i pewnymi błędami swojej polityki. Skarżył się na „hamujące działanie antypierestrojkowych, destrukcyjnych sił wszelkiej maści” i obiecał „zradycalizować politykę *pieriestrojki*”.

Jeśli chodzi o program pozytywny — przeszłość się nie liczy, po wyborze prezydenta życie zaczyna się od nowa — to Gorbaczow przede wszystkim podkreślił swoje „przywiązanie do integralności kraju”, a po drugie „wniósł jasność” w kwestię, która spowodowała na zjeździe ożywione dyskusje. Chodziło o łączne sprawowanie funkcji prezydenta i generalnego sekretarza KC KPZS. Zagadnienie to ma już swoją historię. Latem 1988 r., kiedy Gorbaczow powiadomił, że chciałby zostać wybrany na stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR (idea prezydentury dopiero zaczęła świtać w jego głowie), uzasadniał to koniecznością wzmocnienia władzy partii i rad, a do rezolucji włączył uchwałę o nierozdzielności funkcji pierwszego sekretarza i przewodniczącego sowiecie na wszystkich szczeblach, od republiki do komitetu rejonowego.

Kiedy został przewodniczącym Rady Najwyższej i połączył w swym ręku obie funkcje, ustaly rozmowy o innych sekretarzach i łączności funkcji. Kiedy został prezydentem, w kręgach bliskich władzy powstała koncepcja, że inne republiki nie potrzebują prezydentów: wystarczy jeden, ogólnozwiązkowy. Michaił Gorbaczow podkreślił w swej mowie dziękczynnej, że w chwili obecnej powinien „w interesie *pieriestrojki* pozostać równocześnie głową państwa i głową partii”.

Decyzja ta ma bardzo duże znaczenie, bo zjazd zmienił brzmienie artykułu 6, dotyczącego kierowniczej roli partii w państwie. W nowej wersji artykuł brzmi następująco: „KPZS, inne partie polityczne, a także związki zawodowe, organizacje młodzieżowe i społeczne oraz masowe ruchy reprezentowane przez swych przedstawicieli, wybranych do rad deputowanych ludowych, uczestniczą także w innych formach w kształtowaniu polityki państwa sowieckiego, w kierowaniu sprawami państwowymi i społecznymi”. Wydawałoby się, że KPZS zrezygnowała z monopolu, a konstytucja dopuszcza powstawanie innych partii politycznych i ruchów. Można by powitać takie pozytywne, samobójcze posunięcie KPZS. Wydaje mi się jednak, że radość byłaby przedwczesna.

Partia komunistyczna zachowuje — na razie — całą władzę. Fakt, że głowa państwa jest przywódcą partii świadczy o władzy KPZS. W Związku sowieckim istnieją dziś setki rozmaitych partii, grup, frontów itp., ale tylko jedna partia obejmuje cały kraj, ma w każdym zakątku swój oddział i dysponuje własnym, gigantycznym budżetem. Według oficjalnych danych dochód KPZS wynosił w 1989 r. 2.569 milionów rubli. Tylko KPZS ma własne wydawnictwa, które przyniosły jej w ubiegłym roku 1.070 mln rubli. Małutkie, mizerne partyjki i grupy nie bardzo jeszcze mogą się — ~~mięknąć~~ — komunistycznym kolosem. Wpisanie do sowieckiej konstytucji prawa do pluralizmu to nie mała, ale daleko nie dość, aby pluralizm stał się ciałem.

Obserwując od pięciu lat niepowstrzymaną karierę Michaiła Gorbaczowa, niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie, po co mu coraz więcej władzy, co zamierza z nią zrobić. Pytanie uzasadnione, bo Gorbaczow już od dawna ma kolosalną władzę, a wciąż chciał jej więcej i więcej. W dniu wyboru prezydenta zastępca prezesa Rady Ministrów, akademik Abalkin, jeden z ojców obecnej reformy gospodarczej, tłumaczył: „Dla przeprowadzenia gruntownej reformy gospodarki potrzeba silnej oraz, co podkreślam szczególnie, autorytatywnej władzy”. Następnie powtórzył: „Władza prezydenta niewątpliwie może przyspieszyć reformę, sprzyjając podjęciu energicznych decyzji”.

„Władza” w gospodarce. Jeszcze większa władza w polityce narodowościowej. 1-go kwietnia *Prawda* opublikowała apel prezydenta ZSSR do narodu i Rady Najwyższej litewskiej SSR. Gorbaczow oświadcza: Wasza droga „prowadzi do zguby, do ślepego zaułka... Proponuję, aby bezzwłocznie... uchylić bezprawne akty...” Narodowi litewskiemu prezydent ZSSR przypomina: „Przez wiele lat

żyliśmy w jednym domu” i ostrzega: „Proponujemy dokonanie skutecznych posunięć ekonomicznych, politycznych i administracyjnych. Na Białorusi i w obwodzie kaliningradzkim porusza się kwestię zwrotu terytoriów, przyznanych Litwie po jej wejściu w skład ZSSR...”

5-go kwietnia Rada Narodowości uchwaliła w drugiej lekturze projekt ustawy o wyjściu z ZSSR. Stał się więc prawem. Konstytucja ZSSR zawsze zawierała wzmiankę o możliwości opuszczenia Związku, tylko nigdy nie tłumaczyła, jak to można zrobić. Teraz ustalono procedurę. Gorbaczow powiedziałby w tym miejscu (jest to jego ulubione powiedzenie), że starą federację wypełniono nową treścią. Co więc należy zrobić, aby opuścić Związek Republik Sowieckich? Przede wszystkim pytanie to poddane ma zostać pod referendum, w którym ma wziąć udział cała ludność kraju, tzn. także wszystkie jednostki wojskowe, stacjonujące na terytorium ewentualnego odszczepieńca. Do opuszczenia Związku potrzebne jest 75% głosów za — nowe pojęcie absolutnej większości. W razie zwycięstwa secesjonistów zaczyna się „okres przejściowy”, który ma trwać nie mniej niż pięć lat (w tym czasie mają zostać rozpatrzone kwestie własności i finansów między republiką a Związkiem). W ostatnim, piątym roku okresu przejściowego władza republikańska lub 10% ludności mogą zażądać nowego referendum, aby potwierdzić lub uchylić wynik poprzedniego. Jeśli w drugim referendum za wyjściem opowie się mniej niż dwie trzecie ludności, następne referendum może się odbyć dopiero po dziesięciu latach. A ostateczną decyzję o wyjściu z ZSSR podejmuje zjazd deputowanych ludowych ZSSR.

5-go kwietnia — prawodawstwo nabiera coraz większego rozpędu — Rada Najwyższa uchwaliła trzy ustawy, przyznające prezydentowi specjalne pełnomocnictwa. Po pierwsze, ustawę o „zwiększonej odpowiedzialności za naruszenia praw etnicznych i narodowych” i za zagrożenie siłą integralności terytorialnej ZSSR. Wszystkie organizacje i ruchy, wzywające do nienawiści narodowościowej, mogą zostać zdelegalizowane. Normalne w sowieckim ustawodawstwie niejasne sformułowanie ustaw pozwala je wykorzystywać wedle uznania prezydenta. Dlaczego np. nie zdelegalizować frontów narodowych w Nadbałtyce? Ustawa pozwala też na obronę interesów mniejszości rosyjskiej w republikach. Do stosowania ustawy uprawnione są republiki, ale też Sąd Najwyższy ZSSR. Zbędne dodawać, że prawo to przysługuje też prezydentowi. Nie musi nawet czekać na decyzję Sądu Najwyższego. Druga ustawa definiuje zasady wprowadzania stanu wojennego. W przypadku masowych rozruchów może on być wprowadzony przez Radę Najwyższą republiki albo przez prezydenta ZSSR. Trzecia ustawa dotyczy wykorzystania wojsk specjalnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Także w tej dziedzinie prezydent dysponuje absolutnymi pełnomocnictwami.

Cytowałem wyżej wywiad z Leonidem Abałkinem, bo to pod

jego kierownictwem opracowano pakiet reform, które mają nareszcie wyprowadzić sowiecką gospodarkę z kryzysu. Szczegóły tej kolejnej reformy nie są jeszcze znane, natomiast już można powiedzieć, że wzoruje się ona na polskim „planie Balcerowicza”. Wszystko jednak, jak dawniej, rozbija się o problem własności. Wszyscy eksperci jednogłośnie twierdzą, że prawdziwa reforma może się zacząć tylko pod warunkiem, że państwo zrezygnuje z własności środków produkcji i rozsprzeda majątek narodowy w postaci akcji. Do tak zdecydowanych posunięć Związek Sowiecki — stan na dzień 9.4.1990 — jeszcze nie dojrzał.

Znacznie łatwiej jest odstaniać tajemnice, które dawno już nimi nie są. *Moskowskije nowosti* (nr 12, 25.3.90) ogłosiły na pełnych dwóch stronach artykuł pt. „Tragedia katyńska”. Jest to, ściśle mówiąc, nie artykuł, a „dokumentalne badania”. Nie jest to jeszcze oficjalnie przyznanie się do winy, ale jednak jakaś forma przyznania z nazwiskami i szczegółami. Ogłoszone materiały zawierają jednak nadal mnóstwo tajemnic. Dziwne się wydaje, że specjalna polsko-sowiecka komisja od dwóch lat szukała dokumentów i nie mogła ich znaleźć. „Odkryła” je pracowniczka Instytutu Historii Powszechnej, Natalia Lebediewa. „Odkryła” w miejscu, w którym na zdrowy rozum należało szukać od początku, ale jakoś nie szukano: w specjalnych zbiorach Centralnych Archiwów ZSSR i w Centralnym Archiwum Państwowym Armii Sowieckiej. Najważniejszy jednak jest fakt, że główne „tajemnice”, które odkryła N. Lebediewa, są od dawna znane. Powołuje się ona zresztą przede wszystkim na znane źródła, a nie na nowe dokumenty. Głównym problemem pozostaje brak jakichkolwiek informacji o oficerach, których nie odkopano w grobach katyńskich. Gdzie są pozostali polscy oficerowie? W „dokumentalnych badaniach” nie ma o tym ani słowa. Trudno oczekiwać, że znajdziemy na ten temat coś więcej w pełnym tekście artykułu Lebediewoj, który ukaże się w piśmie *Mieżdunarodnaja żyżń*.

Lebediewa cytuje dwie listy „sowieckich i oficjalnych osóbistości i pracowników NKWD, którzy uczestniczyli w tragedii katyńskiej”: „polska wersja” zawiera 35 nazwisk, sowiecka „dokumentalna” — 31. Tylko osiem nazwisk figuruje na obu listach: nie licząc naczelników obozu w Starobielsku i Ostaszkowie, są to znane wszystkim postacie: Stalin, Mołotow, Mierkułow, Beria. Wyjaśnienie tego braku zbieżności jest sprawą historyków.

Uwagę zwraca wstęp do artykułu Lebediewoj. Autor, doktor nauk filozoficznych profesor Aleksander Cypko, pisze bardzo przyzwoicie: „Prawda o Katyniu potrzebna jest przede wszystkim nam... Postąpilibyśmy nierozumnie powiększając stare zło i ukrywając tajemnicę, która zakłóca spokój sumienia, budzi namiętności polityczne i nie pozwala historii stać się historią”. Dodaje: „Dlatego, jako uczony, który wiele lat poświęcił krzewieniu zaufania i przyjaźni między naszymi krajami, popieram prośbę Natalii Lebediewoj, aby rzucić snop światła na okoliczności, w jakich zginęli polscy

oficerowie w Katyniu". Aleksander Cypko, który w swoim czasie obronił pracę doktorską u prof., Szczepańskiego w Warszawie, przez długie lata potem pracował w aparacie KC, gdzie był jednym z głównych ekspertów od spraw polskich. Można wątpić, czy krzewił zaufanie i przyjaźń między naszymi narodami w dobie Solidarności. Teraz objął stanowisko wicedyrektora Instytutu Ekonomiki Światowego Systemu Socjalistycznego i rzeczywiście odnosi się do obecnej Polski przyjaźnie.

Do tajemnic Katynia należy też pytanie, dlaczego sowieccy przywódcy nie chcą się przyznać do tej zbrodni. Powodem nie może być sprzeciw starych mamutów z KGB. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego oświadczył, że całkowicie zmienił skórę i stanął w pierwszych szeregach bojowników o *perestrojkę*. Przybyły z Moskwy przyjaciel przywiózł mi w podarunku ulotkę wyborczą z niedawnych wyborów do rady moskiewskiej. Kazał mi najpierw przeczytać program wyborczy, a potem biografię kandydata. Program był imponujący: praworządne państwo, pełnia swobód, likwidacja „haniebnego i bezprawnego systemu przywilejów w Moskwie”, podwyższenie stopy życiowej itd. Nie było wątpliwości: na tego kandydata należało głosować obiema rękami. Ale w biografii kandydata, Aleksandra Anatoljewicza Popowa, odnotowano, że od 1989 r. pracuje jako starszy śledczy wydziału śledczego KGB. Występuje zaś z ramienia moskiewskiego klubu partyjnego komunistów-reformatorów pod nazwą „Komunistyczna platforma KPZS”. Nie jest to bynajmniej jedyny kandydat „organów”. W *Ruskiej myśli* (23.3.90) korespondent z ZSSR opisuje aktywną kampanię naczelnika KGB z kałużskiej *oblasti*, generała Judina, uwieńczoną zresztą sukcesem. W tej samej notatce mowa jest o tym, że wybrano także naczelnika obnińskiego KGB; w Obińsku mieści się znany instytut badań nuklearnych. Niewykluczone, że fizycy także oddali swe głosy na sławnego czekistę.

Dziennikarze i specjaliści, usiłujący rejestrować rzeczywistość i niezgodni ją pojąć, dawno już przestali nadążać za niepowstrzymanym potokiem zdarzeń, ostrych zakrętów i niewiarygodnych faktów. Dwaj francuscy dziennikarze, Michel Meyer i Michel Tatu, znaleźli na to sposób: napisali powieść o sytuacji w Związku Sowieckim w 1991 r. Wolni od wymogów prawdopodobieństwa, opisują powstanie grupy wojskowych pod sztandarem świętej Rusi. Na końcu jednak wyjaśnia się (opowiadam, jak się rzecz kończy, bo książka nieprędko zostanie przetłumaczona na polski) że przebiegły, diabelski spisek był dziełem generalnego sekretarza i jego przyjaciela z dzieciństwa, który zajmował stanowisko naczelnika wydziału administracyjnego KC (wydział kadr). Zdaniem autorów generalny sekretarz zorganizował spisek, aby pozbyć się wątpliwej wierności wojskowych i zdobyć absolutną, niczym nie ograniczoną władzę. Dwaj poprzednicy byli mu wzorem: Iwan Groźny i Stalin.

Dotychczas Zachód zawsze piał na cześć Gorbaczowa, porównywał go — zresztą on sam to robił — z Aleksandrem II, który w

drugiej połowie ubiegłego stulecia przeprowadził liberalne reformy, i z Piotrem I. Powieś Meyera i Tatu, zatytułowana „Czerwony brat”, dowodzi, być może, że nawet zachodni dziennikarze zaczynają pojmować prawdziwy charakter Gorbaczowa i sens jego reform.

Adam KRUCZEK

9.4.1990

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

W dniach 24 lutego i 4 marca odbyły się dwie tury wyborów do Rady Najwyższej Republiki Litewskiej. Do 11 marca wybrano posłów w 133 na 141 okręgów. Spośród 133 posłów Sajudis popierał 97. W Radzie Najwyższej znalazło się, oprócz posłów bezpartyjnych, 31 przedstawicieli KPL (w tym 16 popieranym przez Sajudis) i 4 reprezentantów KPZS; ponadto wybrano (z poparciem Sajudisu) 9 posłów Partii Socjaldemokratycznej, 3 posłów Partii Demokratycznej i po 2 posłów Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i Partii Zielonych. Sajudis popierał kandydatury 140 Litwinów, 3 Rosjan i po 1 Ormianinie, Żydzie i Łotysz, natomiast nie poparł żadnego Polaka ani Białorusina. Spośród 30 Polaków, którzy stanęli do wyborów, 10 uzyskało mandaty.

11 marca Rada Najwyższa przyjęła deklarację potwierdzającą niepodległość Litwy. Za deklaracją głosowało 124 posłów, natomiast 6 posłów (wszyscy narodowości polskiej) wstrzymało się od głosu. 4 Polaków (w tym M. Czobot, Cz. Okiniczyc, Z. Balcewicz) głosowało za deklaracją. Niejasne jest, co robiło pozostałych trzech deputowanych, skoro uczestniczyli oni następnie w wyborze prezydenta.

Prezydentem wybrano prof. Vytautasa Landsbergisa, przewodniczącego Sajudisu (91 głosów, przeciw 42), wiceprezydentami zostali Kazimieras Motieka, Bronius Kuzmickas i Czeslovas Stankevicius. Warto zaznaczyć, że K. Motieka zajmuje stanowisko przychylnie wobec mniejszości polskiej (patrz wywiad w *Magazynie Wileńskim* nr 2).

13 marca parlament zwolnił poborowych litewskich od służby w Armii Sowieckiej. Gorbaczow oświadczył, że uznaje decyzję z 11 marca za nielegalną, a jednocześnie w tajnych rozmowach z sekretarzem KPL A. Brazauskasem (Brazauskas opowiedział o nich 17 marca) przyznał, że stosunki fińsko-sowieckie mogłyby stanowić model dla przyszłych stosunków litewsko-sowieckich. G. Bush wyzna-

łaż formułę umożliwiającą mu nienawiązywanie stosunków dyplomatycznych z Litwą. Prezydent USA zażądał, by rząd Litwy najpierw faktycznie kontrolował w pełni swe terytorium i miał zdolność do podejmowania i wykonywania zobowiązań międzynarodowych.

15 marca Zjazd Deputowanych Ludowych w Moskwie uznał deklarację litewską za nieważną, a Gorbaczow zażądał przeprowadzenia na Litwie referendum.

16 marca Gorbaczow zażądał od prezydenta V. Landsbergisa, by w ciągu trzech dni ustosunkował się do decyzji Kongresu z 15 marca, co zostało potraktowane przez komentatorów jako ultimatum.

17 marca zaczęto formować rząd litewski. Kazimiera Prunskiene i dwu wicepremierów: A. Brazauskas i R. Ozolas (członek politbiura KPL). Jak pisze *Atgimimas*, podstawowym argumentem Prezydenta, zgłaszającego kandydaturę K. Prunskiene było to, że „wczoraj wystąpiła ona z KPL, a Zachód bardziej poprze niekomunistyczny rząd”. Ministrem spraw wewnętrznych został były wiceminister Misiukonis, przedstawiciel starej kadry, związany z KGB, odpowiedzialny za wyjątkowo brutalne rozpędzenie demonstracji 28 września 1988 r.

18 marca Rosjanie manifestowali w Wilnie przeciwko niepodległości, zaś Armia Sowiecka rozpoczęła ćwiczenia na terenie Litwy. Związek Polaków na Litwie odciał się od szkodliwych działań i poparł demokratyczne przemiany.

21 marca Gorbaczow skierował siły bezpieczeństwa do kontroli granicy; dnia następnego parlament litewski powołał ministerstwo obrony. Zarejestrowano już około 200-500 ochotników, których można by było w przyszłości powołać do służby, gdyby zaszła taka potrzeba, ale Litwinom nie udało się stworzyć własnych punktów granicznych.

24 marca rano kolumna pojazdów pancernych przejechała przez Wilno, a 27 marca komandosi sowieccy aresztowali w szpitalach 27 dezertów (na 300 Litwinów, którzy opuścili Armię Sowiecką).

28 marca G. Bush ujawnił, że w liście do Gorbaczowa obiecał, że „nie będzie robił nic, co mogłoby przyczynić się do zaostrzenia sytuacji na Litwie”. Następstwa listu Busha były natychmiastowe. Ponieważ wszystkie ministerstwa, wbrew poleceniom Moskwy, wykonują tylko polecenia parlamentu litewskiego, Sowietci zaczęli od zajęcia prokuratury i usunięcia prokuratora generalnego A. Paulauskasa (30 marca), a następnie usunięcia jego podwładnych, którzy bojkotowali prokuratora przyslanego z Moskwy. Następnie zajęto budynki KPL (31 marca) i dwie drukarnie (1-2 kwietnia), choć nie przeszkadzano w drukowaniu prasy. 8 kwietnia centralną drukarnię otoczyła straż i tysiące ludzi, by uniemożliwić żołnierzom sowieckim sabotowanie wydawania prasy. Gdy parlament wezwał obywateli do

zerwania wszelkiej współpracy z KGB, Sowietci nakazali ją i odradzili współpracę z lokalną milicją (31 marca), a następnie zamknęli granice Litwy (m.in. z Polską) i zakazali wjazdu cudzoziemcom (4 kwietnia).

Od 3 kwietnia straż litewska pilnuje budynków rządowych i członków rządu, z poleceniem stawienia biernego oporu w wypadku próby okupacji lub aresztowania.

Statys Łozarajtis, upoważniony do reprezentowania Litwy przez parlament, wyliczył możliwe ustępstwa wobec Moskwy: bazy sowieckie, korytarz do Królewca, czasowe korzystanie z portów, powolniejszy proces odzyskiwania niepodległości. Jego oświadczenie potwierdził A. Czekuolis. V. Landsbergis wyjaśnił, iż możliwe jest tylko referendum w sprawie ewentualnego przystąpienia Litwy do ZSSR, natomiast A. Brazauskas wypowiedział się za referendum.

7 kwietnia w Londynie A. Czekuolis (czł. władz Sajudisu i politbiura KPL) stwierdził, że państwa zachodnie „za rozbrojenie chcą płacić wolnością Litwy, a Rosja Sowiecka musi pójść na rozbrojenie”. „Liczymy bardzo na Polskę — mówił dalej — może ona zrobić dużo więcej niż robi (gdyż) nie ma nic do stracenia, a tylko do wygrania. Trzeba by Polska była z nami, stanowisko rządu polskiego... może być bardziej energiczne”.

Związek Polaków na Litwie zrezygnował ze stworzenia autonomicznych okręgów polskich na Litwie, „by nie iść na rękę Moskwie”. Wśród Polaków litewskich ścierają się dwie postawy: za niepodległością i za pozostaniem w ZSSR, co wynika z obawy przed nacjonalizmem litewskim. Druga postawa jest powszechniejsza wśród biedniejszych i słabo wykształconych warstw. Stała się ona przyczyną przegranej J. Sienkiewicza, prezesa ZPL w okręgu Jaszuny w wyborach z innym kandydatem polskim.

W *Respublice* 73 przyznano, „że na początku swej działalności Sajudis popełnił poważne błędy w kwestii narodowej”, np. nieustannie wykazywał, że Polacy na Litwie są tylko spolszczonymi Litwinami, podczas gdy „jakim językiem by nie mówili, od wieków kraj ten jest ich Ojczyzną. W niepodległej Litwie minie wiele lat, zanim rejon Sołecznik zlituanizuje się”. Zaraz jednak organ Sajudisu przypomniał Polakom, że do XVIII-XIX w. byli Litwinami, a w XIII w. zasięg języka litewskiego dochodził o 50 km dalej na wschód niż obecna granica republiki, podczas gdy tereny mieszane językowo sięgały do Białegostoku i Wołkowyska. Autor narzeka, że nie uświadamia się Polakom ich „prawdziwego pochodzenia”.

20 października 1989 papież Jan Paweł II konsekrował Białorusina, msg. Tadeusza Kondrusiewicza, administratorem apostolskim Mińska i Białorusi. Białorusini zarzucają nowemu biskupowi, że w swej parafii w Grodnie używa jedynie języka polskiego; podobnie po

powrocie z Rzymu, w czasie uroczystych mszy odprawionych w Grodnie i Mińsku miał faworyzować Polaków.

Na Białorusi żyją 2 mln katolików, w tym ok. 0,5 mln Polaków, jeśli przyjąć, że udział Polaków wśród ludności republiki nie uległ zmianie od 1979 r. (w 1989 r. Białoruś liczyła 10,2 mln mieszkańców). Spośród 65 katolickich parafii na Białorusi tylko w dwóch msze odprawiane są po białorusku.

Spełniono żądanie frontu popierania przebudowy „Adradżenie” powołania egzarchatu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na Białorusi, przywracając diecezje: Połocką, Pińską i Mohylewską.

W 1989 r. zarejestrowano 78 nowych parafii Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na Białorusi oraz zwrócono 20 budynków sakralnych. W 1990 r. zwrócono cerkiew w Homlu.

Na razie zatem żądanie frontu „Adradżenie” wprowadzenia języka białoruskiego do Kościoła katolickiego i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na Białorusi nie zostało spełnione.

W styczniu 1990 r. Sowiet BSSR uznał wprowadzić białoruski za język urzędowy republiki, ale jednocześnie zastrzegł dla rosyjskiego statut języka porozumiewania się między narodami i zagwarantował każdemu obywatelowi prawo do wykształcenia w języku rosyjskim. W czasie kampanii wyborczej władze odmawiały rejestracji kandydatów wysuwanych przez „Adradżenie”. Gdy mimo to udało się zarejestrować kilkunastu kandydatów, Centralna Komisja Wyborcza unieważniła wszystkie kandydatury zgłoszone przez front, później jednak pod naciskiem społeczeństwa powtórnie zarejestrowano kilkunastu kandydatów „Adradżennia”, w tym jego przewodniczącego Zianona Pazniaka, który wy dobył na światło zbrodnie Kuropat. Zianon Pazniak zdobył mandat w I turze.

25 lutego 100 tysięcy osób demonstrowało w Mińsku przeciwko nadużyciom białoruskiej Centralnej Komisji Wyborczej. Na wiecu, który zwołało „Adradżenie”, żądano ustąpienia rządu i KC kompartii białoruskiej, zaś I sekretarza Sokołowa zakrzyczano, nie dopuszczając go do głosu. Do zebranych przemawiał Zianon Pazniak, który następnie przedostał się do studia TV, gdzie odczytał rezolucje przyjęte na wiecu.

17-18 marca odbyła się II tura wyborów w Mińsku i na Białorusi. Blok demokratyczny zdobył 14 mandatów w Mińsku, co liczbę popieranych przez „Adradżenie” deputowanych z Mińska w Sowiecie republiki podniesie do 20. W Mińsku do obsadzenia pozostaje jeszcze 12 mandatów.

Wybory przegrali wiceprzewodniczący „Adradżennia” Jurij Chadyka i Michaś Tkaczou oraz sekretarze Frontu: Wincuk Wiaczorka i Aliaksei Maraczkin; ich porażkę przypisuje się kampanii oszczerstw zorganizowanej przez oficjalną prasę republiki.

Po spotkaniu z Gorbaczowem Rada Najwyższa BSSR oświadczyła, że w wypadku odłączenia się Litwy od ZSSR, Białoruś zgłosi pretensje terytorialne do Wilna i 6 okręgów położonych wzdłuż granicy białorusko-litewskiej, które przed 1939 rokiem należały do

Polski. 4 kwietnia Kamila Malewicz, rzecznik „Adradżennia”, stwierdziła, że „Front nie popiera w pełni roszczeń terytorialnych” wysuniętych przez białoruski Sowiet. „Adradżennie” wezwało następnie do rozmów z Sajudisem na temat zmian terytorialnych.

W marcu 1990 r. utworzono w Mińsku Białoruską Partię Niepodległości, która stawia sobie za cel budowę niepodległego państwa białoruskiego. Pierwszą kampanią BPN będzie walka o przywrócenie symboli narodowych.

25 lutego ukraiński Ruch Popierania Przebudowy zorganizował w Kijowie 70-tysięczny wiec przeciwko szerzeniu antysemityzmu i wrogości między narodami. Oprócz flag ukraińskich widoczne były sztandary polskie, lotewskie, bułgarskie i czeskosłowackie.

„Ruch” zawarł sojusz wyborczy ze Związkiem Helsińskim, Ligą Ludowo-Demokratyczną i innymi organizacjami niezależnymi celem przeciwstawienia wspólnych kandydatów nominatom aparatu partyjnego w czasie wyborów do Rady Najwyższej Republiki Ukraińskiej. Tak powstałemu Blokowi Demokratycznemu udało się zarejestrować 129 kandydatów, zaś dalszym 72 kandydatom Blok udzielił swego poparcia. Władze zabezpieczyły się w ten sposób przed zwycięstwem Bloku, ponieważ Ukrainę podzielono na 450 jednomandatowych okręgów wyborczych. Kandydatów Bloku rejestrowano tylko pod naciskiem manifestacji i wieców protestacyjnych. Żadnego kandydata Blokowi nie pozwolono zarejestrować w *oblastiach* poławskiej i odeskiej (razem 39 okręgów), po kilku lub jednym kandydacie dopuszczono w *oblastiach* donieckiej, woroszytogradzkiej, winniczkiej, chmielnickiej, dnipropietrowskiej, kirowogradzkiej, mikołajowskiej, chersońskiej, krymskiej i czerniowickiej, jedynie w *oblastii* lwowskiej zarejestrowano kandydatów we wszystkich 24 okręgach. Geografia ta wskazuje na słabość Bloku prawie w całej wschodniej, środkowej, a zwłaszcza południowej Ukrainie. Na tym tle sytuację w Kijowie (zarejestrowano 20 kandydatów na 22 okręgi) i Charkowie (na 28 okręgów zarejestrowano 10 kandydatów) należy uznać za wyjątkowo dobrą.

Wybory odbyły się w dwu turach 4 i 18 marca, niestety zbiorcze dane nie są jeszcze znane. W pierwszej turze mandaty uzyskało 38 kandydatów Bloku. Szacuje się, że w sumie kandydaci Bloku oraz ludzie cieszący się jego poparciem mogli zdobyć po dwu turach 160 do 180 miejsc. Rodzą się nadzieje na oderwanie od KPU części jej deputowanych lub podzielenie reprezentacji komunistycznej i uzyskanie większości tą drogą. W 6 okręgach wybory zostały powtórzone.

Przyjrzyjmy się geografii zwycięstw Bloku. W *oblastii* lwowskiej kandydaci Bloku wygrali w 23 z 24 okręgów, a w Kijowie w 16 z 22 okręgów, w Równem w 3 na 10 (zarejestrowano 3 kandydatów), na Wołyniu (Łuckie) w 6 na 9 (zarejestrowano 6 kandyda-

tów), w Sumach w 2 na 13 (zarejestrowano 4 kandydatów). Już w I turze (wyniki drugiej nieznane) w stanisławowskim zdobyto 9 na 12 mandatów (zarejestrowano 11 kandydatów) i w tarnopolskim 6 na 10 (zarejestrowano 8 kandydatów); po jednym mandacie zdobyto w *oblastiach*: kirowogradzkiej, dnipropietrowskiej i zakarpackiej, (zarejestrowano tam odpowiednio 1, 2 i 4 kandydatów). Na Zachodniej Ukrainie, nie mówiąc już o Galicji, aparat kompartii został więc rozgromiony. Mandaty uzyskali przywódcy „Ruchu” Iwan Dracz i Wołodymir Jaworiwski oraz kierownicy Ukraińskiego Związku Helsińskiego (w wielu wypadkach dawni dysydenci i długoletni więźniowie gulagu): Łewko Łukianenko, Wiaczesław Czornowil, Ołes Szewczenko, Stepan Chmara, Mychajło i Bohdan Horyniowie, a nawet Iwan Makar i Bohdan Koziarski, członkowie radykalnej Ukraińskiej Partii Narodowej z Lwowa.

6 marca grupa przywódców „Ruchu” i Związku Helsińskiego (m.in. Iwan Dracz, Dmytro Pawłyczko, Łewko Łukianenko, Mychajło Horyń) wystosowali do członków Frontu odezwę, w której wezwali do stworzenia w oparciu o „Ruch” i jego program partii politycznej, ponieważ „odrodzenie Ukrainy w oparciu o wolę konserwatywnej większości KC KPU, zademonstrowaną na jej ostatnim plenum, jest niemożliwe, natomiast nie do przyjęcia jest pracowanie na imperialnego molocha maskowanego fałszywymi słowami o odnowionej federacji”. Dlatego „Ruch” powinien wziąć na siebie zadanie „budowania ostatecznej niezależności Ukrainy”. Już wcześniej I. Dracz i D. Pawłyczko, którzy byli członkami KPZS, oddali legitymacje partyjne. Iwan Dracz oświadczył korespondentowi Reutersa: „Nasza partia będzie zwolenniczką niepodległości Ukrainy, jej politycznej i społecznej suwerenności, a w tym momencie jedyną drogą prowadzącą do osiągnięcia tego celu jest opuszczenie Związku Sowieckiego”. Następnie przewodniczący „Ruchu” dodał: „Byłoby błędem twierdzić, że partia upada, ale jasne jest, że jej popularność traci na sile. Myślę, że utworzenie partii „Ruchu” mogłoby dobrze wpłynąć na radykalnych komunistów, popychając ich w kierunku zbudowania partii komunistycznej niezależnej od Moskwy”.

24 marca, na sesji wyjazdowej w Chust, poświęconej uczczeniu rocznicy proklamowania niepodległości Ukrainy Zakarpackiej 15 marca 1939 roku, Wielka Rada Ruchu postanowiła jednak, że Front zachowa swą dotychczasową postać i pozostanie otwarty dla wszystkich „postępowych organizacji, partii, związków”. Natomiast Ukraiński Związek Helsiński postanowił przekształcić się w partię. Jego przewodniczący, Łewko Łukianenko, powiadomił, że 29-30 kwietnia odbędzie się zjazd UZH, ma na nim zostać powołana masowa partia polityczna, która przyjmie nazwę partii chadeckiej.

Już od dwu miesięcy krytykowano UZH, że w praktyce przestał działać, gdyż całkowicie włą się w „Ruch” i utożsamił z tą organizacją, co w konsekwencji spowodowało także przyjęcie przez Związek kompromisowego stanowiska „Ruchu” w kwestii niepodległości Ukrainy. Domagano się więc przekształcenia UZH w partię i

organizacyjnego oddzielenia się od „Ruchu” oraz uznania, że głównym celem walki jest „wyjście Ukrainy ze składu ZSSR i stworzenie niepodległego państwa ukraińskiego”.

Władze Odessy planują przesiedlenie tysięcy Rosjan z Tiumentia, Magadanu i Murmańska nad Dniestr. Celem tej operacji byłoby stworzenie Naddniestrzańskiej Republiki Autonomicznej z terenów o większości rosyjskiej, które obecnie stanowią część Republiki Mołdawskiej (Tyraspol-Bendery) i skolonizowanego obszaru Republiki Ukraińskiej.

25 marca Związek Niezależnej Młodzieży Ukraińskiej — SNUM — zorganizował w Kijowie manifestację na rzecz stworzenia zawodowej armii ukraińskiej. W Kijowie powstał komitet, który będzie domagał się od Rady Najwyższej republiki, by ukraińscy poborowi służyli tylko na terenie Ukrainy.

31 marca „Ruch” zorganizował w kilku miastach Ukrainy masowe wiece na rzecz poparcia dla Litwy i przeciwko interwencji wojsk sowieckich w tej republice.

6 kwietnia władze Lwowa ogłosiły, że zwrócą katedrę św. Jura Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej. Decyzję tę wymusili wierni, którzy od dłuższego czasu pikietowali katedrę; w akcji uczestniczyły codziennie setki osób. W nowej sytuacji najwyższy arcybiskup UCK kardynał Myrosław Lubacziwski stwierdził, że istnieje możliwość jego powrotu do Lwowa. Od 1 grudnia 1989 r. grekokatolicy na Ukrainie mają prawo rejestrowania swych parafii.

Na Zachodniej Ukrainie narasta konflikt religijny między UCK a odnowioną właśnie Ukraińską Autokefaliczną Cerkwią Prawosławną. Jego podłoże wyjaśnia B. Horyń: „Niektórzy myślą, że utworzenie jej (tj. UACP) będzie miało wpływ na rozpowszechnienie się idei autokefalizmu przeważnie na Ukrainie Wschodniej. Ale stało się inaczej. Duchowni Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej nagle uświadomili sobie, że istnieje duża możliwość uniezależnienia się zarówno od Moskwy jak też od Rzymu... Niektórzy duchowni zaczęli przekształcać świątynie, które kiedyś należały do Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej i zostały bezprawnie oddane do użytkowania Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, na autokefaliczne”. UCK zarzuca się przy tym, jakoby chciała „przekształcić ziemie zachodnioukraińskie w terytorium polskie, zlatynizować Cerkiew ukraińską i spolszczyć ludność”.

Józef DARSKI

Kronika niemiecka

Na przełomie lutego i marca br. polska granica zachodnia stała się przedmiotem wypowiedzi szeregu polityków z obu państw niemieckich. 1 marca kanclerz Kohl przyjął przewodniczących trzech wschodnioniemieckich partii konserwatywnych — W. Schnura (Demokratyczny Przełom), Lothara de Maizière (CDU) i Hansa-Wilhelma Ebelinga (Niemiecka Unia Społeczna, DSU). Politycy wschodnioniemieccy wypowiedzieli się za jednoznacznym uznaniem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. 2 marca kanclerz Kohl wystąpił z nowymi, szokującymi propozycjami. Jak powiedział wicerczynnik bońskiego rządu, Dieter Vogel: „Planowane oświadczenie (chodzi o rezolucje parlamentów obu państw niemieckich, potwierdzające granicę) stwierdzić musi ponadto jasno, iż deklaracja strony polskiej z 23 sierpnia 1953 roku, kiedy to Polska zrezygnowała z reparacji ze strony Niemiec, ma nadal moc obowiązującą. Musi ono również stwierdzać, iż prawa żyjących w Polsce Niemców są zagwarantowane i to w sensie umowy, jaką w dniu 14 listopada 1989 roku podpisali wspólnie kanclerz Kohl i premier Mazowiecki”. Na temat polskiej granicy zachodniej zabrał również głos goszczący przez jeden dzień w Berlinie Zachodnim minister spraw zagranicznych Francji, Roland Dumas, domagając się jej natychmiastowego uznania przez oba parlamenty niemieckie. „Gdyby rządowi kanclerza Kohla chodziło rzeczywiście o formalne uznanie ważności polskiej granicy zachodniej — pisał zachodnioblerliński, lewicowy dziennik *Die Tageszeitung* — to musiałby on poprzeć najnowsze propozycje premiera Mazowieckiego”. Szef polskiego rządu domagał się podpisania traktatu gwarantującego obecne granice, który miałby być parafowany przez oba rządy niemieckie i ostatecznie ratyfikowany przez parlament zjednoczonych Niemiec. Propozycje Kohla spotkały się z ostrą krytyką, zarówno w tonie bońskiej koalicji (FDP), jak i wśród zachodnich sojuszników — Francji, Wielkiej Brytanii. W efekcie kanclerz musiał ratować koalicję z liberałami i wycofał się, przyznając, iż wszyscy się czasem mylą. 8 marca Bundestag głosami partii koalicyjnych (CDU/CSU i FDP) zatwierdził treść rezolucji, gwarantującej polską granicę zachodnią i przewidującej podjęcie tuż po wyborach w NRD podobnej gwarancji przez oba parlamenty niemieckie. W rezolucji powtórzono za rezolucją z listopada '89, iż „naród polski powinien wiedzieć, że jego prawo do istnienia w bezpiecznych granicach nie będzie naruszone przez Niemców — zarówno teraz jak i w przyszłości poprzez wysuwanie roszczeń terytorialnych”. SPD i Zieloni wstrzymali się od głosu. W rezolucji zabrakło sformułowania o Odrze i Nysie, co skrytykowały władze w Warszawie. ■ Temat granicy poruszył także premier

NRD, Hans Modrow, występując po raz ostatni przed wyborami na forum Izby Ludowej. Modrow opowiedział się za podpisaniem umowy pomiędzy Polską a obydwoma państwami niemieckimi, która zagwarantowałaby, że obecny kształt granicy między RP a NRD zachowany zostanie również po zjednoczeniu Niemiec. Przeciwno granicy na Odrze i Nysie wypowiedzieli się — po raz kolejny — Hubert Czaja, przewodniczący Związku Wypędzonych i Herbert Hupka, przewodniczący Federalnego Ziomkostwa Ślązaków: „Jeśli Polacy otrzymają wszystko, a Niemcy nic, Europa będzie trwałym siedliskiem niepokoju” — stwierdził Czaja. Hupka wystąpił z propozycją odłączenia od Polski zachodnich terenów i utworzenia tam strefy bezpieczeństwa, zarządzanej przez Niemcy i Polskę. Opowiedział się także za przeprowadzeniem referendum na terytorium zachodniej Polski, rozstrzygającego o przyszłości tych ziem. ■ W Polsce przebywał federalny minister gospodarki, Helmut Haussmann (FDP), któremu towarzyszyła liczna delegacja zachodnioniemieckich specjalistów od spraw gospodarki i przedsiębiorców, zainteresowanych stworzeniem *joint-ventures*. 350 takich spółek zostało już zarejestrowanych. Haussmann spotkał się z ministrem finansów RP, L. Balcerowiczem, który wyraził życzenie, aby Zachód udzielił Polsce dalszych ulg dotyczących zadłużenia. Haussmann w superlatywach opowiadał o planie Balcerowicza, stwierdzając, że Polska znajduje się najdalej ze wszystkich państw byłego bloku wschodniego na drodze do gospodarki wolnorynkowej. ■ W Lipsku odbyły się (12-19.3.br) tradycyjne, wiosenne międzynarodowe targi. Tym razem były one okazją do szeregu rozmów między firmami z NRD i RFN. Koncern „Opel” będzie współpracował z fabryką produkującą obecnie „Wartburgi”, natomiast „Volkswagen” i „Daimler-Benz” stały się współdziaławcami ernerdowskiej fabryki ciężarówek „Ifa”. ■ W budynku bońskiego MSZ-tu doszło do pierwszego spotkania przedstawicieli czterech wielkich mocarstw i obu państw niemieckich. Rozmowy, które prowadzili wysocy urzędnicy poszczególnych ministerstw spraw zagranicznych (14.03.br.) dotyczyły kwestii zjednoczenia Niemiec. Zgodzono się co do udziału przedstawicieli Polski w tej części przyszłych rozmów, która dotyczyć będzie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Rozbieżności wzbudzała kwestia przynależności zjednoczonych Niemiec do paktów wojskowych. Moskwa obstaje przy idei neutralności wojskowej całych Niemiec. ■ Jak poinformowało bońskie ministerstwo do spraw kontaktów niemieckoniemieckich, na kampanię wyborczą w NRD Republika Federalna wydała 7,5 mln marek. Najwięcej, 4,5 mln, otrzymały partie konserwatywne, zrzeszone w „Unii na rzecz Niemiec”. Podczas dwóch tygodni marca w NRD odbyło się około 600 demonstracji i wieców wyborczych z udziałem 1 mln 200 tys. osób. Nie zabrakło gości z RFN, w tym kanclerza Kohla, ministra spraw zagranicznych Genschera czy honorowego szefa SPD, Willy Brandta. Widoczne były nierzadko oznaki agresji, mowy przerywano gwizdami, a w Kohla rzucono nawet jajami. Zrywano plakaty wyborcze, tłuczono szyby w

lokalach partyjnych, przecinano opony w samochodach czołowych polityków NRD. ■ Znacznie wzrosła liczba przybywających do Berlina Zachodniego polskich handlarzy (85 tys. tygodniowo, w soboty i niedziele od 20 do 30 tys. osób). Każdego dnia zachodnioblerlińska policja rekruruje od 30 do 100 kilogramów żywności, alkohol i papierosy. W okolicach „polskiego rynku” kwitnie prostytucja, polscy handlarze nocują w bramach, wszczynają awantury i bójki. Zachodniemiecka prasa pisze o żywych psach i kotach przywożonych z Polski w celach handlowych, które wrzucane są na widok policji do kontenerów na śmieci. Polak potrafi również kombinować na stacjach metra: tylko w ciągu pierwszego tygodnia marca w automatach biletowych znaleziono 14 tysięcy monet dwudziestozłotowych. Po wrzuceniu dwóch odpowiednio spreparowanych dwudziestozłotówek automat wydawał 80 fenigów reszty. Automaty już przerobiono. ■ Firma BASF, jedno z największych zachodniemieckich przedsiębiorstw przemysłu chemicznego, otworzyła swoje przedstawicielstwo w Polsce. Produkuje ona słynne taśmy filmowe i magnetofonowe, jak również wszelakie tworzywa sztuczne, nawozy i środki ochrony roślin. ■ W Polsce rozpoczęła działalność zachodniemiecka fundacja „Krzyża Maltańskiego”. W planach pomoc dla rolników indywidualnych w regionie koszalińskim, na który to cel fundacja zamierza przeznaczyć 5 mln marek. ■ W Warszawie podpisany został (16.3.br.) protokół o współpracy kulturalnej między Polską a RFN. Obowiązująca od 1976 roku umowa o współpracy w dziedzinie kultury jest niewystarczająca. Wspólne oświadczenie podpisane w listopadzie przez kanclerza Kohla i premiera Mazowieckiego „otworzyło nowe możliwości zacieśnienia współpracy kulturalnej i naukowej” — poinformowało Polskie Radio, nie wyjaśniając na czym polegać będzie obecna współpraca. ■ Przez kilka dni gościła w Poznaniu delegacja przedstawicieli ministerstwa oświaty rządu krajowego Dolnej Saksonii. Goście prowadzili rozmowy na temat wyposażenia warsztatów szkolnych w poznańskich szkołach zawodowych. ■ Również w Polsce widać wyraźne zainteresowanie marką wschodniemiecką. Pojawiła się ona w wielu zrosła kantorach wymiany, a jej cena wz 800 do 1200 złotych, czyli dwukrotnie w stosunku do oficjalnego kursu. Nietrudno się domyślić, że ludzie kupujący markę NRD liczą na późniejszą możliwość jej wymiany na markę zachodniemiecką i to po kursie jeden do jednego. Niepewna to jednak lokata, bowiem rząd federalny w Bonn nie zdecydował się jeszcze co do przelicznika. Jednak polskie „koniki” robią już interesy na przejściach granicznych w Berlinie, oferując do sprzedaży marki NRD. Chętnych nie brakuje. ■ Zachodniemieckie koncerty turystyczne zainteresowane są budową sieci hoteli wzdłuż polskiego wybrzeża w odległości od 30 do 40 kilometrów. Budowa hoteli miałaby być połączona ze stworzeniem kompletnej infrastruktury — drogi, oczyszczalnie ścieków, itp. Problem w tym, że strona zachodnia chciałaby wydzierżawić teren na 50 lat, natomiast polskie prawodawstwo umożliwia tylko 10-letnie

dzierżawy. Hoteli nie będzie, a Bałtyk przestanie wkrótce kogokolwiek interesować. ■ 93% spośród 12 milionów uprawnionych do głosowania obywateli NRD wzięło udział w dniu 18 marca br. w pierwszych w historii tego kraju wolnych wyborach do Izby Ludowej. Kandydowały 24 partie i ugrupowania polityczne. Wynik wyborów był zaskoczeniem, gdyż poprzedzające je sondaże przewidywały zwycięstwo socjaldemokratów. Tymczasem wygrała CDU (blisko 41% głosów). ■ Kanclerz H. Kohl oceniając wybory w NRD mówił o szczęśliwej godzinie i historycznym wyniku. Jego zdaniem mieszkańcy NRD opowiedzieli się przeciwko wszelkim formom ekstremizmu i pokazali dobitnie, że droga ku wolności nie może być drogą realnego socjalizmu. Natomiast przewodniczący zachodnioniemieckiej SPD, Hans-Jochen Vogel, przyznał, że jest zaskoczony porażką Ost-SPD, której nie przewidział. Jego zdaniem Kohl podczas kampanii wyborczej stworzył wrażenie, że pomoc materialna ze strony RFN będzie możliwa tylko w wypadku zwycięstwa partii konserwatywnych. Jak zauważył jeden z działaczy „Nowego Forum” „o wynikach wyborów zdecydowały nie argumenty polityczne, tylko banany i coca-cola”. ■ Z przeprowadzonej na zlecenie drugiego programu zachodnioniemieckiej telewizji ZDF ankiety wynika, że 82% obywateli RFN i aż 91% obywateli NRD opowiada się za zjednoczeniem Niemiec. Tylko 15% mieszkańców RFN, ale aż 36% mieszkańców NRD jest zdania, że zjednoczenie powinno nastąpić szybko. 77% badanych obywateli RFN opowiada się za trwałym charakterem granicy na Odrze i Nysie, a tylko 14% uważa, że granica ta wciąż nie ma ostatecznego charakteru. Jeszcze w sierpniu '89 tylko 50% ankietowanych opowiadało się za trwałością granicy na Odrze i Nysie. ■ Władze RFN zdecydowały, że z dniem 1 lipca br. zamknięte zostaną wszystkie tzw. „przejściowe” obozy dla przesiedleńców z NRD. Obywatele NRD pragnący osiedlić się na terenie RFN będą musieli sami znaleźć sobie mieszkanie i pracę. Ci, którzy z własnej woli porzucą miejsce pracy w NRD, nie będą otrzymywali od Bonn pomocy finansowej, przyznawanej dotychczas przesiedleńcom na okres przejściowy. Gabinet Kohla podjął z oporami powyższą decyzję, a zawdzięczać należy ją przede wszystkim socjaldemokratycznemu kandydatowi na nowego kanclerza, Oscarowi Lafontaine, który od dawna lansuje pogląd, że trudno opłacać z państwowej kasy zwykle przeprowadzki z Lipska do Hamburga. ■ Rząd w Bonn zmienił także zasady przyjmowania tzw. *Aussiedler* — wypędzonych, czyli osób legitymujących się pochodzeniem niemieckim, a przyjeżdżających nadal masowo do RFN przede wszystkim z Polski, Rumunii i Związku Sowieckiego. Obywatele polscy stanowili w ubiegłym roku aż 70% ogólnej liczby 380 tysięcy „wysiedlonych”. Do RFN przybywali zazwyczaj z polskimi paszportami turystycznymi, starając się dopiero na miejscu o uznanie niemieckiego pochodzenia. Teraz wszyscy będą musieli składać niezbędne dokumenty w ambasadzie RFN w Warszawie i dopiero po uznaniu ich za Niemców nabędą prawo do osiedlenia

się w Republice Federalnej. ■ Wysoki urzędnik Federalnego Urzędu do Spraw Uznawania Uchodźców Politycznych w Zirndorfie koło Norymbergii (Bawaria) poinformował, że władze RFN noszą się z zamiarem odbierania prawa do azylu politycznego tym obywatelom krajów Europy Wschodniej, którym przyznano azyl, zanim nastąpiły tam demokratyczne przemiany. Urząd w Zirndorfie rozpoczął już postępowanie wobec osób, którym udowodniono, że odwiedzają swe kraje rodzinne. Trudno rozumieć to postępowanie władz federalnych inaczej, niż w kontekście zbliżających się wyborów do Bundestagu. Na ponad 5 mln obcokrajowców żyjących w RFN tylko 60 tysięcy posiada azyl. ■ W poznańskim hotelu „Polonez” (w którym kilka dni wcześniej odkryto aparaturę podsłuchową SB) obradowało 4-te Forum Polska — RFN. Wśród gości przybyłych z Republiki Federalnej dominowali politycy drugiego rzędu. Najwyższy rangą był sekretarz stanu z bońskiego MSZ-tu. Polskę reprezentowało kilku ministrów oraz szefowie komisji spraw zagranicznych obu izb parlamentu. Dyskutowano o potrzebie zbliżenia i współpracy, nie wychodząc — niestety — poza luźne rozważania. ■ Wschodniobierlińska siedziba byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa zawiera akta 6 milionów obywateli NRD (liczącej obecnie 16 mln mieszkańców). Oficjalnych ubeków było 170 tys., tajnych współpracowników pół miliona. Przez Niemcy wschodnie przetoczyła się fala masowych demonstracji, zorganizowanych przez „Związek '90”, których uczestnicy domagali się szczegółowego zbadania przeszłości wszystkich posłów.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

DRUKARNIA POLSKA

KONTRAST

Breitensteinstrasse 33
D - 8209 Schönbühl-Rosenheim
w 08931 / 7777

wykonuje:

kaligki, broszury, czasopisma, katalogi
prospekty, odezwy, ulotki, blankiety
karty święteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne prywatne, społeczne,
naukowe i przemysłowe druki

Skład elektroniczny we wszystkich
językach europejskich
głównie w polskim i rosyjskim
Słone wykonane — ceny umiarkowane!
Dla P.T. Autorów aktualny naziemnie
długoterminowy kredyt.

O czytaniu listów

Prasa doniosła, że odtąd w Polsce czytanie cudzych listów i podsłuchiwanie rozmów przestanie być w zasadzie opłacane z budżetu państwa. Nie jest całkiem jasne, co teraz będzie robić rzesza funkcjonariuszy, którzy dotąd się tym trudzili, a też jakie kwalifikacje zdobyli podczas tych lektur. W pierwszej chwili przychodzi na myśl, że mieli okazję czytać listy Witolda Gombrowicza do Jana Józefa Lipskiego, Jerzego Stempowskiego do Jerzego Timoszewicza, Leszka Kołakowskiego do Ireny Krońskiej. Znikoma jednak wydaje się liczba listów Jerzego Stempowskiego w zestawieniu z liczbą osób zmuszonych czytać na służbie. Można też sobie wyobrazić, że okoliczności służby nie zawsze ułatwiały docenianie wagi tego, co mieli w rękach. Pewnego zimowego dnia roku 1972, nie wiedząc dlaczego to robię, ni stąd, ni zowąd odłączyłem stronę tytułową od mojej kopii *Obecności mitu*, którą to książkę cztery lata wcześniej z dwójką przyjaciół przepisałem na maszynie w pięciu egzemplarzach. Parę dni później jeden z panów dokonujących u mnie rewizji (p. wiceprokurator Wiesław Krassowski, który potem — na moje życzenie — zawiadomił mnie, że rzecz odbyła się zgodnie z prawem, nazwał to przeszukaniem) przez kilka minut czytał ów pozbawiony tytułu tekst, po czym odłożył maszynopis Kołakowskiego jako nie podlegający zakwestionowaniu. Był, być może, lekko oszołomiony różnorodnością lektur tego poranka, gdyż uprzednio przekartkował uważnie tom studiów Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk *Z dziejów tkactwa sukienego na ziemiach Polski południowej w drugiej ćwiertci XIX stulecia*, mówiąc: to trwa tak długo, bo ma pan wydawnictwa, z którymi dotąd się nie zetknęliśmy.

Przygotowany do druku przez Martę Zielińską wybór *Korespondencji Filomatów (1817-1823)* PIW, W-wa 1989 daje dobre wyobrażenie, czym może być codzienna korespondencja

nawet osób tak nieprzeciętnych, jak Mickiewicz i jego przyjaciele. Młodzi ludzie zapewniają siebie nawzajem o swojej przyjaźni, opowiadają o rozmowach i rozrywkach, czasem dość błahych, wreszcie proszą o pomoc w drobnych niedolach: „Juraś do zupełnego zdrowia przyszedł, lecz podczas jego choroby przypadek zdarzył mu się: pożyczył gramatyki francuskiej Szumskiego u profesora, którą w chorobie jego szczury zjadły; przysłał więc biedny do mnie półrublówkę, prosząc abym odkupił. Ja postanowiłem drugą, swoją przyłożyć, lecz ani u Zawadzkiego, ani u Pijarów nie dostałem; może ty tam wiesz u kogo, to bądź łaskaw przyslij” — pisał 3 maja 1820 Aleksander Mickiewicz do swego brata Adama. Pierwsze kilkadziesiąt stron tej książki czytałem raczej z pilności. Około 16 grudnia 1820 Mickiewicz przesyła z Kowna do Wilna rękopis *Ody do młodości*. List Franciszka Malewskiego do Mickiewicza z 20 grudnia w pełni wynagradza wytrwałość. Malewski natychmiast rozpoznał doniosłość utworu, zażądał jednak stanowczo („tak słabe, tak niegodziwe”) paru poprawek stylistycznych, które poeta uwzględnił. Tego samego dnia pisze też do Mickiewicza Czeczot. Opowiada, jak spotkał na ulicy Zana, od którego dowiedział się, że Adam przysłał Malewskiemu listy i wiersz. Zan przyznaje, że wiersza nie rozumiał. Czeczot śpieszy się, bo wyszedł z biura Masy Radziwiłłowskiej na wykład. Idzie jednak do Malewskiego. Zaczyna czytać wiersz i nie rozumie: „wszystko wyprężone, wyszukane”. Odkłada wiersz, przerzuca listy, biegnie na wykład, spóźnia się. Myśli o wierszu. Wieczorem wraca do Malewskiego, czyta wiersz, myśli: „Co ten Adam tak się sadzi, tak zdobywa na szczególniejsze myśli i wyrazy?” Skończył czytać. Malewski śmieje się z niego. Krzyczy: „Z was żaden nie rozumie”. Malewski zaczyna czytać na głos. Czeczot słucha i przecież rozumie. Tylko „wody trupie” go rażą. Do końca wszystko rozumiał. Malewski pyta, czy naprawdę zrozumiał. Więc Czeczot tłumaczy znaczenie „i cała oda z końca w koniec jasną się stała”. Malewski nie może się nachwalić. Mówi: „Żaden tak Polak nie pisał”.

W czerwcu 1821 Malewski radzi Pietraszkiewiczowi, przebywającemu w Warszawie: „Co robimy, jak stoimy, tego w listach bezpiecznie pisać nie można, bo mówią, że listy na pocztach są otwierane; po cóż więc cudzą ciekawość drażnić...”. Nieco wcześniej ostrzegął Pietraszkiewicza Czeczot: „Pisz ale ostrożnie, bo słychać, iż teraz listy na pocztach rozpiecztowują. Pisz do Adama do Aleksoty; może jeszcze tej psoty, żeby listy czytali, nie robią...”. Aleksota była to ostatnia stacja pocztowa w Królestwie, przez most na Niemnie przechodziło się do Kowna w guberni wileńskiej. Czeczot miał nadzieję, że wystarczy odbyć spacer na pocztę po drugiej stronie rzeki, by uniknąć

wścibstwa lokalnej władzy. Zapewne było to złudzenie. W Królestwie pod rządami Konstantego, Zajączka, Roźnieckiego system policjiny był daleko bardziej rozwinięty. Jednak korespondencja filomatów szczęśliwie nie zwróciła przedwcześnie uwagi władz. Może uchronił ich skromny status społeczny. Pisząc *Odę* Mickiewicz zapewnił sobie już na zawsze miejsce w lekturach szkolnych. Tymczasem dwa tygodnie później będzie odrzucona jego rozprawa magisterska: „najwięcej dlatego, że były pomyłki ortograficzne”. Ma 22 lata, męczą go zajęcia nauczycielskie w Kownie, zalega u przyjaciół z drobnymi długami, z których nie jest w stanie się uiszczyć. „...mam mocne postanowienie rzucić plac nauczycielski, jeśli lepszego nie znajdę, i przypiąć się gdziekolwiek. Ty upatruj, czyby co się w Warszawie nie udało” — prosi Pietraszkiewicza w lutym 1821. Pietraszkiewicz milczy na temat możliwości w Warszawie, powziął wiadomość, „że na literaturę do Płocka jest wakans, że więcej niż w Kownie zapłaca... Należałoby wystąpić na świat z autorstwem, bez tego tu nic; źle czy dobrze, ale piszą, często ich zarozumiałość zawodzi i gardzą nawet tym jako ograniczonym, który się z niczym na scenie autorstwa nie ukazał — powtarzam raz jeszcze, autorstwo dalsze otwiera widoki. *Demostenes* niechby już mówił za tobą”. *Demostenes* to była tragedia, nad którą Mickiewicz pracował przez kilka lat i nigdy jej nie skończył, a rękopis się zawieruszył. Tłumaczył swoje niepowodzenie: „Moje wiersze dotychczasowe jeśli miały jakąś zaletę, winny ją były po większej części językowi..., nad którym wiele pracowałem i w którym cokolwiek nabrałem wprawy. Tragedia nie dopuszcza tych ozdób...”

Autor *Ballad* i *Ody* jeszcze przed wydaniem pierwszego tomu był traktowany przez otoczenie jako człowiek używający pióra. „Jeszcze jeden tobie na głowę ambaras — obarczył misją Pietraszkiewicza. — Kowalski założył tu siarczane nakadzanie i prosił mnie o posłanie do *Gazety Warszawskiej* wiadomości; muszę to zrobić, gdyż wie, że do Warszawy czasem pisuję. Umieść więc w *Gazecie Warszawskiej* (nie w *Korespondencji*) te kilkanaście wierszy, które załączam”. Poloniści, zdaje się, zaniebdali odnaleźć w *Gazecie* ów anon, który poeta być może nie tylko włożył do koperty, ale i przez grzesność czuł się zmuszonym napisać lub zredagować. Analiza stylistyczna tekstu mogłaby stanowić piękne zadanie dla młodego badacza.

Puszkin, o rok młodszy od Mickiewicza, wcześniej zaczął i więcej pisał. Zwróciwszy na siebie uwagę, szybciej popadł w tarapaty. Został zesłany „za jedną linijkę głupiego listu”. „Dokładnej daty ani adresata listu nie znamy — opowiada Wiktor Woroszyński — zachował się bowiem tylko fragment włączony do policyjnych raportów. Gorliwości policji, która czytała

korespondencję poety i przepisywała interesujące dla siebie urywki, zawdzięczamy jednak w ogóle informację o całej sprawie, nie narzekajmy więc na jej niekompletność". Filolog nie byłby skłonny podzielać wyrozumiałości polskiego biografa; trudno też z całą pewnością przypisać zniszczenie lub zagubienie całego listu adresatowi, mając w pamięci nieco późniejszą uwagę dra Marxa, że poczta pruska rozumie tajemnicę pocztową jako zatajenie przesyłki przed adresatem. Administracja carska, nie uznając praw obywateli, z powagą i pieczołowitością traktowała własne archiwa. Mógł z nich korzystać w początkach naszego stulecia historyk Michał Lemke, którego książki *Oczerki pò istorii ruskój cenzury*, S-Pietierburg 1904, oraz *Nikołajewskieje žandarmy i literatura 1826-1856*, cytowane we wszystkich poważnych pracach na tematy rosyjskie od Kucharzewskiego do Wiktorii Sliwowskiej, warto by może wreszcie przełożyć i wydać. W latach 60-tych redakcja *Pamiętnika Teatralnego* ogłosiła druczek bibliofilski prezentujący akta warszawskiej cenzury teatralnej drugiej połowy zeszłego stulecia. Ślad tej lektury można znaleźć w wierszu Ryszarda Krynickiego *Zewnętrzna, wewnętrzna*:

*Zewnętrzna: w komedii „Stary mąż”
słowo „stary” zastąpić słowem „młody”*

.....
we „Śnie nocy letniej” skreślić wyrażenie

„ściany mają uszy”,

zabronić wystawienia „Syna Judy” według powieści

„Eli Makower”

ponieważ kwestię stosunków polsko-żydowskich

rozstrzyga w duchu większej solidarności Żydów z Polakami,

co jest szkodliwe dla sprawy rosyjskiej w naszym kraju;

.....
zewnętrzna: w ciągu stuletniej działalności

zebrała olbrzymią ilość akt, okólników, skonfiskowanych

rękopisów i druków. Można by ją traktować

jako oficjalną historię literatury.

Wiersz ten nosi datę 1967/68. W roku 1961 został aresztowany w Warszawie pisarz Jerzy Kornacki. Podczas rewizji zabrano mu 14 tomów dzienników, prowadzonych w latach 1943-61. Następnie minister kultury zaprosił kilku pisarzy do swego gabinetu, gdzie prokurator generalny próbował im odczytywać fragmenty dzienników, zawierające niezyczwliwe uwagi zarówno na temat zaproszonych osób, jak i kierownictwa PRL. Goście ministra odmówili potępienia kolegi, jakkolwiek skonsternowani sytuacją wystąpili może nie dość energicznie w jego obronie. Jerzego Kornackiego po jakimś czasie zwolniono,

zatrzymując dzienniki. Starania o ich zwrot przez kilkanaście lat nie przynosiły rezultatów. Wreszcie 19 sierpnia 1975 pisarz otrzymał list, w którym mgr Jerzy Dźbik, wiceprokurator rejonowy delegowany do Prokuratury Wojewódzkiej w W-wie, „uprzejmie informował, iż w związku z upływem terminu przechowywania akt w Prokuraturze akta w sprawie II 6 Ds 91/61 wraz z dokumentami, o wydanie których Obywatel wnosi, zostały zniszczone w dniu 16 lipca 1974 r.”. List prokuratora wywołał żywą reakcję Polskiego PEN-Clubu. Wtedy SB szybko zagarnęła dokumentację całej sprawy podczas kolejnej rewizji u Jana Józefa Lipskiego, będącego członkiem powołanej przez PEN-Club komisji. W czasie poprzednich rewizji zabrano Lipskiemu, wśród innych papierów, listy Witolda Gombrowicza i Jerzego Stempowskiego, których nie odzyskał do dziś (koniec stycznia 1990). W grudniu 1976 zarząd PEN wystosował stanowczy list do prokuratora generalnego, domagający się między innymi dokładnego przeszukania archiwów i sprawdzenia, czy bodaj część materiałów nie ocalała, podpisany przez sekretarza generalnego Władysława Bartoszewskiego i prezesa Jana Parandowskiego. Ówczesny prokurator generalny, generał Lucjan Czubiński, odpowiedział na ten list 27 maja 1977. Analiza pisma Czubińskiego dokonana przez Jana Józefa Lipskiego, który całą tę historię opisał przed dwunastu laty (*Zapis* nr 5, 1978) każe je uznać za wykrętne i kłamliwe. Już wkrótce potem, w roku 1980, okazało się, że prezes Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu nazwiskiem Lech Domeracki nakazał zniszczenie akt procesów poznańskich roku 1956. Nie bez powodu mógł więc zostać ministrem sprawiedliwości stanu wojennego. Funkcjonariusze lokalnych komitetów partii komunistycznej w Polsce, niszczący dzisiaj pieczołowicie dokumentację, mieli zatem poprzedników. Gorzej, że czyniący to samo funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa mogą zniszczyć nie tylko ślady własnej działalności, ale przy okazji zabierane nam nasze listy i papiery.

Aleksander Herzen także pisywał listy, które czytano. W roku 1840, będąc w Petersburgu po powrocie z paroletniego zesłania do Wiatki, opisał w liście wysłanym do Moskwy powszechnie znaną w stolicy historię policjanta, który po przykładowej służbie w ciągu dnia, wieczorami zaczynał się na przechodniów i mordował ich w celach rabunkowych. Wkrótce został wezwany do szefa sztabu żandarmów, gdzie zakomunikowano mu, że Cesarz zna już treść listu i polecił zesałać autora na powrót do Wiatki. Herzen przyznał, że rzeczywiście coś takiego napisał do własnego ojca, ale to przecież powszechnie znana historia, którą pan niewątpliwie słyszał jeszcze przede mną, a może nawet opowiadał o niej tak samo, jak i ja. — Tak jest, słyszałem i mówiłem o tym — odparł generał Dubelt — pod

tym względem jesteśmy sobie równi; lecz oto gdzie zaczyna się różnica: powtarzając przysięgałem, że takiego wypadku nigdy nie było... u nas rządzą są ojcowskie, wszystko robi się możliwie najdyskretniej... Czynimy największe wysiłki, by wszystko działało się możliwie najciszej, najgładziej..."

Ilekróć moje lektury dotyczą okresów rządów ojcowskich, korespondencja filomatów powstała w takim czasie, odczuwam usilną potrzebę, by dla pełnego zrozumienia posłużyć się pomocą taką, jaką dla okresu 1944-1988 jest książka Jakuba Karpińskiego *Portrety lat*. Od takiej historii z kalendarzem notującej zmiany w miesiąca na miesiąc trzeba zaczynać, by się nie zgubić w potoku wydarzeń, by zrozumieć, dlaczego przynależność do loży, ułatwiająca karierę w r. 1821, mogła mieć przykre konsekwencje w r. 1823, a to co *Trybuna Ludu* określała w r. 1957 jako „cyniczne wybryki dziennikarskie”, później miało uchodzić za ozdobę tej gazety. Metody historyków wypracowane pod rządami prawa mogą okazać się przydatne dopiero w dalszej kolejności.

Szef żandarmów i Cesarz wiedzieli, co Herzen pisał w swym liście o sprawach publicznych, nie wiedzieli jednak, że ma żonę i dziecko. Dowodzi to jednak pewnej powściągliwości przy czytaniu cudzych listów, resztek poszanowania dla spraw ściśle prywatnych.

Filomaci w swej przyjaźni przejmowali się także życiem uczuciowym poety i udzielali sobie nawzajem wiadomości w tej kwestii, w intencji czuwania nad nim. Przed paru laty zacząłem z zachwytem czytać *Zmut* Jarosława Marka Rymkiewicza. Wkrótce jednak zadziwiły mnie żarty autora z XIX-wiecznych badaczy literatury za ich powściągliwość w dociekaniu faktów z prywatnego życia Mickiewicza. W tym samym mniej więcej czasie trafiłem na zdumiewające oświadczenie Andrzeja Walickiego w książce *Spotkania z Miłoszem*, że skoro umarła pani Irena Krońska, to już może napisać, co naprawdę sądzi o jej mężu. Idea, że wobec zmarłych nie obowiązują nas już względy przyzwoitości, jakie byliśmy gotowi świadczyć im za życia jest — jak się wydaje — dosyć świeżej daty. Ostatecznie zniechęciły mnie do *Zmutu* rozważania na temat listu Marii Puttkamerowej do Tomasza Zana z 9/21 maja 1823. Będąc w kwietniu tegoż roku w Wilnie, Maryla otrzymała od Mickiewicza — jak się sądzi — II tom *Poezji* z dedykacją. Nie znamy jednak autografu tej sześciowersowej dedykacji:

*Maryjo, siostró moja! Nie krewnym łańcuchem,
Aleśmy pobratani umysłem i duchem;
Gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania
Równie święte a miłsze powtarzać nazwania:*

*Choć innym spojrzysz okiem w przeminione lata,
I pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata...*

Parę tygodni później adresatka tej dedykacji pisze: „Upraszam Pana Tomasza abyś mi kupił egzemplarz Poezyów pana Mickiewicza, gdyż ja zgubiłam książeczkę, którą darował pani Jakubowskiej i obowiązałam się jej odkupić”. Teraz Rymkiewicz: „Jeśli M. zgubiła egzemplarz, który Mickiewicz dał pani Jakubowskiej, to znaczy, że go od niej pożyczała. A jeśli pożyczała, to znaczy, że nie miała swojego egzemplarza. W grę wchodzi tu jeszcze jedna możliwość: M. nie dostała książki od Mickiewicza, ale wstydziła się prosić Zana żeby ją dla niej kupił i dlatego wymyśliła tę historię o zgubionym egzemplarzu pani Jakubowskiej”. Rymkiewicz nie wpada na myśl, że Maryla egzemplarz z dedykacją (ogłoszoną drukiem dopiero po śmierci Mickiewicza i pani Puttkamerowej) uważała za swą intymną własność, wyjmowaną z sekretarzyka i odczytywaną w chwilach samotności. Równocześnie *Poezje* były książką, którą wtedy wszyscy w tym kręgu czyli i jej brak na stoliku czy na kominku w salonie Puttkamerów byłby może zbyt ostentacyjny. Ponieważ Zan mógł wiedzieć lub przypuszczać, że dostała tomik, czuła się skrępowana gdy wypadło jej objawić chęć posiadania drugiego egzemplarza. Stąd zmyślona historia.

Czytając zbiory listów nie do mnie pisanych — a od czasu lektury listów Słowackiego, Krasińskiego, Trentowskiego, Koźmianów jest to już prawdziwy nawyk — czynię to ze szczególnym nastawieniem umysłu, czując się trochę tak, jakbym skorzystał z zaproszenia przebywał czas dłuższy w gościnie u przyjaciół. Dbam usilnie, by nie wtargnąć do łazienki, gdy przebywają tam gospodarze, a gdybym usłyszał w tonie pana domu zwracającego się do żony jakąś nutę zniecierpliwienia, najpewniej zająłby mnie widok za oknem i nie usłyszałbym akurat tej rozmowy. Z zupełnie innym nastawieniem zwykłem czytać dokumenty partyjne lub powieści detektywistyczne.

Notując raczej domysły niż twierdzenia, J.M. Rymkiewicz gotów jest przyjąć, że poeta ofiarował jednak egzemplarz. Wiemy, że w tym czasie dostał od Maryli w darze klacz imieniem Beauty „i Mickiewicz zrewanżował się Marie, ofiarowując jej tę książkę. Albo było odwrotnie: podarował jej *Poezje*, a ona chcąc mu się odwdziżyć dała mu tę klacz. Tom wierszy za konia lub koń za tom wierszy. Czyli romans poety z hrabiną”. Tak więc bohaterowie *Dziadów* zostali tu przedstawieni jako postacie z Zapolskiej.

Czasem ja także staram się odczytać w listach coś więcej lub coś innego niż jest tam napisane. Gdy okazało się, że Aleksander Herzen ma żonę i dziecko, zamieniono mu łaskawie

Wiatkę na położony bliżej Niżny Nowogród (Gorki) jako miejsce zesłania. W ten sposób nie spotkał Henryka Kamińskiego, skazanego na Wiatkę. Kamiński napisał stamtąd 131 długich listów do siostry, ogłoszonych w r. 1968 w 14-tym tomie *Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej* (nakład 490 egz.). Listy Kamińskiego zdają się raczej przypominać relacje podróżników ze szczęśliwych krajów zachodnich, niż wspomnienia zesłańców syberyjskich. „Szosa jest wyborna z Moskwy aż do Niżnego Nowogrodu. Między zaś Moskwą a Włodzimierzem ludność wielka, mieszkańcy bogaci, chłopci miewają piętrowe domy, w wielu wsiach fabryki arcyporzadne płócienek, chustek, itp. Parę z nich przy drodze leżące obejrzałem na prędce, wsie uchodzić by mogły za porządne wcale miasteczka i to wszystkie bez wyjątku... W Niżnym Nowogrodzie zajazd jest ogromnie czysty, prowadzony tak dobrze jak hotele w Warszawie, z wyjątkiem usługi, nie ma np. dzwonek”. Tam też dowiedział się, że w samej Wiatce „hotelów jest cztery, najlepszy z nich przyjmuje *en pension* na sposób jak np. w Szwajcarii, z usługą i stołem... w tym samym domu, pod jednym dachem, jest 'Sobranie', po naszymu — resursa, są gazety, gdzie schodzą się dla czytania i towarzystwa... Pod względem taniości i wszystkich wygód życia powzięte informacje okazują się być najkorzystniejsze...”. Bywa też po drodze ugaszczany. „Dziwna rzecz, jak wszyscy Rosjanie, którzy u nas stali kiedykolwiek, choć najkrócej, są uprzedzający, grzeczni, przychylni, i zdają się widzieć z przyjemnością kogo stamtąd... Oficer ten jak wszyscy funkcjonariusze, z którymi tu się zetknąłem, jest człowiekiem niesłychanie uprzejmym... Gubernator przyjął mnie bardzo uprzejmie i zapraszał, żebym go odwiedzał, ale zawsze około dziewiątej rano. Zbyt wczesna to dla mnie pora przy moim lenistwie... Bałbym się również nadużywać zaproszenia, zjawiając się u Gubernatora zbyt często”.

W trzecim tygodniu pobytu w Wiatce Kamiński zwierza się z myśli o wynajęciu fortepianu. Fortepian stanie się głównym tematem korespondencji. Opowiada o wadach miejscowych fortepianów. Zastanawia się, czy może sprowadzić instrument z Petersburga. Dopytuje o ceny w Warszawie, ale tylko takich, które by miały więcej niż sześć oktaw. Nabiera przypuszczenia, że należałoby kupić używany i to w Moskwie a nie w Petersburgu. Stanowczo jednak prosi, by nie śpieszyć się z zakupem, jakby mu bardziej zależało na pielęgnowaniu zamiaru posiadania niż na samym posiadaniu. Składa wizyty w domach, gdzie jest fortepian na sprzedaż, co przypomina pomysł Antoniego Słonimskiego, który podczas swej podróży po Rosji w początku lat trzydziestych odwiedził kilka mieszkań prywatnych jako klient z ogłoszenia o sprzedaży płyt gramofonowych (bywały wtedy takie

ogłoszenia w prasie sowieckiej). Bierze też lekcje rosyjskiego, czyta w tym języku. „Czytam teraz dzieło Gogoła, którego przypominam sobie, że m widywał w Rzymie, lecz nie zawierając z nim bliższej znajomości. Pisarz humorystyczny. Opisuje z wielkim zamiłowaniem Ukrainę Zadnieprską, pisze powieści historyczne, kozackie, w których Polski wcale nie oszczędza. Talentu zaś ma wiele, szczególnie zaś żwawości opisu. Tylko co skończyłem czytać sztukę jego teatralną 'Rewizor'... Treść jej bardzo śmieszna”. Tu następuje obszernie streszczenie nie pomijające faktu, że Chlestakow opisał zdarzenia w liście do przyjaciela w Petersburgu, zaś ciekawy pocztmajster otworzył i przyniósł list otwarty do horodniczego. „Życzę Ci tę sztukę przeczytać, bo warto”. Wielokrotnie też przypomina siostrze, żeby nie korzystała czasem z jakichś okazji i całą korespondencję przesyłała wyłącznie przez biuro gubernatora wojskowego. Czasem zresztą pozwala sobie na drobne uwagi, w których wyraża może nie krytykę, ale pewne zdziwienie miejscowymi obyczajami. „Rano nieodzownie potrzeba być we fraku, wieczorem zaś, jeżeli kto gdzie się udaje, wyjąwszy wieczory wyraźnie proszone, jest śmiesznym, jeżeli nie przychodzi w surducie. Zupełnie na wspan jak na całym świecie”. Przyznaje też, że niektórzy jego tutejsi znajomi znajdują Wiatkę, „jak my byśmy znajdowali Krasnystaw, gdyby nam tam żyć przyszło, i dosyć żartują z tutejszych mieszkańców i sposobu ich obejścia się. Kazań (niektórzy bowiem nie znają Petersburga...) jest dla nich ulubionym miejscem, ogromnym miastem, żywołem, wśród którego radzi by żyć i umierać, nic więcej nie żądając”. Zaproszony na obiad do gubernatora, Kamiński usłyszał tam, że „w guberni Orenburskiej jest kopalnia soli, gdzie sól o 2 arszyny (56 cali) od ziemi ma się znajdować, a tak głęboko, tak czyste warstwy, że wyrachowano, iżby powinna starczyć do użytku całej kuli ziemskiej na 14.000 lat. Inny jakiś inżynier zarzucił lekkomyślność tej rachubie i dowodził, że dla całej kuli ziemskiej, przy spodziewanym wzroście ludności, nie mogła by ta kopalnia wystarczyć na dłużej, jak na 4.000 lat”.

Henryk Kamiński znalazł się w Wiatce, ponieważ kilkanaście miesięcy wcześniej przychwycono jego rządcę przewożącego kilkadziesiąt egzemplarzy *Prawd żywotnych narodu polskiego*, Bruksela 1844, autorstwa Filareta Prawdoskiego, a równocześnie wśród papierów innego spiskowca i emisariusza trafiono na karteczkę z adresem K. W chwili najścia żandarmów na dom Kamiński zdołał spalić w kominku — było to w listopadzie 1845 — *Teorię władzy w powstaniu*, fragment drugiej części *Prawd żywotnych*, który miał zamiar ukończyć tego wieczoru. Podczas rewizji niczego nie znaleziono, nikt nie złożył obciążających go zeznań. On sam w ciągu śledztwa podczas rocznego

pobytu w warszawskiej Cytadeli do niczego się nie przyznał. Było to już po tym, gdy „panią radczynię stanu Salomeę Bécu zapytywano, czy znane są jej wiersze Juliusza Słowackiego, który jest jej synem, na co pani radczyni stanu Salomea Bécu odpowiedziała, że nie zna żadnych wierszy Juliusza Słowackiego, który jest jej synem”. Władze były przekonane, że K. jest autorem *Prawd żywotnych* i *Katechizmu demokratycznego*. Nie zdołano jednak tego udowodnić. Zesłanie było w związku z tym „postanowieniem administracyjnym”, a nie decyzją sądu wojennego. Pierwotne postanowienie mówiło o trzech latach, niebawem Paskiewicz jednak postanowił, że pobyt na zesłaniu „będzie nieodwołalny i dożywotni”. Po upływie trzech lat podjęto zabiegi o uwolnienie zesłańca. Brała w nich udział siostra Kamińskiego i Zygmunt Krasieński, który przedtem odpowiedział na *Prawdy żywotne* utworem tak gwałtownym jak *Psalm miłości*:

*Jakież straszne ich postaci,
Tych kuszących bezbożników!
Tysiącami wściekłych ryków
Proszą ciebie o mord braci.*

Zbigniew Sudolski ogłosił na ten temat ciekawy artykuł w *Pamiętniku Literackim*, 1976, z. 3 — „Hrabia Henryk polemistą i obrońcą Pankracego”. Uczestniczyła w tej intrydze także pani Kalergis i nawet córka Paskiewiczza, która namówiona przez przyjaciółki poprosiła ojca, by z okazji jej ślubu zmienił swe postanowienie. Gotów jestem przypuszczać, że nie wyrażając swych życzeń odegrali jednak jakąś rolę w tej sprawie również anonimowi lektorzy listów Kamińskiego, mocno już znudzeni po trzech latach bezowocnej lektury. W roku akademickim 1974/75 słuchałem w Paryżu wykładów Andrieja Siniawskiego o Bablu. Wykłady odbywały się w Grand Palais, w skrzydle gmachu od strony mostu Aleksandra II w średnich rozmiarów sali, wypełnionej, lecz nie do ostatniego miejsca. Po kilkunastu tygodniach umiałem już rozpoznawać słuchaczy tak odmiennych w typie od barwnego tłumu, który kłębił się w tym czasie na wykładach Lévi-Straussa, a nieco później Foucaulta i Rolanda Barthesa. Którejś środy przyszedłem na wykład w ostatniej chwili przed rozpoczęciem, zbyt późno, by moim zwyczajem móc zająć miejsce w drugim rzędzie. Siedząc z tyłu, nie mogłem nie dostrzec pleców dwóch mężczyzn na delegacji, którzy pojawili się w tej sali po raz pierwszy. Młodszy z ich nie zwróciłby swym wyglądem w Paryżu uwagi. Starszy był ubrany na zachodzie przed godziną. Średniej elegancji marynarka nie przywykła jeszcze do barczystych pleców właściciela. Kołnierzyk koszuli

non-iron nie stracił jeszcze w pierwszym praniu swej sztywności i opierał się brzegiem o kołnierz marynarki, nie mogąc się za nim w części skryć. Profesor czytał jakieś zdanie Bąbla, a potem dokonywał analizy stylistycznej tego zdania, opowiadając o tradycjach narracyjnych XIX-wiecznej prozy rosyjskiej. Była to próba najbardziej pasjonującej filologii, jaką można sobie wyobrazić, ale w ciągu pierwszych trzech kwadransów władza sowiecka nie została zaszczycona żadną nieprzychylną wzmianką i nic nie wskazywało na to, że zostanie podczas tego wykładu w ogóle wspomniana. Wiercący się pracownicy zaczęli się bacznie przyglądać słuchaczom. Najpierw obracając się na boki, a potem do tyłu, pokazując swe plecy wykładowcy. Starszy, by nie tracić czasu na delegację, energicznie żuł gumę. Wreszcie, obejrzawszy nas wszystkich, odwrócili na powrót swe głowy ku katedrze, rozpakowując, nie bez szelestu, jeszcze jedną paczuszkę gumy. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że plecy ludzkie mogą wyrażać bezbrzeżną nudę i niezadowolenie. Niezadowolenie człowieka, który idąc przez cudowny las czuje się nieszczęśliwy, bo ma strzelbę, a nie ma stworzenia, do którego mógłby strzelić.

Namiestnik Paskiewicz uznał za możliwe ulec prośbie córki i już w połowie czwartego roku Kamiński opuścił Wiatkę. Przy najbliższej okazji przeniósł się do Szwajcarii. Ogłosił potem w Paryżu ważne dzieło, *Rosja i Europa. Polska. Wstęp do badań nad Rosją i Moskalami*. Nie śmiałbym polecać tej w najwyższym stopniu godnej uwagi utopii historiozoficznej jako powszechnej lektury. Porządne i życzliwe przedstawienie myśli Kamińskiego zajęło Wojciechowi Karpińskiemu w książce *Chusteczka imperatora* 30 stron druku. Nie potrafiłbym tego zrobić krócej. Kamiński napisał też na zachodzie swoje wspomnienia i to w dwu wersjach. Pierwsza, obszerniejsza, przynosząca pełną dokumentację działalności autora, miała być udostępniona dopiero po roku 1885, a ukazała się drukiem w r. 1951 jako *Pamiętniki i wizerunki*. Druga, napisana po kilkunastu latach po francusku i ogłoszona w odcinkach w dzienniku *Le Temps*, jest bardziej literacka. *Wspomnienia więźnia* ukazały się po polsku w r. 1977. Zaslugują na zestawienie z listami. „Jesteśmy już w kraju zupełnie rosyjskim. Człowieka podróżującego, tak jak mnie to przy padło w udziale, zaskakuje przede wszystkim ogólny dobrobyt, brud u ludzi z gminu, dziwaczność ekwipaży, a często i podróżnych. Następnie uderzają obyczaje tego kraju: arogancja jednych i prawie bezgraniczna pokora drugich”. Tak więc Kamiński widział i myślał naprawdę do wszystkiego, o czym pisał w swych listach, jakkolwiek roztropnie nie zapisywał wszystkiego, co myślał.

Świadomość, że ktoś obcy czyta nasze listy lub słucha naszych rozmów, może nas czasem skłonić do żartu. W roku

1967 mój nauczyciel był gotów skłaniać się ku przypuszczeniu, że od czasu gdy piętro niżej wprowadził się nowy sąsiad, to jest już nie tylko w telefonie, ale i w ścianie lub w rurze. Wtedy właśnie w Ośrodku Kultury NRD na Świętokrzyskiej, gdzie kupowałem płyty z kantatami Bacha, znalazłem płytę z nagraniem Tomaszem Mannem czytającym opowiadania *Katastrofa kolejowa* i *Tonio Kröger*. Ucieszyła mnie myśl, że skoro będę kiedyś miał mówić po niemiecku, mając do wyboru wiele wersji fonetycznych, będę mógł naśladować starego Tomasza Manna i sprawiłem sobie tę płytę. Wkrótce potem, odprowadzając profesora pó wykładzie, gdy przechodziliśmy przez Ogród Saski, opowiedziałem mu o moim pomysśle. Niebawem Leszek Kołakowski u siebie w domu zadał głośno i wyraźnie pytanie po niemiecku i trącając filiżanką o spodeczek uruchomił adapter. Starszy pan zaczął swoje niemieckie opowiadanie, zaczynające się od słów: „Zimowe słońce przeświecało skąpo mleczno matowym blaskiem spoza warstwic chmur...”. Gdy opowiadanie dobiegło końca, gospodarz znów brzęknął filiżanką i wygłosił pochwałę zasłyszanego tekstu. Następnie — jak sądzimy — ekipa specjalistów przystąpiła do dokonania nowego polskiego przekładu noweli Tomasza Manna *Tonio Kröger*. Autorem poprzedniego przekładu był Leopold Staff. Jeśli teraz, podczas niszczącego aktu, zostanie zniszczony ten przekład, zagładzie ulegnie najprawdopodobniej część dorobku literackiego Służby Bezpieczeństwa. Zostaną po niej tylko prace magisterskie („Ogółem w latach 1960-1981 w różnych ośrodkach naukowo-dydaktycznych zostało napisanych i obronionych 258 prac magisterskich i dyplomowych, w których przedstawiono problemy związane z kształtowaniem i rozwojem aparatu bezpieczeństwa...” — informuje Piotr Majer, współautor pracy zbiorowej *W obronie władzy ludowej* pod redakcją naukową Tadeusza Walichnowskiego, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa 1985), wspomnienia funkcjonariuszy — np. *By inni mogli żyć spokojnie. Z dziejów walk o utrwalenie władzy ludowej na Dolnym Śląsku*; red. M. Orzechowski, Wrocław 1967, i napisane na jej zamówienie powieści: *Śniegi płyną* Romana Bratnego, *Skąpani w ogniu* Wojciecha Żukrowskiego. To ostatnie dzieło było już kiedyś omawiane na tych łamach piórem Jerzego Stempowskiego.

Andrzej DOBOSZ

Martwica

Martwica, jak czytamy w encyklopedii, jest to „miejscowe obumarcie tkanek spowodowane niedokrwieniem, oparzeniem, odmrożeniem, działaniem jądów bakteryjnych”. Termin ten, jak się zdaje, może być przydatny również w próbie określenia tego, czym była (jest) w naszej literaturze cezura socrealizmu. I, by pozostać przy terminologii określającej zjawiska patologiczne, przydatne może się tu okazać także pojęcie afazji, o której w tejże encyklopedii czytamy, iż jest to „upośledzenie lub niemożność wyrażenia myśli słowami, mimo sprawności odpowiednich mięśni, lub niemożność zrozumienia mowy, niekiedy znalezienia odpowiedniego słowa”. Gdy się bowiem zastanowić, używane dotąd dla języka „literatury socjalistycznej” pojęcie nowomowy, przejęte z orwellowskiego „Roku 1984”, można — przy pewnej dozie interpretacyjnej swobody — pomieścić w polu znaczeniowym afatycznych zaburzeń. Oczywiście — przenoszenie terminologii medycznej w sferę literaturoznawstwa może być poczytane za nadużycie. W wypadku jednak socrealizmu jest, jak sądzę, uprawnione z wielu względów, z których najważniejszy jest fakt, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem w oczywisty sposób patologicznym, właśnie z martwicą tkanki literatury, spowodowaną działaniem jądów ideologicznych wyrażanych w dodatku językiem dotkniętym afazją. Mamy też do czynienia z „niedokrwieniem”, spowodowanym odcięciem od świata, zablokowaniem dopływów. Mamy wreszcie do czynienia z wielką ilością „oparzeń” i „odmrożeń”. Udowodnianie jadowitości ideologii komunistycznej w ogóle, zaś w jej wydaniu stalinowskim w szczególności, jest dziś zajęciem jałowym: koń — jaki jest — każdy widzi, zaś odwoływanie się do dziesiątków, jeśli nie setek prac temu zagadnieniu poświęconych byłoby przypomnianiem prawd dziś już oczywistych.

Przedstawienie afatycznych właściwości języka tej ideologii — jak chyba języka wszelkich ideologii totalitarnych — wymagałoby odrębnego studium analizującego szereg wypowiedzi w nim sformułowanych. Jedno wszakże można tu pobieżnie zauważyć — jest to język, w którym można godzinami mówić nic nie mówiąc, lub mówiąc „wszystko”. Wynika to z podstawowej jego właściwości, którą tak oto opisywał Aleksander Wat: „słowa (...) jak i każde inne słowo w ogóle, każdy znak, utraciły wszelki swój sens i wartość (...), każde słowo może wszystko oznaczać”. Przykłady tego zjawiska można znaleźć zresztą w wielu polskich opracowaniach tego zagadnienia: m.in. w doskonałym studium Jakuba Karpińskiego „Mówi Warszawa...” z tomu „Mowa do ludu”, w szkicu Anny Chmielewskiej „Kampania” opublikowanym na łamach *Zapisu* i kilku innych, wśród których na uwagę zasługuje „Język

propagandy” oraz „Nowomowa” Michała Głowińskiego. Pojęcie nowomowy jest tu zresztą wielokrotnie przywoływane i jeśli oponuję tutaj przeciw jego używaniu, to dlatego, iż wydaje mi się ono zbyt wąskie znaczeniowo: nowomowa jest przypadkiem szczególnym afazji, szczególnym przypadkiem zaburzenia normalnych mechanizmów językowych.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego uważam, że należy w opisie zjawisk socrealizmu zrezygnować z tego terminu. Ten mianowicie, że zmusza on do analizowania tekstów socrealistycznych w kategoriach literackich, gdyż do takich właśnie zaliczyć trzeba pojęcia nowomowy. Wydaje się zresztą interesującym fakt, iż socrealizm w literaturze stał się impulsem dla prób właśnie literackich, a nie naukowych jego opisów: począwszy od „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza po „Hańbę domową” Jacka Trznadła, która w istocie też jest książką literacką. Ten literacki naddatek jest sam w sobie problemem wymagającym odrębnej analizy. Wydaje się, że prowadzi on do przewartościowania (tzn. przydania wartości ponad miarę) tekstów socrealistycznych, uznania ich za literaturę właśnie.

Tu, oczywiście, pojawić się musi problem następujący: czy mówimy o „literaturze socrealistycznej”, czy o „socrealizmie w literaturze”. Nie jest to zagadnienie czysto sofistyczne, jak z pozoru mogłoby się wielu ludziom wydawać. W istocie chodzi o to, czy teksty zaliczane do socrealistycznych mogą uzyskać rangę literatury. Odpowiedź na tak postawione pytanie wcale nie jest oczywista. Bez wątplenia w większości przypadków były one pisane jako teksty literackie, lecz przecież nie intencje autorów, a tym bardziej urzędników odpowiedzialnych za „politykę kulturalną socjalistycznego państwa” mogą o tym decydować. Osobiście skłaniałbym się do mówienia o socrealizmie w literaturze, choć w poszczególnych wypadkach niektóre z tych tekstów rzeczywiście posiadają walory literackie. Ale walory literackie posiada też wiele innych tekstów na ogół do literatury nie zaliczanych, nawet niektóre dawne przepisy prawa.

W wydanej niedawno pracy Wojciecha Tomasika „Polska powieść tendencyjna 1949-1955”* czytamy: „Nazwanie polskiej powieści 1949-1955 powieścią propagandową, jakkolwiek dopuszczalne, okazuje się jednak zabiegiem niecelnym. Z kilku względów. Przede wszystkim dlatego, że wprowadzałoby do repertuaru genologii element implikujący istnienie nowego pojęcia genologicznego. Także dlatego, że zacierałoby związek tak określonej klasy tekstów z tradycją. (...) Tymczasem sytuacja przedstawia się wręcz odwrotnie. Polska powieść 1949-1955 jest formą dobrze osadzoną w tradycji literackiej, korzysta z rozwiązań stylistyczno-kompozycyjnych

* Wojciech Tomasik, „Polska powieść tendencyjna 1949-1955. Problemy perswazji literackiej”, *Rozprawy literackie*, tom 60, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Lódź, s. 214.

gatunku znanego już i nazwanego". Tym gatunkiem jest, wedle autora, powieść tendencyjna: „Tradycją immanentną prozy realizmu socjalistycznego, wstydliwie przemilczaną, była konwencja powieści tendencyjnej”. Ten wywód nasuwa szereg wątpliwości. Po pierwsze: dlaczego niby tradycje powieści tendencyjnej miałyby być „wstydliwie przemilczane”? O tym, niestety, autor nie pisze, a szkoda. Po drugie, fakt, że korzysta się z gotowych wzorców nie oznacza, że się tworzy podobne powieści, często wręcz przeciwnie. I wreszcie sprawa ostatnia: chwalebne wydają się dążenia autora do niemożenia bytów teoretyczno-literackich ponad konieczność, ale w tym właśnie wypadku z koniecznością taką mamy do czynienia — teksty tworzone jako „literatura socrealistyczna” wymagają odrębnego określenia gatunkowego (genologicznego). Pytaniem otwartym pozostaje, czy owo określenie należy do teorii literatury.

Przejdźmy jednak dalej. Tomasiak pisze: „Powieść tendencyjną wyodrębniają spośród powieści realistycznych trzy własności: oparcie świata przedstawionego na dualistycznym systemie wartości, obecność apelu (choćby tylko implikowanego) skierowanego do odbiorcy i „doktrynalny intertekst”, wymuszający prawidłowe odczytanie powieści. Wszystkie te trzy cechy charakteryzują — jak widać — aspekt pragmatyczny powieści z tezą, najistotniejszy dla gatunku, który wyznacza odbiorcy rolę wyjątkową — „wykonawcy tekstu” (określenie E. Balcerzana)”. Cóż — sęk w tym, że pisane w owym okresie i przedstawiane jako literatura teksty same były „wykonawcami tekstów”, były bowiem interpretacją zamówień propagandowych (czego nie należy mylić z jakąś literacką interpretacją doktryny — chodziło naprawdę o propagandę, z całą jej zmiennością na kolejnych „etapach”). Rzecz w tym w końcu, że istnienie tych tekstów nie tłumaczyło się — i nie musiało się wcale tłumaczyć — w obrębie literatury, lecz przeciwnie, poza nią. To w oczywisty sposób wyznacza pozaliteracki status tych tekstów.

Ważnym, a nie postawionym przez autora pytaniem jest kwestia funkcjonowania analizowanych przezeń książek. Fakt, że ich autorzy wierzyli (choć, oczywiście, nie wszyscy) w to, iż wypełniają „zamówienie społeczne”, nie ma nic do rzeczy. Intencje autorów — jakkolwiek by nie były szlachetne — pozostać muszą poza sferą zainteresowania badacza. Istotny jest natomiast fakt, iż taka metoda pisania została zadekretowana administracyjnie i w ten sam sposób była propagowana. Nikt dotychczas, jak się zdaje, nie zbadał, jak funkcjonowały te książki na rynku czytelnictwa. Wszelkie promocje prasowe, łącznie z wynikami „konkursów czytelnictwa” należy tu, oczywiście, podać w wątpliwość. Podobnie zresztą jak w wątpliwość należy podać sposób gromadzenia wiedzy o rzeczywistości w tych książkach przedstawionej — w przeciwieństwie do autorów powieści tendencyjnej, którzy swą wiedzę czerpali na ogół przede wszystkim z obserwacji rzeczywistości, autorzy książek socrealistycznych bazowali przede wszystkim na wiadomościach z gazet i innych gotowych interpretacjach tego, co się w życiu kraju działo. Powstawał obieg

zamknięty, w którym książki pisane były przede wszystkim dla ich rzeczywistych autorów: dla propagandystów. Rzeczywistość gazetowa przekształcana w „literaturę” powracała do tej samej gazety jako dowód prawdziwości jej rozpoznai. Błędne w tym kontekście wydaje się więc stwierdzenie następujące: „Konieczność wiązania treści propagandowych z systemem funkcjonujących stereotypów społecznych prowadzi w powieści socrealistycznej do preferowania takich środków stylistyczno-kompozycyjnych, które w maksymalnym stopniu warunków ten spełniają”. Byłoby ono prawdziwe, gdyby odwoływało się do rzeczywiście istniejących i funkcjonujących stereotypów społecznych, tymczasem odwołuje się ono do tego, co za stereotyp społeczny zostało z góry przyjęte. Ta sprawa, oczywiście, wymaga dokładniejszego zbadania.

Cała sprawa „doktrynalnego intertekstu” wymaga zresztą także osobnego omówienia. Obecność jakiejś sumy przekonań czy teorii wobec literatury zewnętrznych a wpływających na jej interpretację nie jest wyłącznie problemem literatury tendencyjnej — w zasadzie o takim „doktrynalnym intertekście” można mówić w odniesieniu do literatury jako całości. W tym jednak wypadku chodzi nie tylko o owe uwarunkowania zewnętrzne, ale też o określenie przez nie samego statusu literatury, która — w imię wyrażania treści propagandowych — zmuszona została do rezygnacji ze swych własnych aspiracji. Słusznie zauważa autor, że „powieść tendencyjna wykorzystuje ten kontekst w usztywnianiu swych znaczeń, a jednocześnie sama go wzbogaca”. Byłoby jednak, podejrzewam, sztywnym trudem podjęcie próby udowodnienia, iż teksty socrealistyczne w jakikolwiek sposób wzbogaciły doktrynę, która określała ich znaczenie i sensy. Książki te mogły co najwyżej propagować jakieś widzenie rzeczywistości, lecz w żadnej mierze go nie tworzyły.

Ten aspekt tekstów socrealistycznych wydaje się niezwykle ważny z punktu widzenia literaturoznawstwa. Brak jakichkolwiek twórczych elementów przy jednoczesnym całkowitym zredukowaniu literatury do „doktrynalnego intertekstu”, powielanie gotowych wzorów literackich wyłącznie jako wehikułu mającego przenosić treści propagowane uniemożliwia traktowanie tych książek jako literatury pięknej. Wyjściem jest, oczywiście — i do takiego właśnie rozwiązania skłania się autor omawianej tu pracy — przyporządkowanie tekstów socrealistycznych kategorii kiczu. Jak jednak słusznie zauważa: „Stwierdzenie kiczu w literaturze 1949-1955 wymagało (...) zakwestionowania zamkniętego charakteru sztuki realizmu socjalistycznego”. Ta kategoria przywołana więc być może jedynie po fakcie. Rzecz w tym jednak, że wszelka ocena z zewnątrz, relatywizująca ówczesne teksty w odniesieniu do normalnie funkcjonujących kategorii literackich, mogła być dokonywana tylko wówczas, gdy odrzucano się panujący wtedy monopol.

Sprawa jest na pewno skomplikowana. Praca Tomasika jest jednym z pierwszych rzeczowych opracowań na temat tekstów socrealistycznych. Jak wszystkie dotąd, próbuje dokonać ich analizy

literackiej — z tego też punktu widzenia rzecz oceniając, należy ją uznać za pracę interesującą, dostarczającą mnóstwa istotnych analiz książek uznanych przez autora za socrealistyczną odmianę „powieści tendencyjnej”. Ciąży nad tą analizą jednak duch literaturoznawczej „naukowości”, który wyklucza możliwość wydobycia się z gorszego gotowych pojęć, wyplątania z sieci scjentyzmu. Książki tu omawiane są dla autora — na skutek przyjętych założeń — gorszymi lub lepszymi, ale jednak „powieściami”. Są więc literaturą. To prawda, że pozbawioną wszelkich walorów, kiczowatą, ale jednak literaturą. Czymś w rodzaju „Trędowatej”. Z tą jednak poważną różnicą, iż „Trędowata” była przecież czytana z wypiekami na policzkach, wręcz zaczytywana, nawet długo po jej pierwszej publikacji. Tego samego o socrealistycznych „kiczach” powiedzieć się nie da.

Rozpoznanie prezentowanych pod szyldem literatury tekstów okresu stalinowskiego wymaga, jak sądzę, spojrzenia szerszego, wykraczającego poza kategorie, którymi operuje literaturoznawstwo. Podobnie jak większość zjawisk życia publicznego tamtego czasu, muszą być one rozpatrywane w kategoriach społecznej patologii. Te teksty były martwe w chwili swych narodzin: podniecały wyłącznie wyznawców doktryny lub jej strażników. Są też martwe dzisiaj. Ale zarazem tworzą obszar martwicy, który w dalszym ciągu utrudnia normalne funkcjonowanie organizmu. Nie tylko bowiem w życiu społecznym, lecz także w literaturze nie wyzwoliliśmy się do dzisiaj spod presji stalinizmu.

Publikacji dążących do odsłonięcia mechanizmów tego systemu, do nazwania tego, co się wówczas wydarzyło, jest coraz więcej i z tego należy się cieszyć. Pozostaje otwarta kwestia metody badawczej. Dotychczasowe okazują się mało przydatne lub nawet mylące. We wprowadzeniu do „Zniewolonego umysłu” pisał Miłosz: „Chciałbym pokazać, że życie w krajach jakie znalazły się w obrębie Wschodniego Imperium kryje w sobie wiele tajemnic”. Jedną z tych tajemnic jest socrealizm, który usiłował ukazać nie przez opis zjawiska, lecz przez nałożenie na siebie kilku różnych portretów socrealistycznych autorów. Część prawdy została w ten sposób odsłonięta, ale tylko część. Istotne wydaje się dotarcie do „twardego jądra” tego systemu. Z innej strony usiłował rzecz „ugryźć” autor interesującej pracy „Socrealizm. Sztuka polska w latach 1950-1954”, Wojciech Włodarczyk, który swe analizy poświęcił plastyce: w rozdziale „Milczenie artysty” zaproponował „analizę dzieł, które nigdy nie powstały”. Pisze: „Dzieła niepowstałe to bardzo nośny kontekst interpretacyjny dla realizmu socjalistycznego. Jest to skrajny i przewrotny wypadek wymuszonego ale i twórczego 'uczestnictwa' w kulturze socrealizmu”. Podobne zjawiska można w końcu opisać także w literaturze: czy to w opisie milczenia Aleksandra Wata, czy Zbigniewa Herberta. Być może milczenie było jedyną możliwością pracy twórczej, podobnie jak w początkowym okresie stanu wojennego jedynym ważnym spektaklem teatralnym był bojkot radia i telewizji przez aktorów? Milczenie jest znakiem: pauzą zaczyna się V Symfonia Beethovena.

Nie było moim zamiarem pisanie naukowej recenzji pracy Wojciecha Tomasika. Książka ta posłużyła mi wyłącznie za pretekst do przedstawienia kilku refleksji związanych z trudnościami pisania o socrealizmie. Sam, analizując swego czasu ówczesne „wiersze” i próbując stosować do nich miary literackości, miałem poczucie jakiejś niestosowności tych zabiegów. Być może jest to moje osobiste odczucie. Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości: łatwo opisując ten okres ironizować, łatwo też na swój sposób — przy odrobinie zacięcia — dokonywać rzeczowych analiz tekstów (tylko pytanie: czy literackich, zaś jeśli nie, to jakich?). Łatwo też potępiać autorów, co zresztą dziś już niewiele daje. W dalszym ciągu pozostaje jednak jakaś zagadka, której do ironizowania i potępień zredukować się nie da.

Bez wątpienia jakiś ślad wiodący do zrozumienia tego, co się wówczas działo, odnaleźć można w ówczesnym przekonaniu wielu pisarzy, że oto właśnie historia wypowiada słowo, które opuściło literaturę. Historyzm jako wiara leżąca u podstaw tego, co się stało z literaturą, jest jednak tylko jednym z tropów. O tyle interesującym, że — jak choćby w przypadku Mieczysława Jastruna — wskazuje, że niektórzy przynajmniej spośród piszących świadomie zrezygnowali z literackości swych tekstów.

Leszek SZARUGA

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kornel Filipowicz — pożegnanie

Urodził się w roku 1913 w Tarnopolu, studiował biologię w Krakowie. W latach trzydziestych należał do Niezależnego Związku Młodzieży Socjalistycznej i MOPR-u, przyjaźnił się z malarzami krakowskiej awangardy (komunistami i socjalistami), był związany z teatrem Cricot. Podczas wojny siedział na Montelupich, pracował w kamieniołomach, był więźniem w Gross-Rosen i Oranienburgu. Debiutował w roku 1948 tomem opowiadań *Krajobraz niewzruszony*. Opublikował ponad dwadzieścia książek.

W roku 1955 odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi. Komuś, kto nie zna całej jego twórczości, a szczególnie tego, co pisał w okresie stalinowskim, rok nagrody może wydać się podejrzany. Filipowicz „popelnił” dwutomową powieść pt. *Nauki o ziemi ojczystej* (książkę patriotyczną, ale nie polityczną), której pierwszy tom, *Księżyc nad Nidą*, ukazał się w roku 1950, a drugi, *Błękitny zeszyt*, dopiero w pięć lat później. Jeśli haracz spleciony ideologii jest w niej zauważalny, to tylko w nadmiernej retoryczności stylu, nie w treści. I jakże jest nikły i nieszkodliwy w porównaniu z tym, co w tym czasie pisali — i spalali — inni. Z drugiej powieści, *Niepokój młodego serca*, zakrojonej na dwa tomy, ukazał się tylko tom pierwszy, *Ulica Gołębia*, także w roku 1955. Były to wspomnienia z lat studenckich w Krakowie; stonowany, ale i tak oszałamiający obraz swobody i rozmachu życia politycznego w sanacyjnej Polsce. *Ulica Gołębia* otrzymała w roku 1956 znakomite recenzje, nawet od krytyków, którzy nikomu wtedy nie pobrażali. Ale wcześniej, w roku 1954, kiedy kult bohatera pozytywnego sięgnął apogeum, Filipowicz wydał *Profile moich przyjaciół*, książkę należącą zdecydowanie do gatunku „zgnitego psychologizmu”, apolityczny unikat, zbiór delikatnych, jakby obrysowanych piórkiem portretów, stylistycznie pokrewnych *Charakterom* Nałkowskiej.

Mówiąc inaczej, Filipowicz nigdy nikomu nie czapkował i zdumiewające, że zawsze, przynajmniej na pozór, uchodziło mu to bezkarnie. Pod koniec lat sześćdziesiątych był jedynym pisarzem,

który w swoich opowiadaniach ośmieszał antysemityzm i demaskował „kombatantów-patriotów”; w jednym z opowiadań nazwał ich „cynicznymi bykami”. Działo się ło — przypominam — w okresie, gdy cała Polska śpiewała ulubioną piosenkę generała Moczara: *Dziś do ciebie przyjść nie mogę...*

Okres jego literackiej świetności przypadł na lata 1960-1968. Pięć „małych powieści”, dwa zbiory opowiadań, w tym *Mój przyjaciel i ryby*, nie mający sobie równego w polskiej literaturze. Lepszy, bardziej wycieniowany, głębszy filozoficznie niż Hemingwaya *Stary człowiek i morze*. Wśród pięciu „małych powieści” są cztery arcydzieła: *Romans prowincjonalny* (1960), *Pamiętnik antybohatera* (1961), *Jeniec i dziewczyna* (1964) i *Męczyzna jak dziecko* (1967). Świetny, ale nie dorównujący tym czterem *Ogród pana Nietschke* ukazał się w roku 1964. Jest dla mnie nie do pojęcia, że żadna z tych książek nie została przerobiona na film.

Myślę, że w tym okresie największego rozkwitu, wręcz ekspansji sił twórczych, forma opowiadania stała się dla Filipowicza zbyt ciasna — z powieści epickiej zrezygnował chyba wtedy na dobre — jako jedyna forma prozy. Miniaturowa powieść, gatunek bardzo wdzięczny, znakomicie pasowała do jego sucho-lirycznego stylu, botanicznego (ale nie naturalistycznego) zmysłu obserwacji i — *last but not least* — owej „busoli moralnej”, o której na obwołucie jednej z jego książek wspomina Ryszard Matuszewski. Tej busoli Filipowicz nigdy nie spuścił z oka, nawet pisząc dziełko tak behawiorystycznie amoralne (i dla Polaków drażliwe) jak *Pamiętnik antybohatera*.

W roku 1968 wydał znakomity zbiór opowiadań, *Dziewczynka z lalką czyli o potrzebie smutku i samotności*. A potem nastąpił spadek, albo raczej zatrzymanie się w miejscu. Tu i ówdzie, w kolejnych tomikach, błyskały pierwszej świetności fragmenty. Ale opowiadania stawały się coraz krótsze, szarzały. Z prozy Filipowicza zniknęła Jan, jego *porte parole*. Zamiast opowieści z Janem, który występował w trzeciej osobie, przyszły opowiadania-wspomnienia pisane w pierwszej osobie. Jan był Filipowiczem, ale był także — a może przede wszystkim — postacią literacką. Z odejściem Jana proza Filipowicza utraciła swą literackość i osobisty ton; jej styl stał się tak przezroczysty, że to co niegdyś (w myśl recepty Dąbrowskiej) stanowiło o jego doskonałości, zamieniło się w brak, w rozrzedzone powietrze, którym ta proza nie mogła już oddychać. Oczywiście: pozostała klarowność myśli, rutyna początku i puenty, znajomość ludzi i społecznego konkreту. Zniknęła metafizyka, wyobraźnia, męska samotność w krajobrazie „moralnie obojętnym”.

Był w Krakowie znaną, choć mało głośną postacią. Udzielał się, ale jakby częściowo, z nieobrażającą nikogo rezerwą. Bardzo wysoki, ubierał się z dyskretną fantazją. Dla mnie należał zawsze do pejzażu miasta, jak Planty i kościoły. Był przedmiotem rozmów, ale nigdy plotek. Był bez wątpienia najpiękniejszym mężczyzną w Krakowie, podobno także przed wojną.

Kornela Filipowicza poznałam osobiście, kiedy pisałam dla

Twórczości recenzję z *Ogrodu pana Nietschke*. Pisałam o nim wiele razy, prawie o każdej książce, którą wydał. W Krakowie śmiano się, że pisałam nie recenzje, a miłosne listy. Nie było to tak dalekie od prawdy; zbliżał się okres nagonki na Żydów i Filipowicz był dla mnie — a wiem, że i dla wielu innych — człowiekiem, który samą swoją obecnością nie pozwalał przekląć do reszty tej ziemi, którą nazywaliśmy ciągle ojczyzną. Był wcieleniem spokoju, rozsądku i powściągliwego humoru. Był także powściągliwym patriotą, w owych latach okazem unikalnym. Jego sądy o czasach były ostre, o ludziach — ostrożne. Bóg wie dlaczego byłam przekonana, że należał do partii, i kiedyś — ach, jakże chciałam, żeby był bez skazy! — spytałam, czy nie ma zamiaru oddać legitymacji partyjnej. „Co ja im mam oddać — powiedział — mam tylko legitymację Związku Rybackiego”.

Znał swoje możliwości i ograniczenia. Pierwsze starał się maksymalnie wykorzystać, drugie czasami przekraczał. „Ale jest coś, co mnie bardzo gnębi — pisał w *Opowieści niedokończonych* w zbiorze *Między snem a snem* (1980) — i o tym nareszcie muszę także powiedzieć. Wiem mianowicie, że w tym, co piszę, pisałem i co jeszcze napiszę, do końca, do ostatniego zdania, będzie mi towarzyszyło przekonanie, że nie powiedziałem wszystkiego, co o sobie i świecie powiedzieć chciałem. Że pozostanie jakaś niepokojąca reszta, o której nie potrafiłem ani nie będę umiał nic powiedzieć. Nie umiałem nigdy, ani wtedy, gdy byłem w świetle, ani wtedy, gdy ogarniał mnie mrok. (...) Czasem wydaje mi się, że ta reszta o której nie napisałem jest ważniejsza od wszystkiego, co napisałem. Że jest najważniejsza, i o niej tylko warto pisać...”.

Przez ostatnie dziesięć lat życia był niezwykle aktywny. Po wprowadzeniu stanu wojennego — dobiegał wtedy siedemdziesiątki — zaczął pisać wiersze. Ich zbiór, pt. *Powiedz to słowo*, ukazał się w roku 1984 w jednym z podziemnych wydawnictw. Bardzo lubię te teksty — filuterne i sarkastyczne — choć z reguły niewiele mają wspólnego z poezją. Myślę, że zaczął je pisać po części z wrodzonej przekory, po części zaś dlatego, iż jako wytrawny prozaik wiedział, że po wstrząsie, po narodowej katastrofie, należy z prozą poczekać. Z jego wierszy można ułożyć katechizm współczesnego, skorumpowanego przez socjalizm Polaka. Ale są wśród nich także i takie, które stanowią poezję całkiem wysokiej próby; niejasne, przejmujące, jakby wyjęte z sennych obrazów, zdają się być esencją jego najlepszej prozy.

W roku 1981 Filipowicz — uparty wolny strzelec, który po wojnie nigdy nie pracował w żadnej instytucji — stał się jednym z założycieli i zastępcą naczelnego redaktora miesięcznika literackiego *Pismo* (zabitego definitywnie przez cenzurę w roku 1983). Po pierwszej likwidacji *Pisma* — lato 1981 — był aktywnym uczestnikiem mówionego miesięcznika literackiego *Na Głos*. Podobno polubił występowanie w kościołach, dekoracyjnie ustawiając się na tle co piękniejszych ołtarzy.

W ciągu tych dziesięciu lat wydał trzy zbiory prozy: *Między snem a snem* (1980), *Koncert F-moll i inne opowiadania* (1982)

i *Rozmowy na schodach* (1989). W jubileuszowym, pięćsetnym numerze *Kultury* opublikował jedno z najświetniejszych swoich opowiadań, *Wizytę w domu malarza Z.* Zmienił sposób pisania; zmiana była istotna, choć nie rzucająca się oczy. Myślę tu szczególnie o dwóch opowiadaniach. Pierwsze, pisane w styczniu 1981, nosi tytuł *Fizjologia* (pomieszczone później w zbiorze *Koncert F-moll...*). Drugie, to tytułowe opowiadanie z tomu *Rozmowy na schodach. Fizjologia* — poświęcona żonie, wybitnej malarce, Marii Jaremie, zmarłej przed laty na białaczkę — jest detaliczną rekonstrukcją miłości i współżycia. Proustowską próbą złożenia w całość przeszłości; zmuśnym, bolesnym procesem, w którym żaden szczegół nie może być pominięty, bo każde pominięcie grozi zawaleniem się misternej budowli życia. Przyznam, że zaskoczył mnie ten krótki tekst, szczery, osobisty, dyskretny, o wyjątkowej urodzie słowa.

Pod koniec roku 1988, na 75-lecie urodzin, Filipowicz otrzymał nagrodę im. Stanisława Vincenza, jedną z prestiżowych nagród literackich w Polsce. W ubiegłym roku, wbrew własnej woli, został wybrany prezesem krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Zmarł we śnie 28-go lutego. Przyjaciele do końca wmawiali mu, że cierpi z powodu komplikacji po przebytej grypie. Do ostatniego dnia wypalał masę papierosów.

Nie zdążyłam się z Nim zobaczyć, nie mogłam być na pogrzebie. Parę dni temu zmówiłam za Niego kadiś w synagoge. Kornel należał do rzadkiego gatunku filosemitów, którzy kochali Żydów za to, że są Żydami (przypadek Gombrowicza), a nie pomimo (przypadek Dąbrowskiej).

Rzekę pełną ryb racz mu dać Panie, i szklankę mrożonej wódki.

Janina KATZ HEWETSON

Andrzej Banach: właściciel realności (1910-1990)

„Nie lubię literatury. Nie jestem literatem, chciałbym zostać pisarzem. Bo pisarz to człowiek, który chce i umie drugiemu pomóc. Pisanie to wyciągnięcie ręki do człowieka, kierowanie kimś nieznanym i niezbędnym dla spowiedzi. Próba zmiany otoczenia, ale przedtem siebie” — zwierzał się Andrzej Banach w jednej ze swoich

najbardziej osobistych książek, pt. „Ostatnia podróż”, poświęconej żonie Eli, jej cierpieniu i śmierci, a także miłości do niej, pełnej liryzmu i momentów dramatycznych. Czy jego marzenie się spełniło, czy Andrzej Banach — autor czterdziestu książek — został pisarzem?

Urodził się na początku stulecia w Krakowie i z miastem tym związał całe późniejsze życie osobiste i zawodowe. Na Uniwersytecie Jagiellońskim zdobył tytuł doktora praw, interesował się też filozofią, uważając się za ucznia profesora Romana Ingardena, wybitnego fenomenologa, pod którego kierunkiem przygotowywał pracę habilitacyjną, zatytułowaną bardzo po ingardenowsku „O sposobie istnienia prawa karnego”. Praca ta nigdy nie została ogłoszona drukiem, bowiem została zdjęta przez cenzurę z *Kwartalnika Filozoficznego*, wydawanego w Polskiej Akademii Umiejętności, jak wiadomo później zlikwidowanej, i dopiero niedawno temu reaktywowanej. Na zaproszenie profesora Ingardena został jednak członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Wspomina o tym w jednej ze swych książek, która miała być kwintesencją jego filozofii życia. Polemizował w niej z definicją szczęścia zawartą w eseju profesora Władysława Tatarkiewicza. Szczęście — dowodził Banach — to nie uczucie zadowolenia z godziwie i pożytecznie spędzonego życia, lecz uczucie przyjemności z różnych powodów, zależnych od naszej mentalności, naszego doświadczenia, naszej wiedzy i umiejętności. Życie codzienne może się składać z chwil szczęśliwych i to one właśnie, ich intensywność, określają zakres szczęścia człowieka.

Motyw poszukiwania tak rozumianego szczęścia przewija się przez całą niezwykle bogatą i różnorodną twórczość Banacha, różnorodną tematycznie, ale konsekwentną w wyrazie i stylistyce. Andrzej Banach nie był autorem dzieł literackich, z wyjątkiem dwóch powieści napisanych przekornie, będących czymś w rodzaju literackiej zabawy, świadomie podjętej gry z pojawiającymi się w literaturze współczesnej konwencjami. Nie spotkały się one zresztą z przychylnym przyjęciem krytyki, chociaż moim zdaniem zbyt poważnie, zbyt serio je potraktowano, co nb. świadczy o stale jeszcze obecnym w naszej kulturalnej świadomości skrzywieniu romantycznym. O wiele lepiej przyjmowano jego książki z szeroko rozumianego pogranicza historii sztuki. Ale i one przeniknięte są europejskim *esprit*, rzadkim niestety w polskiej kulturze połotem, który czyni nasze szare, potoczne życie znośniejszym, barwniejszym, ciekawszym. Dla autora „*Eroryzmu po polsku*” nie było niczego gorszego niż nuda, nuda bowiem jest przyczyną bezpłodnej kontestacji i beźmyślnego okrucieństwa, prowadzi do gnuśności i niezdrowej perversji. Jak najdalszy od purytanizmu. uznający ciało za źródło wspaniałych przyjemności, akceptujący pornografię rozumianą jako erotykę bez kompromisów, Andrzej Banach był zdecydowanym przeciwnikiem zjawisk patologicznych.

Na szczególną uwagę zasługuje jego stosunek do sztuki. Sztuka to odkrywanie świata, ale również umiejętność życia, nadawanie naszej egzystencji godnego i radosnego sensu. Pewnie dlatego chętnie i często schodził na niższe piętra sztuki, wołał sztukę użytkową i ludową. Charakterystyczne dla tych upodobań Banacha są książki poświęcone podróżom, np. najlepsze z nich, „Odkrycie Amsterdamu”, ale też „Podróże po szufladzie”, „O wdzięczności przedmiotów”, no i przede wszystkim książki o Ociepce — „malarzu dnia siódmego” oraz Nikiforze. Ten ostatni stał się bohaterem aż trzech pięknie napisanych esejów, zatytułowanych: „Nikifor mistrz z Krynicy”, „Pamiętka z Krynicy” i „Historia o Nikiforze”. Ignorowany przez znawców i wyszydzany przez dyletantów, wyśmiewany przez otoczenie i budzący litość wśród wczasowiczów, podpisujący się czasem „Matejko z Krynicy” malarz uliczny stał się dla Banacha i jego żony nie tylko bohaterem książkowym, był również przyjacielem. W tej osobliwej przyjaźni zrealizowała się najpełniej koncepcja pisarstwa, o której była mowa na początku artykułu. Nikifor został autentycznie odkryty przez Elę i Andrzeja Banachów i potem z niezwykłą konsekwencją lansowany nie tylko w kraju, ale również za granicą. Wystawy jego obrazów w stolicach europejskich (Amsterdam, Bruksela, Paryż) zyskały Nikiforowi światową sławę.

Trudno jednoznacznie określić, w jaki sposób sława wpłynęła na rozwój tego nad wyraz osobistego malarstwa, traktowanego jako sposób na życie. Ale na pewno bez Banacha Nikifor pozostałby malarzem całkowicie zapoznanym. Z drugiej jednak strony i Banach dużo mu zawdzięczał. Znamienne, że pierwszą jego książką był właśnie „Nikifor mistrz z Krynicy”. Stał się on dla autora „Wyboru maski” silnym impulsem twórczym.

Andrzej Banach dużą wagę przykładał do artyzmu rozumianego jako przewycięzenie nudy. Dobrym na to dowodem były jego książki — nie tylko pisane, lecz z wielką starannością i wielkich ukochaniem dla sztuki przez duże i małe „s” przygotowywane. Zawsze sam dobierał do nich materiał ilustracyjny, sam go graficznie komponował, sam wykonywał projekt okładki, obwoluty i wyklejki. Wszystkie te tytuły, zebrane potem w bibliotece Eli i Andrzeja Banachów, to edytorskie cacka, — którymi od dawna już niestety nie może się poszczycić żadne z krajowych wydawnictw. Aż żal serce ścisnąć, gdy biorę teraz do ręki kolejne książki, wydawane przez moje Wydawnictwo Literackie, które tyle lat patronowało sztuce Andrzeja Banacha. *Signum temporis?*

Andrzej Banach zmarł niedawno w Amsterdamie, mieście, które kochał na równi z Krakowem i Krynica, na równi ze sztuką, widzialną i niewidzialną. Przede wszystkim jednak widzialną, bardziej bowiem cenil sztukę przedstawiającą niż abstrakcyjną. Dlatego tak lubił holenderskiego malarza, Vermeera, który potrafił widzieć piękno świata „w jego powszednich przejawach, w ścianie domu, w

powietrzu, w świetle, w spojrzeniu kobiety". Zachwycał się jego sposobem pokazywania „urody rzeczywistości” i „zycliwą tolerancją” wobec wszystkiego i dla wszystkiego. „Obyśmy kiedyś — kończył Banach swoje „Odkrycie Amsterdamu”, wydane w roku 1975 — umieli tak pisać, jak Vermeer malował. Vermeer, właściciel rzeczywistości”.

Sądzę, że marzenie Jego spełniło się — osiągnął cel, do którego dążył przez całe twórcze życie: pisał jak „właściciel rzeczywistości”.

Bogdan ROGATKO

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organicizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 457

**·POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cieniałą

Str. 448.

Cena F. 220,00.

„Ogromna strata”

Tytuł książki Louisa Ferdinanda Heibiga „*Der ungeheure Verlust*” można oddać jako „potworna, nadzwyczajna, straszna” lub „niesamowita strata”. Przymiotnik „ogromna” odpowiada jednak moim zdaniem najlepiej spokojnemu, dalekiemu od wszelkiego zacietrzewienia tonowi pracy. Nie zdarza się to często przy poruszaniu tego tematu: podtytuł książki brzmi bowiem: „Ucieczka i wypędzenie w beletrystyce niemieckojęzycznej okresu powojennego”*. Dla Niemców temat ten jest równie bolesny jak losy kresów wschodnich dla Polaków. Czas odrzucić zakłamanie i spojrzeć prawdzie w oczy: wielu ludziom, i to nie tylko Ukraińcom, Łemkom, Mazurom i Górnosiężakom, lecz także wielu niemieckim cywilom obraz Polaka kojarzy się nie bez podstaw z obrazem oprawcy. Okres pierwszych lat powojennych, kiedy zemsta dokonana na Niemcach, głównie zresztą niewinnych, bo winni — świadomi swej odpowiedzialności — zawczasu uciekli, została spotęgowana przez barbarzyńskie okrucieństwo komunizmu, który przywlokła do Polski „armia-wyzwolicielka”, wymaga w historiografii, a także w literaturze polskiej dokładnego opracowania. W porównaniu z literaturą niemiecką, która dokonała — nie licząc „wiecznie wczorajszych” wyjątków — uczciwego rozliczenia z czasami pogardy, nie szczędząc Niemcom gorzkich i nieraz okrutnych słów prawdy na temat ich haniebnego zachowania w okresie hitleryzmu, literatura polska wypada blado: czy któryś z pisarzy odważył się powiedzieć swoim rodakom, że to co robili nie

* Louis Ferdinand Heibig: „*Der ungeheure Verlust. Flucht und Vertreibung in der deutschsprachigen Belletristik der Nachkriegszeit*”. Studien der Forschungsstelle Osteuropa an der Universität Dortmund. Herausgegeben von Johannes Hoffmann. 3. Auflage, 1989, Otto Harrassowitz, Wiesbaden.

zawsze było szlachetne, a znęcanie się nad kobietami i dziećmi, należącymi do pokonanego, wrogiego narodu, nie ma nic wspólnego ani z chrześcijaństwem, ani z humanizmem?

Książkę Helbiga, który urodził się w 1935 r. w Głogówku na Śląsku, już dziś — zaledwie półtora roku po jej ukazaniu się drukiem w Harrassowitz Verlag w Wiesbaden nakładem Ostmitteleuropa Forschungsstelle na uniwersytecie dortmundzkim — można uznać za dzieło standardowe w omawianym zakresie. Autor sam przeżył jako dziecko tragedię utraty ojczyzny i fakt ten należy szczególnie podkreślić wskazując na obiektywizm jego pracy, która — dotycząc spraw skomplikowanych i drażliwych — na pierwszy plan wysuwa równocześnie szansę pojednania. Kompleksowe poruszanie tych zagadnień było dotychczas niemal niemożliwe dla krytyki niemieckiej, zdominowanej przez narodowe zakłamanie, nakazujące chwalić poszczególne dzieła, lecz ignorować ogólną tendencję, czy wręcz kierunek literacki. Wróćmy jednak do biografii autora, która jest nie bez znaczenia: w 1953 Louis Ferdinand Helbig wyjechał najpierw do Kanady, a następnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie ukończył studia germanistyczne, i od lat jest profesorem uniwersytetu w Bloomington w stanie Indiana. Fakt, iż wykłada na uczelni amerykańskiej, z jednej strony zdejmuje zeń podejrzenie o tendencje nacjonalistyczne, o które posądzono by niechybnie każdego profesora uniwersytetu niemieckiego, gdyby zajął się tym tematem, z drugiej strony zaś — umożliwił mu pracę naukową, nieskrepowaną przez interesy partii i ugrupowań politycznych: oddalenie bardzo często zbawiennie wpływa na obiektywizm. Helbig napisał swoją pracę w ścisłej łączności z Instytutem Europy Wschodniej i Środkowej, kierowanym od początku lat siedemdziesiątych przez Johanna Hofmanna — przez kilka lat wykładał w semestrze letnim na uniwersytecie w Dortmundzie, co umożliwiło mu dogłębne studia na miejscu, lecz w gruncie rzeczy pozostał w pewnym sensie człowiekiem z zewnątrz, tak jak polscy emigranci, piszący o literaturze krajowej. Dystans ten pozwolił mu zająć się interpretacją dzieł literackich przed powzięciem osądu co do ich wartości politycznej. Przez długie lata typowe było zachowanie odwrotne w stosunku do „literatury ucieczki i wygnania”: najpierw ocena, potem interpretacja. Krytycy z góry odrzucali tę tematykę, a zajmujących się nią autorów odsądzały od czci i wiary — co sprawiło, iż zamiast przynieść *katharsis*, temat ten zapadał coraz głębiej w zbiorową podświadomość, utrwalając negatywne stereotypy „złych obcych”, w pierwszym rzędzie Polaków, którzy wygnali niewinnych Niemców z ich raju na Wschodzie. Tymczasem bliższe przyjrzenie się literaturze poświęconej temu tematowi dowiodło, iż niemal wszyscy pisarze niemieccy potrafili wznieść się ponad

emocjonalne traktowanie opisywanych wydarzeń i bynajmniej nie próbowali zaprzeczać odpowiedzialności swego narodu za wywołanie wojny i za jej okrucieństwa. Stanowisko sporej części krytyki, która pośrednio odmawiała pisarzom prawa do bólu z powodu utraty swych stron rodzinnych, niosło w sobie niebezpieczeństwo pewnej fetyszyzacji pokuty, która — sprowadzona do swoistej liturgii — nie mogła być zupełnie szczerą, i prowadziła do zastygnięcia w poczuciu krzywdy. Nieszczerość ta jest jedną, choć nie jedyną i na pewno nie najważniejszą z przyczyn, dla których w wyzwolonej od komunizmu NRD do głosu doszły nastroje antypolskie, a związki wypędzonych mogły w sprawie ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej kierować kanclerzem Republiki Federalnej, jak chciały.

Tymczasem literatura, o ile jest rzeczywiście literaturą, a nie erupcją bezrefleksyjnych emocji, należy do nielicznych stałych, na których można się oprzeć w budowaniu przyszłości. Literatura niemal zawsze wychodzi ze zrozumienia samego siebie, lecz także innych ludzi, stąd też jej sądy, nawet najbardziej gorzkie, rzadko nacechowane są ekstremizmami. Tak też niemiecka „literatura wypędzenia” ukazuje ból i cierpienia ludzi, ale nie wzywa do zemsty, lecz do pojednania. I na to właśnie wskazuje Louis F. Helbig. Ten stan rzeczy stoi w sprzeczności także z opiniami, a raczej uprzedzeniami, panującymi w Polsce, gdzie nawet użycie nazw miejscowości w ich niemieckim brzmieniu uważane jest za przejaw rewanżyzmu, choć wiele polskich nazw stworzono dopiero czterdzieści lat temu, niemieckie zaś funkcjonowały przez kilkaset lat.

Literatura wypędzenia, podobnie jak literatura emigracyjna czy literatura zagłady Żydów, jest zjawiskiem, rozsadzającym po części kryteria formalne, treściowe i stylistyczne tradycyjnej germanistyki — to zjawisko znamy także z literatury polskiej; krajowej na temat okupacji niemieckiej i emigracyjnej na temat losów pod okupacją sowiecką. Autorzy absolutnej większości dzieł literackich widzą utratę miast i prowincji, a także — jak napisał Horst Bienek — pejzaży duchowych — w ścisłym związku z narodowym socjalizmem. Zdarzają się książki, których autorzy nie wyszli poza stanowisko, iż „na zbrodnie odpowiedziano zbrodniami”; działo się tak zawsze, kiedy pisarze za bardzo koncentrowali się na opisie okrucieństw, zbliżając się albo nawet przekraczając granice literatury sensacyjnej. Dotyczy to zresztą w pierwszym rzędzie „literatury wypędzonych”, a nie „literatury wypędzenia”; to pierwsze pojęcie odnosi się do użytkowego piśmiennictwa, funkcjonującego w obrębie określonych grup ludności. Helbig pisze: „Jakakolwiek relatywizacja winy lub prawa, obojętnie czy to na arenie politycznej, czy w beletrystyce, jest głęboko wątpliwa. Mimo iż istnieje kilka dzieł, które

nie oparły się dość wyraźnie tej pokusie, to jednak uspokajające jest to, że ogromna liczba autorów wypędzenia odczuwa medium literatury jako dalece nieodpowiednie dla jednostronnych obwinień bądź domagania się sprawiedliwości. Podobnie jak najbardziej znaczące dzieła literatury światowej — by wymienić tu tylko wielkie dramaty antyczne — najlepsze dzieła literatury wypędzenia pozostają, jak samo życie, ambiwalentne w zakresie ludzkim, opisując wprawdzie prawo i bezprawie, pozostawiając jednakże otwartymi decyzje w tych sprawach, a także opinie na temat osądu i kary: ostatnią instancją moralną jest czytelnik”.

Zaprzeczenie, jakoby w ogóle istniała literatura wypędzenia, niechęć przed typizacją tego szerokiego zjawiska, kiedy sklasyfikowane zostały o wiele mniej płodne tematy, podyktowane były w Niemczech obawą przed rozwojem swóistego „literackiego rewizjonizmu”. W gruncie rzeczy jednak potępianie samego tematu, jak to do niedawna miało miejsce także w polskim literaturoznawstwie, jest odbieraniem Niemcom prawa do nostalgii i stawia mimo woli w niejednoznacznej sytuacji moralnej polską literaturę kresów z Konwickim i Odojewskim na czele: literaturę, która na to z całą pewnością nie zasługuje. Najczęściej atakowano zresztą — zarówno w Polsce, jak i w Niemczech — książki autorów, wykorzystujących temat wypędzenia do celów nacjonalistycznych, a więc tych, którzy byli w absolutnej mniejszości i nie dorastali pod względem rangi artystycznej nie tylko najwybitniejszym przedstawicielom kierunku, lecz także literacim średniakom. W omówieniach dotyczących tego zakresu występują nazwiska Dwingera, Olgi Barenji, Kurta Ziesela, Wilhelma Pleyera i kilku innych. Tymczasem literatura wypędzenia, to przede wszystkim Horst Bienek, Siegfried Lenz, Günter Grass, Hans Lipinsky-Gottersdorff, Heinz Piontek, Christa Wolf: pisarze, którym nawet post-stalinowska krytyka polska nie mogła niczego zarzucić, chociaż hołubiła tylko tych spośród nich, którzy zbliżeni byli do obozu lewicy, przemilczając całkowicie dokonania innych — najjaskrawszym przykładem jest tu twórczość Lipinsky’ego-Gottersdorffa, której fragmenty — mam na myśli przede wszystkim jego krótkie opowiadania — osiągają najwyższy standard europejski.

Największe osiągnięcia literatury wypędzenia wykazują wysoki stopień uniwersalizmu i niejeden opis ucieczki ludności niemieckiej czyta się tak, jakby dotyczył ucieczki Polaków przed wojskami hitlerowskimi: to była ta sama wojna, tylko inny czas i inne ofiary. Podobieństwo to wyraźnie wskazuje na pewną wspólnotę cierpienia, na to że niesprawiedliwość zawsze pozostaje niesprawiedliwością i sądzić można tylko indywidualnego człowieka za jego własne czyny.

Helbig zwraca uwagę na kompleksy ofiary i winnego,

tkwiąc jednocześnie w utworach literackich omawianego nurtu; ja zaś pozwolę sobie w tym miejscu zwrócić uwagę na analogię, a właściwie brak analogii w literaturze polskiej; nie znam utworu, w którym winy Polaków wobec bezbronnej ludności niemieckiej doszłyby do głosu. To nie jest wyłącznie sprawa proporcji: sprawa porównywania Oświęcimia z Łambinowicami. Dla ludzi, męczonych i mordowanych za to tylko, że należeli do wrogiego narodu, nie miało najmniejszego znaczenia, czy znaleźli się w przemysłowej fabryce śmierci, czy tylko w niewielkiej manufakturze.

Podstawowym zagadnieniem, które od dziesięcioleci jest kością niezgody między Niemcami i Polakami, stało się pojęcie „prawa do ojczyzny”, rozumianej jako ukształtowane przez wiekowe doświadczenia związki kulturalne. Pojęcie to nie odnosi się do państwa, lecz do okolicy, co najwyżej do *land'u*. Ilustracją takiego podejścia są powieści i opowiadania Hansa Hellmuta Kirsta, Arno Surminksi'ego, Christy Wolf, Hansa Lipinsky'ego-Gottersdorffa czy Dagmar von Mutius. W swych utworach stawiają oni znak równości pomiędzy cierpieniami ofiar z końca wojny: owego wyzwolenia spod tyranii hitlerowskiej, które równocześnie oznaczało ostateczny koniec ich świata, oraz cierpieniami wszystkich ofiar na Wschodzie: w Polsce, w Rosji i gdzie indziej. Literatura wypędzenia należy w pewnym sensie do literatury regionalnej, owej niemieckiej *Heimatliteratur*, która w czasach narodowego socjalizmu wyrodziła się w literaturę „krwi i ziemi”, wydając utwory, uzasadniające nienawiść. „Regionalizm w literaturze jest jednak warunkiem tego, by była ona światowa”, powiedział Siegfried Lenz, lecz jest to nie tylko jego zdanie: najwybitniejsze dzieła literatury światowej są ściśle związane z jednym regionem; co więcej, każdy utwór literacki posiada określoną topografię, nawet jeśli nie została ona nazwana po imieniu, i najczęściej jest to topografia stron bliskich autorowi. Równocześnie jednak utwory niemieckiej literatury wypędzenia dotyczą spraw ogólnonarodowych — rok 1945 był dla Niemców nie tylko czasem wielkiej, ogólnej katastrofy, lecz także serii lokalnych kataklizmów na poszczególnych ziemiach. Poprzez indywidualne losy bohaterów pisarze zdołali niejednokrotnie zbliżyć się do archetypicznych wzorów ogólnoludzkich i nie powinniśmy tracić tego z oczu, analizując utwory omawianego nurtu. W przeciwnym razie odmówimy Niemcom nie tylko prawa do pamięci o utraconej ojczyźnie, która nigdy nie powróci i pozostanie — tak jak polskie kresy — jedynie najbardziej płodnym motywem literackim, lecz także do zwykłego, ludzkiego cierpienia.

Helbig klasyfikuje literaturę wypędzenia według gatunków i dostrzega, że obejmuje ona właściwie wszystkie rodzaje: od lite-

ratury wspomnieniowej poprzez opisy podróży, lirykę, opowiadania i powieści aż do słuchowisk, sztuk teatralnych i widowisk telewizyjnych. Formy dramaturgiczne występują jednak dość rzadko i nie wiadomo właściwie, dlaczego — tematyka ucieczki i wypędzenia zawiera w sobie wyjątkowo dramatyczny materiał sceniczny. Być może nieobecność sztuk na temat utraty ojczyzny na kresach wschodnich w literaturze polskiej także ma swoje przyczyny w okolicznościach pozacenzuralnych? Prawdopodobnie powód tego zjawiska tkwi w samym teatrze, który w ostatnich dziesięcioleciach coraz bardziej ogranicza się do opisu zjawisk marginalnych, poszukując prawdy o człowieku w sytuacjach możliwie jak najmniej typowych.

Najbardziej owocny okazał się temat ucieczki i wypędzenia w powieści. Helbig doliczył się do 1986 r. 74 powieści na ten temat, z tego 23 zalicza do dzieł wybitnych, dalszych dwadzieścia — znaczących, cztery książki uważa za rozrywkowe (*Unterhaltungsliteratur*), w trzynastu motyw wypędzenia występuje tylko na marginesie, dziesięć należy do literatury trywialnej, a cztery wykazują bez wątpienia tendencje nacjonalistyczne. Chyba nie ma drugiego tematu, i to nie tylko w obszarze niemieckojęzycznym, który posiadałby tak obszerną literaturę, a przy tym — dotyczącą spraw tak bolesnych — wydałby tak mało utworów szowinistycznych.

W drugiej części książki Helbig zajmuje się interpretacją i analizą literacką najwybitniejszych dzieł omawianego nurtu. Dokonuje tego metodami krytyki literackiej, a więc w oparciu o kryteria literackie, unikając — podobnie jak większość autorów — wartościowania opisywanych faktów historycznych. Nie traktuje więc powieści jako zaszyfrowanych dokumentów, chociaż nie odmawia im wartości poznawczych także w aspekcie historycznym. Miarą jego oceny jest jednak założenie, iż mamy do czynienia z dziełem artystycznym, stąd też ważniejsza jest dlań spójność wewnętrzznego świata utworu, niż jego absolutna zgodność z rzeczywistością statystyczną. Pozwala mu to, w przeciwieństwie do krytyków, stale mieszkających w Niemczech, przenieść swój punkt widzenia z opisu faktów — mniej lub bardziej niewygodnych od strony przewyżczenia moralnego przeszłości — na sprawę, która całkowicie umyka uwadze miejscowych krytyków, zajętych odganiem przy pomocy swojego rodzaju egzorcyzmów poszczególnych pojęć, słów czy obrazów, a mianowicie na to, iż literatura wypędzenia w swej masie dawno już dokonała rozliczenia moralnego z przeszłością i — nie licząc wspomnianych wyjątków — nią ma nic wspólnego z nacjonalizmem i tendencjami rewizjonistycznymi. Wręcz przeciwnie: większość pisarzy tematu nie cieszy się akceptacją środowisk, które teoretycznie najbardziej powinny by być zainteresowane ich twórczością, a

mianowicie związków wypędzonych i funkcjonariuszy ziomkostw. Jako dobitny przykład może tu posłużyć osoba Horsta Bienka, o którego twórczości zawodowi wypędzeni od dziesięcioleci nie powiedzieli ani jednego dobrego słowa.

Nie widzę w tym miejscu możliwości przytaczania rozlicznych przykładów interpretacyjnych — udostępnienie twórczości pisarzy niemieckich, którzy są związani z obecnymi polskimi ziemiami zachodnimi, powinno stać się ambicją germanistyki i wydawców polskich, istnieje w tym zakresie ogromny deficyt, i myślę że lepsza znajomość kultury naszych zachodnich sąsiadów spowodowałaby mniej histeryczne reakcje w społeczeństwie polskim w miesiącach, kiedy z jednej strony mniejszość niemiecka w Polsce zaczęła domagać się swoich praw, z drugiej zaś — wizja zjednoczenia Niemiec stała się realna. Historycy polscy, germaniści, a co gorsza także politycy sprawiają wrażenie, jakby z historią Niemiec znali jedynie trzynaście lat rządów Hitlera, ewentualnie historię państwa pruskiego, które wzięło udział w rozbiorach Polski i germanizowało Polaków w zaborze pruskim. Myślenie w takich kategoriach bardzo utrudnia współzycie międzynarodowe — jak wyglądałyby na przykład stosunki brytyjsko-amerykańskie, gdyby Amerykanie nadal uporczywie pamiętali Anglikom swoją wojnę wyzwolenczą, i czy możliwa byłaby współpraca Holandii z Hiszpanią we Wspólnocie Europejskiej, gdyby Flamandzcy zawzięli się z powodu inkwizycji hiszpańskiej?

Stosunki polsko-niemieckie są między innymi dlatego pełne niedomówień oraz mniejszych i większych kryzysów, że Polacy zawsze widzieli się jedynie w roli ofiar, usprawiedliwiając swoje własne czyny jako działania obronne bądź spowodowane przez czynniki zewnętrzne. Wysiedlanie Niemców rozpoczęto jednak przed konferencją poczdamską i to — wydaje mi się — o czymś świadczy. Podczas wysiedlania zginęły tysiące ludzi i to, co obecnie piszą gazety krajowe — że wśród wygnanych było wielu polskich Mazurów i Ślązaków — może budzić tylko niesmak, stanowi bowiem kontynuację przewodniej myśli propagandy komunistycznej, szukającej w antyniemieckości uzasadnienia dla „wiecznego sojuszu z ZSSR”, a mianowicie myśli, że Niemcy jako jednostki nie są istotami, zasługującymi na ludzkie traktowanie po tym, co jako naród zrobili w czasie drugiej wojny światowej. Jest to myślenie, które nie ma nic wspólnego z duchem chrześcijaństwa ani humanizmu, które stopiły się w jeden spójny system wartości europejskich, a do którego kultura polska zgłasza aspiracje — przynajmniej werbalnie.

Tego rodzaju traktowanie Niemców jest zresztą bronią obosieczną. Gdyby bowiem okres wysiedlania Niemców został zawnazachu uczciwie wyjaśniony przez historyków i polityków polskich, gdyby do końca powiedziano, za co właściwie biskupi

polscy prosili o przebaczenie, to żaden kanclerz nie znalazłby w sobie poczucia prawa moralnego do wysuwania jakichkolwiek wątpliwości co do granic. Nieuczciwość (intelektualna także) jednej strony zawsze stanowi dla drugiej strony zaproszenie do hochsztaplerstwa.

Końcowy rozdział książki Helbiga poświęcony jest szansom na pojednanie w aspekcie tematu wypędzenia w literaturze niemieckojęzycznej. Autor wspomina przy okazji polskie opowiadania Henryka Worcella, który, zajmując się losem polskich repatriantów ze Wschodu, zauważył także istnienie Niemców na „polskich ziemiach zachodnich” i poświęcił im pełne zrozumienie opowiadanie pod wymownym tytułem „Zemsta”. Helbig powołuje się przy tym na opinię Wilhelma Szewczyka, który uważa Worcella za „jednego z najlepszych pisarzy polskiego dorzecza Odry”. Jeśli porównać to jedno opowiadanie z obecnością Polaków w niemieckiej literaturze tematu, to jest to zawstydzająco mało.

W literaturze niemieckiej pojęcie *Heimat* w związku z utratą ojczyzny przez miliony ludzi przeszło znamiennej ewolucję. Najlepiej obrazuje tę zmianę cytat z Petera Härtlinga: „Ojczyznę doświadczamy w dwójnasób: jako to, co jest nam najbliższe, i jako wyęsknione najdalsze. Ktoś, komu uda się synteza, połączenie tych obydwu doświadczeń, ten może o sobie powiedzieć, że posiada ojczyznę”. Härtling, pisarz nowoczesny i przekorny, chce osiągnąć pojednanie przez zrozumienie. Poezja zmarłego już Heinza Winfrieda Sabaisa, byłego wrocławianina, zwłaszcza jego wiersz, w którym zwrócił się bezpośrednio do Tadeusza Różewicza, brzmi raczej bezradnie. Pozwolę sobie przytoczyć jego fragment:

*Drogi Tadeuszu Różewiczu, obydwaj
jesteśmy Cives Wratislavienses, tak chciał Bóg.
Miasto do swej historii obu nas
przyjęło. Heraklityjska Odra
otacza Pańskie i moje lata.
Musimy się znosić. Lub umrzemy.*

Nie słyszałem, aby stary Sabais doczekał się odpowiedzi: jesteśmy zbyt zajęci swoją misją zbawiania świata, by zaprzętać sobie głowę sąsiadami i to jeszcze takimi, którzy na nas napadli razem z Sowietami, a i wcześniej próbowali nam dzieci germanić. Tacy, zdajemy się sądzić, nie mają żadnej szansy na pojednanie z nami, bo tacy — nigdy się nie zmienia... A my?

Dlaczego nadal, tyle lat po wojnie, nie potrafimy odróżnić tych Niemców, którzy życzą nam źle, lecz znajdują się w absolutnej mniejszości, od tych, którzy domagając się byśmy uszanowali ich uczucia, życzą nam jak najlepiej? Ktoś, kogo bardzo cenię, powiedział ostatnio, że jego zdaniem w polityce polskiej rządzą trumny. Obawiam się, że w polskiej kulturze także.

Stanisław BIENIASZ

„Cud nad Tamizą”

Wielkie budowle, tak jak i książki, mają swoje skomplikowane losy. Rozpoczynane pośród długotrwałych zewnętrznych czy wewnętrznych zmagani, kończone są po latach, najczęściej już nie przez tych, co je zaczynali.

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie powstawał latami i to dzięki zbiorowemu wysiłkowi tutejszej emigracji politycznej. Kiedy straciła ona nadzieje na powrót do Kraju, kiedy powstające wciąż nowe organizacje społeczne i kulturalne, polityczne i kombatanckie mnożyły się jak grzyby po deszczu, niejednokrotnie konkurując ze sobą lub powielając działalność, pojawiła się idea stworzenia Domu Polskiego. Zamiast rozpraszania energii, zgromadzić pod jednym dachem większość polskich instytucji i organizacji. Pomysł budowy ośrodka kulturalnego zaczął nabierać kształtów dopiero w 1963 r., a w rok później dokonano formalnego powołania do życia POSKu jako instytucji charytatywnej. Nastąpiło to 23 lipca 1964 r. i data ta stanowi początek jego istnienia. Ale droga do poświęcenia kamienia węgielnego w 1971 i otwarcia w grudniu 1974 zachodniej części gmachu była jeszcze bardzo długa i najezona trudnościami, zdawało się nie do pokonania. Przede wszystkim należało przekonać polską społeczność emigracyjną w Wielkiej Brytanii o potrzebie budowy placówki kulturalnej i zjednoczenia wszystkich działań. Tymczasem powstanie POSKu wywołało falę wątpliwości i pytań, ba, utworzyły się nawet obozy zwalczające jego ideę. Prof. Roman Wajda, z zawodu inżynier, saper w 3 Dywizji Strzelców Karpackich, stanął na czele POSKu i prowadził to dzieło mimo niekończących się kłopotów finansowych i merytorycznych.

Cała akcja polskiej emigracji zaczęła się od 300 funtów wpłaconych przez założycieli ośrodka. Suma śmieszna, ale uchwały stowarzyszenia Techników Polskich oraz Polish University College Association, gdzie wykładał prof. Wajda, przekazujące POSKowi swe

nieruchomości, stwarzały realne szanse rozpoczęcia budowy. Po jakimś czasie pojawił się nawet entuzjazm. Toteż na dramatyczny apel prof. Wajdy w 1971 społeczeństwo polskie zareagowało pozytywnie. Zainicjowano wtedy instytucję fundatorów. Polegała ona na tym, iż każda osoba fizyczna lub prawna, ofiarowująca POSKowi £250, stawała się jego fundatorem i miała znaleźć się na specjalnej pamiątkowej tablicy w powstającym gmachu. Kalkulowano wówczas, iż tysiąc fundatorów spłaciłoby całe zadłużenie POSK-u. Tymczasem idea Domu Polskiego przerosła najśmielsze oczekiwania projektodawców — POSK rozrastał się, dokupywano coraz to nowe parcele, dobudowywano kolejne skrzydła, pomnażano ilość podtrzymujących gmach filarów, aby zapewnić siedzibę następnej organizacji.

Książka *Cud nad Tamizą — 25 lat Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Wielkiej Brytanii** daje obraz skutecznego działania polskiej emigracji. Pisze o tym głównie redaktor wydania *Cudu nad Tamizą*, znany historyk dr Józef Garliński. Książka ta jest pierwszą pracą poświęconą dziejom POSK-u i stanowi swego rodzaju encyklopedię wiedzy o nim. Otwiera ją artykuł wstępny obecnego prezesa Szymona Zaremby, który doczekał szczęśliwego momentu w życiu ośrodka: spłacenia wszystkich długów. Zarysu dziejów POSK-u w trzech częściach dokonał dr Garliński, dając rzetelną historię placówki *ab ovo* — od pierwszego pomysłu poprzez całe 25-lecie jej działalności. O sprawach finansowych pisze Czesław Woyno, przybliżając ten temat czytelnikowi zestawem wykresów, darów i planów budżetowych. Inżynier Ryszard Gabrielczyk, główny budowniczy POSK-u po śmierci prof. Wajdy w grudniu 1974, opisuje w artykule „Jak budowaliśmy POSK” blaski i cienie powstawania gmachu przy zbiegu King Street i Ravenscourt Avenue (Hammersmith). Natomiast dwukrotny prezes Tadeusz Walczak poświęca nieco uwagi informacji i propagandzie. Znaczną część książki zajmuje „Życie kulturalne”. Należałoby wymienić zawarte w niej podrozdziały, ponieważ dają one przekrój bogatej działalności kulturalnej i artystycznej ośrodka. Polski Uniwersytet na Obczyźnie omawia Alicja Moskalowa, a w następnej kolejności zarejestrowane są: b) Teatry — „Syrrena”, „Pro Arte”, Związku Artystów Scen Polskich, „Nowy”; c) Czwartki w POSK-u; d) Filmy; e) Sztuki polskie w języku angielskim; f) Imprezy angielskie w POSK-u; g) Konfraternia Artystów Polskich w W. Brytanii; h) Wieczory Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie; i) Wystawy. Zawartość książki uzupełniają wykazy organizacji i nazwisk, lista fundatorów (1839 osób), spadkodawców (164 osoby), komisji i organizacji mieszczących się w ośrodku. Zawiera ona wszystkie znaczące fakty i wydarzenia, tysiące nazwisk, dziesiątki fotografii etc. Właściwie można, bez większego błędu, powiedzieć, iż nikt ważny dla powstania ośrodka nie został w niej pominięty.

Opisane w *Cudzie nad Tamizą* problemy finansowe, ratowanie

* POSK, Londyn 1989, str. 205 (48 stron fotografii), cena £8.00.

POSKu z długów, umowy z brytyjskimi bankami, zadłużenia ośrodka na miliony funtów i wychodzenia z nich, ujęte są w książce rzeczowo i, o dziwo, w lekturze okazują się tematem niezwykle frapującym, nie mniej od niejednej przygodowej pozycji. Dzięki temu powstała książka, którą się dobrze czyta (tylko 205 stron tekstu) i rozpatruje w kategoriach małej encyklopedii wiedzy o POSKu. Szkoda, że nie zamieszczono w niej kilku świetnych anegdot, osobistych zwierzeń, opisu zabawnych zdarzeń, których nie brakowało w minionym 25-leciu. Najważniejsze jednak, że POSK zaistniał, od ubiegłego roku już bez żadnych długów i z coraz żywszym, bo zabezpieczonym materialnie, tempem działalności kulturalnej zwłaszcza na odcinku młodzieży, pomocy Krajowi i współpracy z brytyjskimi placówkami. Nie ulega już żadnej wątpliwości, iż POSK wychodzi z emigracyjnego getta, biorąc udział w wymianie artystycznej i kulturalnej z wieloma krajami osiedlenia polskich emigrantów.

Regina WASIAK TAYLOR

Polacy w Brytyjskiej Kolumbii

Pod powyższym tytułem ukazała się obszerna praca zbiorowa pod redakcją pp. Bogdana Czaykowskiego, Małgorzaty Tworzeckiej i Elżbiety Fedyczkowskiej. Jest to — jak zresztą głosi podtytuł — zbiór szkiców i materiałów, a prof. Czaykowski w przedmowie zaznacza, iż nie jest to dzieło naukowe — a więc może zawierać nieścisłości, opracowania nie posiadają wszystkich wymogów naukowych — tylko „zbiór materiałów dla przyszłego badacza”. Otóż nie tylko! Jest to bowiem również ważna pozycja dla współczesnych: wielostronny zarys życia i działalności polskich emigrantów w dynamicznej prowincji Kanady.

Bogdan Czaykowski jest autorem zwięzłego informacyjnego wprowadzenia „Zarys historii Polaków w Brytyjskiej Kolumbii”. W oparciu o dane statystyczne szkicuje stan liczbowy, strukturę w prowincji, Vancouverze i innych ośrodkach. Emigracja polska do Brytyjskiej Kolumbii jest raczej późna i narastała powoli. Według kolejnych spisów ludności liczby Polaków przedstawiały się następująco:

1911 r. —	560
1931 r. —	4.599
1951 r. —	16.301
1971 r. —	29.995
1981 r. —	45.875

W całej Kanadzie w/g spisów było ludności polskiej grupy etnicznej:

1931 r. —	145.503
1951 r. —	219.845
1971 r. —	316.475
1981 r. —	404.475

Statystyczna przynależność do polskiej grupy etnicznej (do innych również) nie jest równoznaczna z pełnym polskim pochodzeniem, znajomością języka, posługiwaniem się nim w domu. Różnice są duże, przy każdym spisie większe, odnośnie pochodzenia, języka ojczystego i posługiwania się nim w domu. W 1981 r. na 404.475 członków grupy polskiej tylko 254.485 było czysto polskiego pochodzenia, tzn. nie z mieszanych małżeństw. W Brytyjskiej Kolumbii jednorodna grupa polska w 1981 r. liczyła 23.795, czyli spadła w stosunku do liczby zarejestrowanej w poprzednim spisie. Bogdan Czaykowski wskazuje, że we wszystkich prowincjach szybko maleje liczba osób posługujących się językiem polskim, przy czym w Br. Kolumbii proces ten jest szybszy. Składa się na to wiele czynników: wysoki procent ludzi urodzonych w Kanadzie, znaczna liczba małżeństw mieszanych. Napływ imigrantów w latach 80-tych być może zmieni ten stan.

Praca podzielona jest na cztery części; 1) materiały i relacje, 2) sylwetki, 3) organizacje i stowarzyszenia polonijne, 4) opracowania. Autorów jest sporo, relacje są osobiste, mają charakter pamiętnikarski. Niektóre sylwetki są pióra najbliższych członków rodziny, inne przyjaciół. Artykuły o organizacjach to zwięzłe sprawozdania, z wypukleniem najważniejszych osiągnięć. Ostatnia część opracowania zawiera trzy szkice: Polacy i Kościół w Brytyjskiej Kolumbii p. Miłostawy Boskiej i ks. Fr. Kosakiewicza, wkład Polaków do życia naukowego, szkolnictwa wyższego i lecnictwa Brytyjskiej Kolumbii pióra Romana Sabo i Elżbiety Fedyczkowskiej, artyści polscy w Vancouverze. Tom zamyka krótki artykuł Bożeny Felsz pt. „Nowa emigracja w Vancouverze”.

Materiał różnorodny, bogaty, barwny. Polonia w B.K. nie jest liczna, ale aktywniejsza od liczebniejszej w innej prowincji. Usadowiło się tutaj szereg wybitnych, nieprzeciętnych Polaków, obok naukowców, artystów i poetów. Czy tylko klimat decydował o wyborze miejsca osiedlenia?

Kariera kanadyjska niemal wszystkich była podobna. Niezależnie od dawnego zawodu — z wyłączeniem lekarzy — rozpoczęto nowe życie od najniższego szczebla; każdej pracy fizycznej: na fermie, w lasach, tartakach, fabrykach, nieliczni startowali na własnych gospodarstwach. Powoli następowały zmiany, przesunięcia na drabinie społecznej.

Powojenna emigracja uruchomiła życie społeczne. Powstały — i działają — różne stowarzyszenia, organizacje, kluby towarzyskie nie tylko w stołecznym mieście, ale i w małych. Prominenci — co odegrało wielką rolę — wszystkie odmiany nie tylko udzielali się spo-

czności, ale byli niezwykle aktywni, na niektórych odcinkach wręcz organizowali lub inspirowali pewne akcje i imprezy. Np. komandor Pławski prowadził przez trudny okres polski program radiowy, profesorowie Busza i Czaykowski udzielali się organizacjom, programom radiowym, imprezom kulturalnym, inni prowadzili działalność społeczną, oświatową. Stowarzyszenia względnie ich członkowie i członkinie włączały się do różnych imprez o charakterze ogólnym, kanadyjskim. Organizacje kobiece współpracowały z prowincjonalną Ligą Kobiet Katolickich itp.

W rozdziale „Wkład Polaków do życia naukowego” zarejestrowane są 22 nazwiska, w tym profesorów względnie wykładowców University of British Columbia: Babicki, Biliński, Busza, Czaykowski, Dybikowski, Folejewski, Freyman, Grzybowski, Laskowski, Opęchowski, Solecki, Stankiewicz, Zeldowicz. To najbardziej znani przedstawiciele kilku dyscyplin naukowych. Do wymienionych szkicu dochodzą jeszcze inni wybitni specjaliści zatrudnieni w instytucjach naukowych, zakładach badawczych itp. Artystów prezentuje grafik Elżbieta Fedyczkowska — pomijając zresztą siebie: Krzysztof Czartoryski, Eugenia Greinert, Ewa Kupczyńska, Zbigniew Kupczyński, Stefan Leskard, Joanna Staniszkis, Maciej Walentowicz i Stanisław Zalot. Imponujący zestaw, w którym jest kilkoro szeroko znanych, świetnych artystów. Brak wśród wymienionych zmarłych: doskonałego malarza Witolda Kuryłowicza i Stanisława Bridge'a. Ten ostatni, podobnie jak Stanisław Zalot, to amator rzeźbiarz, którego prace eksponowano na międzynarodowych wystawach.

Liczne fotografie stanowią uzupełnienie tekstu. Praca jest cenną pozycją o dziejach emigracji polskiej w Kanadzie.

Benedykt HEYDENKORN

Polacy w Brytyjskiej Kolumbii — zbiór szkiców i materiałów. Redaktorzy: Bogdan Czaykowski, Małgorzata Tworzecka, Elżbieta Fedyczkowska, str. 555, wyd. Towarzystwo „Watra”.

Recenzja bez adresata

Dziwna książka, nie trafiłbym na nią, gdyby nie przysłał mi jej redaktor *Kultury*. Stale czytuję dziwne teksty, ale ze wszystkich moich lektur w ostatnim czasie ta jest chyba najbardziej egzotyczna¹. Wydane domowym sposobem wspomnienia starego Żyda,

1. Boruch Müller. *Szukałem sprawiedliwości*. Tel Aviv 1989. s. 141+3 nłb. Ewentualnych czytelników, a zwłaszcza tych, którzy mogą korzystać z książki jako źródła, przestrzegam przed wyjątkową ilością błędów, wygląda

zwracające się do izraelskiego czytelnika. Takich książek — o tym mało wiadomo w Polsce — ukazało się po II wojnie światowej dość dużo: zyciorysy starych Żydów naszej epoki fantazyjnością i powikłaniem przekraczają wyobraźnię filozofów. Zyciorysy polskich Żydów proszą się o utrwalenie, w Izraelu i nie tylko w Izraelu ukazuje się dużo żydowskich biografii i autobiografii. Książka Müllera mieści się w tym nurcie i nie powinna dziwić... A jednak dziwi, bo zwracając się do izraelskiego czytelnika, napisana i wydrukowana jest po polsku, jako że polski jest językiem autora.

Jest to szczególna polszczyzna, leksyką, semantyką i składnią odbiegająca nie tylko od literackich wzorców, ale i od tego, co przyjęło się uważać za kanon elementarnej poprawności językowej. Ten język brzmi w moich uszach jak róg Wojskiego, jak głos zamilkłego świata, czegoś, co już dawno grać przestało i tylko odzywa się niespodzianym echem. Wiadomo, że Żydzi polscy wytworzyli w swoim czasie swój szczególny język polski, tak jak Murzyni amerykańscy *Pidgin English*, polszczyznę będącą przedmiotem drwin, nie tylko antysemitów, ale i kulturalnych Żydów, temat łatwych dowcipów, bazę *szmoncesu*, swoistego dowcipu, w którym nieporozumienia semantyczne odgrywają zasadniczą rolę. Współczesne językoznawstwo rehabilituje dialekty i traktuje ongiś pogardzane *żydotczenie* o wiele bardziej wyrozumiale, widzi w nim jeden z dialektów polszczyzny, podobnie jak zanikający na naszych oczach lwowski *batak*.

Chyba coś z dialektu zachowało się w powiatach dolnośląskich, czy wśród bohaterów prozy Henryka Grynberga; czasem w kulturalnym salonie warszawskim można było usłyszeć jakiś zwrot dowodzący, że coś z dialektu błąka się w tłumie, ale od lat ponad czterdziestu nie przytrafiło mi się go słyszeć jako języka mowy codziennej. Zainteresowani życiem żydowskim pisarze próbowali kilkakrotnie odtworzyć ten dialekt, ale z miernym rezultatem, chyba dlatego, że zafascynowani pleonazmami, nie wnikali w jego swoistą strukturę logiczną, nawet językowo wyczulony i ożywiony najlepszą wolą Gołubiew nie wznosił się ponad imitację.

Wspomnień Müllera nie sposób analizować jako literatury, są one jednak źródłem dużej wartości dla językoznawcy, mają także — w jakimś stopniu — znaczenie dla historyka, socjologa czy etnografa.

Niestety, książka Müllera jest tylko konspektem zyciorysu: potrąca o mnóstwo zagadnień i żadnego z nich nie rozwija, nasuwa pytania, ale na nie nie odpowiada. Myśl przewodnią chyba wyraża tytuł, ten o poszukiwaniu sprawiedliwości, a więc o postawie aktywnej wobec życia, ale tekst sugeruje raczej człowieka biernego, miotanego przez historię i tylko łudzącego się, że dokonuje wyboru. Chyba na tym polega główna wartość przedstawionego opisu.

na to, że nikt nie zrobił korekty składu. Mniejsza o literówki, gorzej gdy w składzie, tak przypuszczam, zostały zmienione daty i przekreślona onomastyka.

Spróbujmy przedstawić najważniejsze wątki siedemdziesięcioletniego żywota. Autor urodził się w 1913 roku w Leżajsku, miasteczku galicyjskim, w wielodzietnej, pobożnej rodzinie. Jego dzieciństwo i młodość przypadły na krótką polską niepodległość. Boruchowi Müllerowi niewiele ona miała do zaoferowania, polskiej ludności Małopolski też nie, skoro nie przestawała tęsknić za Franciszkiem Józefem. Żydowska bieda miasteczkowa, cheder jako surrogat szkoły, brak zawodu, brak nadziei na przyszłość, bezwyjściowa sytuacja autora i całej tej warstwy społecznej.

Komunizm nie był jedyną możliwą opcją, komunizm wybierała tylko mała część młodzieży żydowskiej, ale opcje były ograniczone i mało która prowdziła do celu. Rozpadały się tradycyjne struktury społeczne i zakorzenione w zastarzałej religijności ideologie. Wychodzenie poza getto było wkroczeniem w świat bez struktury. Komunizm obiecywał zarówno wprowadzenie ładu, jak i nadanie sensu egzystencji. Tego Müller nie pisze, ale to da się odczytać z jego wspomnień. Komunizm, obiecując raj w przyszłości, doraźnie jednak narzucał dużą dozę wyrzeczeń, tryb życia bardziej lub mniej nielegalny i nieuchronne więzienie. Autor zajmował stanowisko szeregowce, ale nie ominął go wieloletni wyrok i ciężkie więzienie. Więzienie oznaczało nie tylko represje, ale i kontakt z ludźmi o wyższym wykształceniu i, co za tym idzie, jakąś chaotyczną możliwość, może nie tyle doksztalcenia, co opanowania prostych sloganów, zastępujących ekonomię polityczną, socjologię, historię.

W 1939 roku, prosto z więzienia Müller jako ochotnik bierze udział w obronie Warszawy. Wojnę spędza w ZSSR, komunizm, dotychczas będący konstrukcją intelektualną, rozczarował go; za słowa profanujące świętość Stalina o mały włos nie trafił do więzienia, zadenuncjowany przez towarzysza-fanatyka, ale życie nie nastroczało mu wyboru; nadal tkwił w środowisku komunistycznym.

Historyków zainteresuje informacja o tym, jak władze sowieckie nasytały swoich ludzi do II Korpusu. Kazano się tam zgłosić i Müllerowi, ale otrzymał kategorię E: mimo dobrego zdrowia uznano go za zupełnie niezdadnego do służby. W tym wypadku odrzucono człowieka, starającego się przeniknąć do wojska celem prowadzenia w nim sowieckiej roboty, ale wątpliwe, by ta kategoria E była wynikiem rozeznania, Żydom dawano ją z reguły. Były ma się rozumieć i wyjątki.

Müller wstąpił w 1943 roku do tzw. Dywizji Kościuszkowskiej. Po krótkim przeszkoleniu otrzymał stopień oficerski, walczył pod Lenino. Bitwę tę, inaczej niż propaganda i historiografia PRL, widzi jako masakrę źle uzbrojonych i słabo przeszkolonych żołnierzy polskich. Prawda — zaznaczmy — jest po stronie Müllera. Później szlak bojowy w batalionie szturmowym. Gdy pod koniec 1945 roku przyjechał do rodzinnego Leżajska, okazało się, że nikt z bliskich nie ocalał. Przez znajomych Polaków przyjęty został życzliwie, ale w noc po jego przyjeździe oddział NSZ Wołyniaka zrobił najazd na miasteczko w celu wymordowania pozostałych przy życiu Żydów.

Müller tylko przypadkiem uszedł żywy.

Po wojnie Müller ożenił się z dziewczyną, wywodzącą się z jego warstwy społecznej, z żydowskiej nędzy.

Jako komunista z przedwojennym stażem został wysunięty na odpowiedzialne stanowisko, wymagające większego wykształcenia, niż to, którym się legitymował. To też przyczynek, a może nawet więcej, do dziejów PRL. Zrobił karierę, choć raczej skromną. Życiową kartą była dlań praca w urzędzie repatriacyjnym, kierowanie pociągami, przywożącymi powracających z ZSSR. Później pracował w Wojskach Ochrony Pogranicza, przeszedł przez szkołę partyjną, zajmował stanowiska dyrektorskie, ale coraz to spadał na niższe szczeble. Swoje niepowodzenia tłumaczy antysemityzmem, zarówno dekretnym jak i prywatnym, ale nie wszystko da się chyba wytłumaczyć w tak prosty sposób. Nie miał chyba kwalifikacji na stanowisko dyrektora ekonomicznego centralnego zarządu jakiegoś tam budownictwa. W 1968 roku był już na podrzędnym stanowisku. Gdy zaczęła się wokół niego rozróżba, wystąpił z PZPR i wyemigrował do Izraela.

Z perspektywy izraelskiej podsumowuje swoje życie. Jest wierny etosowi lewicy, ale to co zbudowano w bloku sowieckim nie jest socjalizmem. Stwierdza, że komunizmu w Polsce nie uda się narzucić, bo „...naród polski ma inną historię. Nie znosi okupacji (...) Historia wykazała, że nie można siłą ujarzmić żadnego narodu, a szczególnie narodu polskiego, który tak kocha swą wolność i niepodległość”. W ocenie antysemityzmu w Polsce, dla niego problemu drastycznego, jest powściągliwy, nie generalizuje.

W Izraelu znalazł pracę, ma znajomych, ale czuje się obco. Na problemy izraelskie nie zamyka oczu. Jeszcze bardziej obco poczuł się, gdy odwiedził w Stanach Zjednoczonych odnalezioną rodzinę. Po śmierci żony, o której pisząc zawsze dodaje przymiotnik *ukochana* lub *najukochańsza*, napisał wspomnienia. Ma wrażenie, że cały świat winien się nim zainteresować, ale obawiam się, że to kolejne złudzenie. Müller napisał książkę, która mało kogo będzie interesowała. Świat do którego się zwraca przestał istnieć. Zniknął nie tylko z ulic polskich miasteczek. Język polski, będący w Izraelu ćwierć wieku temu drugim językiem, nie tylko utracił swą pozycję, ale po prostu jest w zaniku.

Gdy byłem tam po raz pierwszy w 1974 roku, mogłem wszędzie porozumieć się po polsku, w 1988 roku już tylko gdzieniegdzie. Mało który kraj jest przez władze PRL tak izolowany jak Izrael. Wygląda na to, że wszyscy poza wyjątkami są zainteresowani w tym, by język polski w Izraelu zaniknął. Napisał więc Müller o sobie i dla siebie. Żyd wiecznie bez domu, tułacz, nigdzie nie potrzebny, zostawia po sobie ślad w postaci książki, tak samo jak on bezdomnej.

Józef LEWANDOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- ALBERT (Andrzej). *Najnowsza historia Polski 1918-1980*. Str. 1093 i 9 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1990).
- Mickiewicziana w zbiorach Tomasza Niewodzańskiego w Bitburgu. *Listy Adama Mickiewicza do Edwarda Odyńca i innych adresatów 1828-1852; „Dzienniczek podróży” Antoniego Edwarda Odyńca 1834-1848*. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut Darmstadt 1990).
- ZALESKI (Marek). *Mądrym biada? Szkice literackie*. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1990).
- Poznajmy naszą przeszłość. Zarys wiadomości z dziejów Polski od Piastów do 1945 roku*. Opracował St. Kościółkowski. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, Londyn 1990).
- GAŁKA (Andrzej, ks.). *Dzieje ojczyzny w nauczaniu pielgrzymkowym Jana Pawła II*. Str. 24 (Wyd. Fundusz Wydawniczy Publikacji Religijnych, Hamburg 1989).
- ROS (Jerzy). *Uśmiech rekina. Opowiadania prawdziwe, prawdopodobne i fantastyczne*. Str. 256. (Wyd. nakładem Autora, Elmwood Park IL, USA 1990).
- CHUDY (Wojciech). *Filozofia wieczysta w czas przelomu. Gdańskie wykłady z filozofii klasycznej z roku 1981*. Str. 171 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka Spotkań, Lublin-Warszawa-Kraków 1986, cena zł 480).
- MAZOWIECKI (Tadeusz). *Druga twarz Europy*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka Więzi, Warszawa 1990).
- KEMPF (Andrzej). *O XI-wiecznym metropolicie kijowskim Hilarionie i Hilarionowym „Słowie o Zakonie i Łasce”*. (Nadbitka z *Rocznika Teologicznego* XXIX z.2 1987).
- ŁOJEK (Jerzy, ps. Leopold Jerzewski). *Agresja 17 września 1939*. Str. 201 i 3 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- Akcja Tekst — jednodniówka ruchu artystycznego „Świat”. Sztuka, literatura, eseistyka*. Str. 62 i XVI. (Wyd. Stow. Ruchu Artystycznego „Świat”, Warszawa 1990).
- KARPINSKI (Wojciech). *W Central Parku*. Str. 178 i 6 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1989).
- POLESKI (Maciej). *Mały demokracja*. Str. 64 (Wyd. Porozumienie Ponad Podziałami, Warszawa 1990).
- KASPER (Jan). *Zwierzęta doświadczalne*. Str. 50. (Wyd. Nadnoteczkie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Piła 1990).
- SITKOWSKA (Maryla, red.). *Sztuka najnowsza — co słychać*. Str. 272. (Wyd. Wydawnictwo Andrzej Bonarski, Warszawa 1990).
- Rocznik podkowiński, numer specjalny „Katyń”*. Str. 40. (Wyd. Parafialny Komitet Pomocy Bliźniemu w Podkowie Leśnej, 1990).
- BRANDYS (Kazimierz). *Carnets Paris 1985-1987*. Przeł. z polskiego Thérèse Douchy. Str. 245 i 7 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1990, cena F. 130).
- Cross Currents. A Yearbook of Central European Culture*. Nr. 9. Str. 423 i 1 nlb. (Wyd. Dept. of Slavic Languages and Literatures of the University of Michigan, Ann Arbor 1990).
- TAYLOR (Nina). *The Lost Land of Lithuania: The Polish Emigre Perspectives in the Novels of Józef Mackiewicz*. (Nadbitka ze *Slavic and East European Journal*, vol. 33, nr 2, Summer 1989).
- GIEDROYC (Michał). *The Arrival of Christianity in Lithuania: Baptism and Survival (1341-1387)*. (Nota-

- tka z *Oxford Slavonic Papers*, vol. XXII, wyd. The Clarendon Press).
- LEMPP (Albrecht, opr.). *Initiativen kultureller Zusammenarbeit Bundesrepublik Deutschland — Volksrepublik Polen 1982-1988*. Str. 415 i 1 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1989).
- Studien zu Nationalitätenfragen* nr 5/1989. Str. 144. (Wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1989).
- Jahrbuch der Ukrainekunde 1989*. Str. 340. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, Monachium 1989).
- BRANDYS (Kazimierz). *Die Art zu leben*. Przel. z polskiego Walter Thiel. Str. 163 i 13 nlb. (Wyd. Suhrkamp, Frankfurt/M 1990).
- Deutsch-polnische Ansichten zur Literatur und Kultur. Jahrbuch 1989*. Str. 253 i 11 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1990).
- KULA (Witold). *Riflessioni sulla storia*. Przel. z polskiego Marta Herling. Przedmowa Bronisława Baczki. Str. 234 i 4 nlb. (Wyd. Saggi Marsilio, Wenecja, 1990).
- Annali*, vol. XXII-1988. Str. 463 i 9 nlb. (Wyd. Fondazione Einaudi, Turyn 1988).
- GOMBROWICZ (Witold). *Bacacay*. Przel. z polskiego Riccardo Landau. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Feltrinelli, Mediolan 1989).
- SZTURMAN (Dora). *Marksizm: nauka ili utopia?* Str. 161 i 5 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- ZIEMCOW (Iłja). *Realnost' i grani pieriestrojki (sprawocznik)*. Str. 470. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- AGRANIANC (Oleg). *Wrag naroda. Podtyj dokument. Ochotnik za prawdoj. Piesy*. Str. 272. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- FAIN (Ester). *Po dorogam, nie nami wybrannym*. Str. 296 i 4 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- NIŁOW (Grigorij, i.e. KRAWCOW Aleksandr). *Grammatika leninizma*. Str. 212 i 4 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- SIRC (Ljubo). *Siegodniasznie perspektivy sowietskoj ekonomiki*. Str. 34 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- HOFFMANN (Joachim). *Istoria władowskoj armii*. Str. 379 i 3 nlb. Z niem. przelozył E. Gessen. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).
- RACZINSKAJA (Jelizawieta). *Kalejdoskop žyżni. Wospominanija*. Str. 429 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).
- TRUBIECKOJ (kniaź Siergiej Jewgieniewicz). *Minuwszeje*. Str. 290 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1989).
- SZTURMAN (Dora). *Moja szkoła*. Str. 152. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- Bohoslovija*, tom LI. Str. 222 i 4 nlb. (Wyd. Ukrainiśkie Bohoslovskie Naukove Tovaristvo, Rzym 1987).
- Bohoslovija*, tom LII. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Ukrainiśkie Bohoslovskie Naukove Tovaristvo, Rzym 1988).
- WYTWYCKY (Wasył). *Muzycznymi szliachami*. Str. 215 i 5 nlb. (Wyd. *Suczasnist'*, 1989).
- Encyklopedia Ukrainoznawstwa. Słownikowa czastina 10 (X-JA)*. Str. 3605-4015 i 1 nlb. + dodatek *Fundatori Encyklopedii Ukrainoznawstwa*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Naukowe Towaristwo im. Szezczenka i wyd. „Mołode Žyttja”; red. prof. Wołodymyr Kubijowicz, Paryż-Nowy Jork, 1984).
- DOBRIANŠKYJ (Michaiło Demkowicz). *Ukraina i Rosja*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Ukrainiśkiego Katolickiego Uniwersitetu sw. Klimenta Papi, tom LXVII, Rzym 1989).

Instytut Literacki w Kraju

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH NIEZALEŻNYCH (UZUPEŁNIENIA) (c.d. *Kultura* nr 1/496-2/497, 5/500, 11/506)

- BARAŃCZAK Stanisław: *Etyka i poetyka* [1979]. Kraków, ABC, 1981.
- BOBKOWSKI Andrzej: *Coco de Oro* [1970]. Warszawa, OFICYNA LIBERALÓW, 1989.
- BRANDYS Kazimierz: *Miesiące, 1985-1987*. [1987]. Warszawa, NOWA, 1989 [wyd. rozsz.].
- : *Nierzeczywistość* [1978]. Polska 1981.
- BUGAJSKI Ryszard: *Przesłuchanie* [1983]. Warszawa, RECTO, 1989.
- HAUPT Zygmunt: *Szpica* [1989]. Kraków, OFICYNA LITERACKA, 1989.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Skrzydła ołtarza* [1960]. Toruń, TO, [1986].
- MACKIEWICZ Józef: *Kontra* [1957; wyd. 2 i 3 Londyn, KONTRA, 1982, 1985], Warszawa, WERS, 1988; Warszawa, BAZA, 1989.
- : *Nie trzeba głosu. mówić* [1969; wyd. 2 i 3 Londyn, KONTRA, 1980, 1985]. Warszawa, BAZA, 1989.
- MIŁOŚZ Czesław: *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada* [1974]. Warszawa 1980; wyd. anon. [1981].
- : *Miasto bez imienia* [1969]. Wyd. anon. [1981].
- : *Ogród nauk* [1979]. Wyd. anon. [1981].
- : *Zdobycie władzy* [1955]. Warszawa, RECTO, 1989.
- : *Ziemia Ulro* [1977]. Polska 1981.
- : *Zniewolony umysł* [1953]. Wyd. anon. [1981].
- NOWAKOWSKI Tadeusz: *Syn zadumionych* [1959]. Warszawa. NIEZALEŻNY INSTYTUT WYDAWNICZY, 1981.
- PAWLIKOWSKI Michał: *Wojna i sezon* [1965]. Warszawa, PoMOST, 1989.
- Przeciw niewolnictwu. Głos wolnej Rosji* [1973]. Warszawa, SIGNUM, 1981.
- ROUX Dominique de: *Rozmowy z Gombrowiczem* [1969]. Warszawa, KLON, 1988.
- SOLŻENICYN Aleksander: *Archipelag Gulag, 1918-1956* [1974-1978]. Warszawa, WERS, 1989.
- SUKIENNICKI Wiktor [oprac.]: *Biała Księga* [1964]. Kraków, NZS UJ JAGIELLONIA, 1981.
- TARNIEWSKI Marek [Jakub Karpiński]: *Krótkie spięcie* [1977]. Warszawa, KRAĞ, 1981.
- : *Płonie Komitet* [1982]. Warszawa, GO „SOLIDARNI”, 1989.
- : *Porcja wolności* [1979]. Warszawa, GO „SOLIDARNI”, 1989.

ZAREMBA Paweł: *Historia dwudziestolecia*. T. 1-2. [1981]. SUPLEMENT 1981; Warszawa, ZBLIŻENIA, 1981. [w 3 cz.].

ZESZYTY HISTORYCZNE

— wybór z nr 76-77. Kraków, KTW, 1986.

— 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 90. Warszawa, PoMOST, 1989.

KULTURA

— wybór z rocznika 1987. Warszawa, CDN, 1988.

1989: 9/504, 10/505, 11/506, 12/507. Warszawa, MYŚL, 1989.

1990: 1/508-2/509. Warszawa, MYŚL, 1990.

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH
OFICJALNYCH

HŁASKO Marek: *Piękni dwudziestolenni* [1966]. Warszawa, ALFA, 1989.
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Inny świat* [1965]. Warszawa, CZYTELNIK, 1989.

MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy*. [1955]. Kraków, WYD. LITERACKIE, 1989.

—: *Widzenia nad zatoką San Francisco* [1969]. Kraków, WYD. LITERACKIE, 1989.

—: *Zniewolony umysł* [1953]. Kraków, KAW, 1989.

NOWAKOWSKI Marek: *Raport o stanie wojennym* [I-1982, II-1983]. Białystok, ZW VERSUS, 1990. [w 1 wol., il.].

STALIŃSKI Tomasz [Stefan Kisielewski]: *Widziane z góry* [1967]. Warszawa, ISKRY, 1989.

SZCZYPIORSKI Andrzej: *Początek* [1986]. Poznań, INSTYTUT ZACHODNI, 1989.

„TRZY ODDECHY LITERATURY EMIGRACYJNEJ”
— KRYTYKA

Publiczność w Polsce niewiele w sumie wie o literaturze emigracyjnej. Dlatego takie teksty jak szkic Stanisława Beresia „Trzy oddechy literatury emigracyjnej” są niezwykle potrzebne, zwłaszcza czytelnikowi krajowemu. Jak mi niemam, tekst ten ma także ambicje szkicu krytyczno-literackiego. Również tego typu prac niezbyt wiele mamy tu — w kraju. Tak więc, zarówno jako tekst informujący, jak i interpretujący zjawiska literackie szkic Beresia powstał „na czasie”.

Niemniej jednak błędy i niekonsekwencje, jakie popełnił autor, podrywają zaufanie czytelnika do tekstu jako całości.

I tak, autorem „Uciekiniera z utopii” nie jest Tomasz Burek, tylko Stanisław Barańczak i jest to błąd z rodzaju kompromitujących; zwłaszcza, że eseje Barańczaka zostały uznane dość powszechnie za jedno z najwnikliwszych studiów poezji Zbigniewa Herberta (s.157)*.

Dalej, systematyzując poezję okresu „przenikania” (1976-89) obok Miłosza, Barańczaka, Zagajewskiego (dwaj ostatni poeci nie tak dawno nb. zostali emigrantami) jednym tchem wymienia autor wiersze Tomasza Jastruna, Bronisława Maja; a charakteryzując prozę, obok Odojewskiego, Brandysa, Herlinga-Grudzińskiego wymienia Jarosława Marka Rymkiewicza, Marka Nowakowskiego, Jana Józefa Szczepańskiego (s. 156-157). Otóż, jak dobrze wiadomo, żaden z wymienionych w drugiej kolejności autorów nie jest emigrantem, a niektórzy do niedawna mieli nawet kłopoty z otrzymaniem paszportu. Co miało więc oznaczać owo wymienienie — obok pisarzy emigracyjnych — także pisarzy krajowych? Jeżeli Beres chciał pokazać, iż w okresie „przenikania” rzeczywiście następuje „wymiana” literatury (niektóre książki z kraju pojawiają się na emigracji i odwrotnie) należało to w tekście wyraźnie zaznaczyć, bo tak — ze zdumieniem — dowiadujemy się, że współpracujący w

* Błąd ten spowodował zwykły chochlik drukarski przez przeskoczenie jednego wiersza, wyjaśniliśmy to w następnym numerze — Red.

okresie stanu wojennego z prasą podziemną (i aresztowany zresztą za tę działalność) Marek Nowakowski jest autorem emigracyjnym! Poza tym nawet jeśli zamiar pokazania owego „przenikania” patronował tak nieszczęśliwym zabiegom autora szkicu, to nadal nie wyjaśnia to niekonsekwencji. Przecież i wcześniej, przed 1976 rokiem, ukazywały się na emigracji książki autorów krajowych (Orłoś — „Cudowna melina”, Andrzejewski — „Apelacja”, „Miazga”). W tekście o tym ani słowa. Wreszcie dalsze niekonsekwencje — niewiele miejsca poświęca autor dramatom — Gombrowicza, Mrożka, a przede wszystkim — bo jest to nowość i nie każdy wie o tym — Głowackiego — i jego sukcesom — w Nowym Jorku.

Nie pojawia się w ogóle nazwisko Stefana Themersona. To tak jakby pisać o polskiej prozie z przełomu XIX i XX wieku i nie wymienić Josepha Conrada.

Na koniec drobne nieścisłości: „Oni” Teresy Torzańkiej czy „Hańba domowa” Trznadla nie należą do gatunku „wywiadurzeki”, jak wymieniane np. „Pół wieku czyścica” S. Nowickiego; „Braterstwo albo śmierć” Rutkowskiego nie jest — jak pisze autor — „upoetyzowaną monografistyką”, tylko należy do tego samego nurtu w eseistyce co „Żmut”, „Umschlagplatz” (oraz wydane wcześniej w kraju „Juliusz Słowacki pyta o godzinę”, „Aleksander Fredro jest w złym humorze”) Jarosława Marka Rymkiewicza. Widać wyraźnie, że autor „Rozmów polskich latem 1983” (o których w ogóle nie ma wzmianki w artykule, a przecież to bardzo ważna powieść) jest mistrzem Krzysztofa Rutkowskiego.

Jednym słowem, wszystkie powyżej wymienione błędy i nieścisłości (które może zauważyć czytelnik z kraju, mający akurat dostęp do niektórych pozycji) podważają wiarygodność artykułu tam, gdzie czytelnik krajowy nie ma możliwości osobistej weryfikacji i musi wierzyć „na słowo”.

Swoją drogą dziwne, że *Kultura* zamieszcza teksty, w których znajdują się tak oczywiste pomyłki (bo rozumiem, że przynajmniej niektóre inne z moich uwag można potraktować jako interpretacje odmiennie od autorskich). Czyżby nie było w redakcji nikogo, kto sprawdziłby tekst przed drukiem? Przecież współpracują z Państwem doskonale zorientowani badacze jak Leszek Szaruga i Roman Zimand.

Jarosław KLEJNOCKI

ODPOWIADAM NA ZARZUTY

Jest rzeczą dość normalną, że obywatel naszego kraju, widząc np. odchylony od pionu budynek, w którym na dodatek brakuje kilku balkonów i większości parapetów, nie zakłada, że architekt nie zna geometrii wykreślnej i norm technicznych. Po prostu wie, że jest tysiąc przyczyn, które składają się na taki stan rzeczy: awarie

sprzętu budowlanego, zastoje w transporcie, zablokowanie dostaw cementu, chora żona majstra itd. Kiedy jednak ten sam obywatel czyta artykuł w prasie literackiej, znajdując w nim jawny nonsens, od razu zakłada, że zrodziła go wyłącznie niekompetencja autora, a nie pospolita złośliwość natury. Przykładem tego dziwnego stylu myślenia jest polemika Pana Jarosława Klejnockiego, który wytyka mi błędy z gatunku filologicznego elementarza. W jaki sposób powstały? Odpowiedź na to pytanie przynosi moje sprostowanie w nrze 3 *Kultury* z 1990 roku, za którego zamieszczenie uprzejmie dziękuję.

W dalszej części polemiki znajduję zarzut, iż w części swego szkicu, poświęconej „okresowi przenikania”, mieszam autorów krajowych i emigracyjnych. Czytam w nim najpospolitszą złą wole.

Expressis verbis wyrażoną w tej części (nawet w samym jej tytule) tezą jest przekonanie, iż cechą okresu po 1976 roku jest właśnie zacieranie się granic pomiędzy krajową literaturą podziemną a twórczością emigracyjną. Jest zatem rzeczą oczywistą, że wymieniając utwory tego okresu pokazuję właśnie zjawisko tej wydawniczej i intelektualnej dyfuzji oraz trudności z jednoznacznym dekretoowaniem przynależności pisarzy. W wypadku twórców, którzy publicznie ogłosili swą emigrację, wątpliwości są znikome. Istnieje jednak spora grupa pisarzy, którzy ciągle jeszcze nie zdecydowali o swojej emigracji lub przebywają za granicą okresowo, publikując swe utwory w oficynach emigracyjnych. Istotą jest jednak zjawisko generalne, stwarzające nowe pojęcie „emigracyjności”. Stąd więc obok siebie przykłady utworów pisarzy krajowych, publikujących na emigracji, pisarzy „półemigracyjnych” (wyjazdy okresowe, brak określeń własnego statusu prawnego itd.) i twórców *tout court* emigracyjnych. Nie wiem w jaki sposób można to dobitniej zaznaczyć? Pan Klejnocki nie oczekuje chyba od autorów wstawiania na marginesach ich artykułów not wzmocnienia asercji, specjalnie dla czytelników o obniżonej receptywności?

Podobnie naiwną przyganą jest uwaga, iż przed 1976 zdarzały się już przypadki publikowania na emigracji utworów krajowych. Traktowanie cezury periodycznych jako granicznych zasięgów dowodzi mitologicznych pojęć o historii literatury i jej mechanic. Wstyd mi jakoś tłumaczyć rzeczy tak elementarne, iż daty w periodyzacji są określeniami przybliżonymi, szacunkowymi (często, jak w tym przypadku, symbolicznymi), odnotowującymi przechodzenie zjawisk incydentalnych w tendencję lub normę. A gdyby mój adwersarz chciał być tak uważny jak sobie przypisuje, powinien był wymienić choćby znacznie wcześniejsze publikacje Stefana Kisielewskiego w oficynach emigracyjnych. Dlaczego? Bo już to tylko powinno było uświadomić mu, iż cezury periodyczne nie są barierami celnymi.

Jako przesadną pedanterię (jeśli nie brak znajomości zasad metodologii) traktowałbym też nawoływania o dokładniejszą specyfikację w ramach książek „rozmowowych” i autotematycznej monografistyki. Dzielać twórczość w ramach okresów na podstawowe

grupy (zwłaszcza w opracowaniu o tak szerokim zakresie) trudno wchodzić w podgrupy i podpodgrupy. Czytając opracowanie ogólne z zakresu systematyki, rozumiemy, iż biolog operuje na poziomie typów, podtypów, ewentualnie gromad, nie schodzi zaś niżej do podziałów na rzędy, rodziny, rodzaje i gatunki. Tym bowiem zajmują się prace szczegółowe. I wtedy padają pytania, czym różni się suszeł perełkowany od moregowanego oraz co łączy kułana z osłem nubijskim. Nie inne prawa panują w humanistyce.

Najkrócej mówiąc, odnoszę wrażenie, że mój polemista dział korespondencji wykorzystuje jako miejsce do autoreklamy własnego zaawansowania filologicznego. Gdyby ta strategia nie przesłaniała mu całkowicie widzenia rzeczy, mógłby wszak założyć, że niżej podpisany raczej orientuje się, czy jego własna książka należy do tej samej klasy, co inne „rozmowy”. Podobnie powinien zastanowić się, czy rzeczywiście byłby rad, gdyby autorzy w każdym akapicie otrabiali rzeczy wiadome nawet studentom niższych lat polonistyki (nb. wspólnota *Braterstwa albo śmierci* K. Rutkowskiego z książkami J.M. Rymkiewicza jest tyleż oczywista, co i myląca). Nigdy nie twierdziłem, że utwory te nie mieszczą się w jednym nurcie (po prostu nie wyszczególniałem tej podgrupy), poprzestając na konstatacji zjawiska ogólniejszego — hybrydyzacji.

Każde opracowanie ogólne, zwłaszcza o charakterze periodyzacyjnym, tradycyjnie prowokuje do głosów przyczynkarskich. Zjawisko to tyleż cenne, co i nużące, gdyż do znudzenia powtarza to samo: upominanie się o autorów i tytuły pominięte. Jest rzeczą oczywistą, że wszystkich wymienić się nie da, zwłaszcza w skąnym objętościowo szkicu. Tym zajmą się słowniki (nb. nie wszystkie). Nikt nie zaprzecza znaczeniu Głowackiego czy Themersona, jak dziesiątków innych pisarzy, których obcina brutalna zasada selekcji. Kiedy celem opracowania nie jest pełna ewidencja pisarzy, lecz periodyzacja niemal półwiecza danego piśmiennictwa, jest to sprawa oczywista. Już samo tylko życie powinno uczyć, że kiedy mamy zamiar na nowo podzielić pole pod kolejne uprawy, wjeżdżamy na nie pługiem, a nie wypełnionym po brzegi autobusem.

Na koniec nie mogę wstrzymać się od pouczenia z zakresu *voir-vivre*'u. Kiedy czytam propozycję Pana Klejnockiego, by Redaktor *Kultury* sięgnął po fachowe odwoły, odczuwam zażenowanie. To tak jakby, zaproszony do wytwornej i słynącej z dobrej kuchni restauracji, zapytał szefa kuchni, dlaczego nie zaprosił do przygotowania przyjęcia kolegów z innego lokalu. Widocznie nie było po temu najmniejszej potrzeby, co, ufam, jasno wynika z mojej odpowiedzi. Prawdziwy koneser filologicznej kuchni po prostu odróżnia stołowe wino od wody glauberskiej.

Stanisław BERES

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19.1.90

Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza w Warszawie nadało prof. Danielowi Beauvois z uniwersytetu w Lille tytuł członka honorowego Towarzystwa.

18.2.90

Polska bije nadal rekordy światowe powołań do kapłaństwa. W 1989 r. było 8.819 seminarzystów, wyświęcono 1.152 kapłanów, zaś ogólna liczba księży w Polsce wynosi 24.678.

1.3.90

Dr Jan Draus został mianowany redaktorem naczelnym i dyrektorem rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. Rozgłośnia ta nadaje program dla południowo-wschodniej Polski (około 5 godzin dziennie). Nadaje również audycje w języku ukraińskim. Andrzej Jarecki i Adam Sławiński zostali dyrektorami programu II Polskiego Radia. Stanowisko dyrektora naczelnego rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu objął Lothar Herbst, literat i dziennikarz. Natomiast w Krakowie dyrektorem rozgłośni został Bronisław Wildstein.

15.3.90

Polska nie podpisała umowy na drugi kwartał br. na odbiór bawełny sowieckiej dla polskich przedsiębiorstw, bowiem proponowane przez ZSSR ceny były około 12% wyższe od cen światowych. Zahamowano także eksport polskich tkanin do ZSSR, gdyż proponowane ceny są poniżej opłacalności. Zresztą gatunek tkanin polskich nie jest na poziomie, a ceny wyższe od cen światowych.

18.3.90

Biskup gdański, Tadeusz Wesołowski, został mianowany przez Papieża członkiem Kongregacji do Spraw Biskupów. ■ Ks. Prałat Edward Nowak został przez Papieża podniesiony do godności biskupa i mianowany sekretarzem Kongregacji do Spraw Kanonizacji.

29.3.90

Skandal z Centrum Zdrowia Matki Polki: zakończona inspekcja Najwyższej Izby Kontroli wykazała — po trzymiesięcznej kontroli — zupełnie nieprawdopodobne nadużycia. O aferach z Centrum mówiono już od szeregu lat, ale ranga Pomnika i osób z nim związanych paraliżowały wszelkie krytyki. Nie wiadomo jaki będzie rezultat tej kontroli. Tymczasem w dzień po jej zakończeniu dyrektor Pomnika, Andrzejewski, przyznał sobie 1.380.000 zł nagrody za „wysiłek do granic wytrzymałości, spowodowany kontrolą NIK”. Lista afer coraz bardziej się wydłuża, a nic nie wiadomo, co zrobiono dla ich łepienia.

1.4.90

W Krakowie powstała fundacja św. Włodzimierza Chrzciciela Rusi Kijowskiej. Celem tej fundacji jest wspieranie i popularyzacja nauki i kultury ukraińskiej w Polsce oraz działanie na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego.

4.4.90

Nowymi wiceministrami Obrony Narodowej zostali mianowani pp. Bronisław Komorowski i Janusz Onyszkiewicz. ■ Znany tygodnik niezależny *Przegląd Wiadomości Agencyjnych* został zawieszony. Powodem tego były nieporozumienia między wydawcami.

6.4.90

Jurij Karłow został mianowany ambasadorem ZSSR przy Watykanie. ■ Zmarł w Tarnowie w wieku 71 lat arcybiskup Jerzy Ablewicz, ordynariusz diecezji tarnowskiej. ■ Kilkuset Murzynów i uchodźców arabskich, których władze szwedzkie zawróciły niedawno do Polski, ogłosiło w Świnoujściu głódówkę. Szwedzi oskarżają polskie władze, że uchodźcy ci przybyli do Szwecji z wizami fałszowanymi w Polsce (za łapówki). *Sztandar Młodych* wskazuje na polskie placówki konsularne w Bejrucie, Kuwejcie i Damaszku, oraz wymienia dwa nazwiska z Libanu. ■ Ostatnio zebrał się Komitet Obywatelski przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Wałęsa rozszerzył skład Komitetu ze 157 osób o dalsze 22 osoby, głównie z kręgów partii politycznych.

7.4.90

Zmarł w Toruniu w wieku 95 lat prof. Konrad Górski, historyk literatury polskiej, badacz i edytor twórczości Adama Mickiewicza.

10.4.90

Ambasada sowiecka w Warszawie ogłosiła, że wszyscy obcokrajowcy udający się na Litwę muszą mieć ważne wize wjazdowe. Polskie MSZ zażądało wyjaśnień i oświadczyło, że „swobodny ruch graniczny jest regulowany przez umowy międzynarodowe, które winny być przestrzegane”. W tym samym czasie polskie dowództwo Wojsk Ochrony Pogranicza poinformowało, że na prośbę strony sowieckiej wstrzymało prawo do przekraczania granicy w stosunku do obywateli polskich. Bez komentarza.

17.4.90

Jacek Balch, dr hab. z Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, literaturoznawca, został mianowany ambasadorem Polski w Czechosłowacji.

16.5.90

W dniach 16-21 maja br. odbyły się w Warszawie XXXV Międzynarodowe Targi Książki. Wzięło w nich udział 800 wydawców z 19 krajów. Na Targach było wspólne stoisko Instytutu Literackiego, Pulsu i Polonia Book Fund z Londynu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

23.12.89

• Zmarła w Szkocji w wieku 76 lat Krystyna Jadwiga Westfal, wdowa po Stanisławie Westfalu, lektorze języka polskiego na uniwersytecie w Glasgow. Kontynuowała dzieło swojego Męża, wydając szereg jego książek.

1.2.90

Rada administracyjna fundacji Jana Pawła II przekazała 25.000 dolarów na rzecz Funduszu Daru Narodowego w Polsce.

17.2.90

Zmarł w Paryżu Lech Wróblewski, żołnierz I Dywizji Grenadierów, jeniec wojenny 1940, oficer ruchu oporu P.O.W. (Monika), deportowany do obozu Dora.

16.3.90

Komitet Stypendialny im. Stanisława Lema przy Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu przyznał 5 stypendiów po 5 tys. franków pp. Markowi Gubańskiemu, Danucie Płygawko, Bogdanowi Skaradzińskiemu, Zdzisławowi Szelągowi i Marcie Wyka. Ponadto Komitet Stypendialny im. Jana Brzękowskiego przyznał cztery stypendia po 5 tys. franków pracownikom naukowym z Polski dla przeprowadzenia prac archiwalnych w Bibliotece Polskiej i na cmentarzach regionu paryskiego.

Na dorocznym zebraniu Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce wybrano nowy zarząd. Prezesem został po raz ósmy Stanisław Jordanowski, wiceprezesami: dr Magda Kapuścińska i dr Czesław Karkowski; dyrektorem wykonawczym (po raz drugi) Jerzy Prus; wicedyrektorem Janusz Cisek; skarbnikiem Władysław Jędrzych. W 1989 r. został przygotowany przez J. Prusa „Katalog prasy niezależnej z lat 1976-1989 w zbiorach Instytutu”, zawierający dokładne opisy 799 tytułów prasowych. Kierownikiem biblioteki jest od 1980 r. Jan Weiss. W 1989 r. zakatalogowano 776 nowych książek. W sumie księgozbiór specjalistyczny liczy 14.804 pozycje. Powiększyły się także zbiory archiwalne. W Instytucie pracowało w 1989 r. dziewięciu stypendystów z kraju, a obecnie jest trzech. W ub. roku wysłano do Polski książki wartości 7.500 dolarów. Dzięki ofiarności i aktywności Andrzeja i Danuty Cisków tworzy się fundusz Nagród im. Jerzego Łojka. W zeszłym roku zostały przyznane trzy nagrody, ufundowane przez pp. Kondrackich, a dotyczące najlepszych prac na temat prześladowań Polaków przez terror komunistyczny i sowiecki.

23.3.90

Zmarł w Filadelfii (USA) w wieku lat 70 prof. Bronisław S. Sadnicki, znany działacz polonijny, ekonomista, pierwszy laicki profesor ekonomii w Holy Family College w Doylestown.

1.4.90

Bogusław Sonik został mianowany dyrektorem Instytutu Polskiego w Paryżu. Ostatnio był on współpracownikiem *Głosu Katolickiego* w Paryżu.

3.4.90

W Strasburgu został otwarty konsul polski. Konsulem został mianowany Wacław Janas.

4.4.90

Król Hiszpanii, Juan Carlos, przyznał złoty medal zasługi Zofii Szleyen za osiągnięcia w propagowaniu literatury hiszpańskiej w Polsce.

5.4.90

«Kontakt TV» w Paryżu rozpoczyna regularne, cotygodniowe emisje programów (6 godzin) przygotowywanych specjalnie dla telewizji warszawskiej. Do pierwszej audycji z cyklu „Polska — Europa” został zaproszony minister do spraw współpracy gospodarczej z zagranicą, Maciej Świąćicki. W audycji tej wezmą także udział czterej dziennikarze francuscy.

6.4.90

Nagrodę „Atena”, przyznaną przez fundację im. Onassisa, otrzymała Warszawa za odbudowę miasta, całkowicie zniszczonego w wyniku II wojny światowej (nagroda wynosi 100 tys. dolarów).

10.4.90

Znany kwartalnik *Aneks*, ukazujący się w Londynie, przestał się ukazywać. Natomiast wydawnictwo książkowe *Aneksu* będzie nadal funkcjonowało.

12.4.90

Paryska oficyna wydawnicza, Editions „Spotkania”, otworzyła filię w Warszawie. W księgarni „Spotkań” przy ul. Piwnej 44 jest już do nabycia książka Tadeusza Żenczykowskiego pt. „Polska lubelska 1944”, Janusza Zawodnego „Katyń” oraz „Akwarium” Wiktora Suworowa. Mają się też ukazać przedruki wszystkich pozycji wydanych w ciągu 12-letniej działalności „Spotkań”. Ceny mają być dostosowane do warunków polskich.

17.4.90

W Kolonii (RFN) zmarł Tadeusz Folek. Od 1976 r. był na emigracji w Niemczech Zachodnich, współpracownik Deutschland Funk i Radia Wolna Europa. Był prawnikiem. Opublikował: „Prawo azylu” (1983), „Vademecum prawne cudzoziemca w RFN” (1985). Zajmował się sprawami odszkodowań niemieckich dla Polaków.

27.4.90

W Centre du Dialogue w Paryżu Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt na temat zjednoczenia Niemiec. Ponadto 4 maja br. odbył się wieczór autorski Mariana Brandysa.

28.4.90

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbyły się w Bibliotece Polskiej w Paryżu następujące odczyty: 3.4.br. Adama Tokarskiego (w języku francuskim) „W gościnie u braci Magyarów”; 23.4.br. prof. Władysława Bartoszewskiego na temat „Polska w Europie po 45 latach” i 28.4.br. dr. Jana Schulera, burmistrza miasta l'Hospital, (w języku francuskim) „Refleksje lekarza francuskiego po pobycie w Polsce”.

KRONIKA AUSTRIACKA

Wiosna ludów na Wschodzie silnie promieniuje na Austrię, co się tu objawia wzmożonym ruchem turystyczno-uchodźczym. Najpierw byli to Węgrzy, potem Polacy. W końcu — po dramatycznych scenach i protestach — władzom udało się uporać z problemem uchodźców, mniejsze powodzenie mogły jednak zarejestrować na polu „turystycznym”: przemysłnictwa i nielegalnej pracy zarobkowej. Tymczasem minister spraw zagranicznych Alois Mock wspólnie ze swym węgierskim kolegą Gyulą Hornem przeciłą kolczaste zasięki

na wspólnej granicy. Resztę umocnień zlikwidowało węgierskie wojsko i węgierscy chłopcy, niespodziewanie uszczęśliwieni możliwością bezpłatnego zaopatrzenia się w poszukiwane materiały. Ledwo powstały pierwsze dziury w żelaznej kurtynie, na Węgry zaczęły ścigać tysiące „turystów” z NRD, którzy po przybyciu na miejsce porzucali cały swój dobytek i ruszali pieszo w dalszą drogę. Po drugiej stronie witali ich winem, chlebem i solą mieszkańcy Burgenlandu. Gdy wreszcie o północy z 10 na 11 września Węgrzy otworzyli swą zachodnią granicę dla wszystkich eneradowskich uciekinierów, przez austriackie autostrady przetoczyła się kawalkada trabantów i wartburgów. Potem przez kilka tygodni panował spokój. Wydarzenia listopada w NRD i Czechosłowacji Austriacy śledzili mniej lub bardziej uważnie na ekranach telewizorów i doszli do wniosku, że skończył się czas uchodźców politycznych ze Wschodu. Kiedy więc do Austrii zaczęli uciekać bułgarscy Turcy, wiedeńskie MSW zareagowało wprowadzeniem wiz dla obywateli Bułgarii. W grudniu padła ostatnia granica; Alois Mock wspólnie z Jiřim Dienstbierem znów przecinał druty, tym razem na granicy z Czechosłowacją. Do Austrii zaczęli napływać Czesi i Słowacy, zadziwiając miejscową ludność swym zdyscyplinowaniem. W ostatnich dniach minionego roku raz jeszcze wezbrała fala międzynarodowej solidarności: dziesiątki milionów szylingów, konwoje darów, lekarstwa i krew dla walczącej Rumunii. Koniec stycznia i luty upłynęły na poznawaniu egzotycznych sąsiadów, szczególnie Czechów i Słowaków. W marcu znów zaczęli przybywać uchodźcy, tym razem z Rumunii. Ponieważ jednak tymczasem był to już kraj „wolny” i „demokratyczny”, uznani zostali nie za politycznych, lecz za „gospodarczych”. Przykład dała licząca dwieście głów gmina Kaisersteinbruch w Burgenlandzie, pod węgierską granicą, której mieszkańcy dzielnie blokowali przez kilka dni drogi dojazdowe, by nie dopuścić do osiedlenia ośmiuset Rumunów w miejscowych byłych koszarach. „Boimy się” wypisały na plakatach kobiety z tej wsi. Wygrały, a niedługo potem rząd republiki wprowadził wizy dla Rumunów. Dzień przed wejściem tego zarządzenia w życie, na wieść o dziesiątkach tysięcy Rumunów nacierających na austriackie granice, swą miejscowość zablokowali z kolei mieszkańcy Traiskirchen, gdzie mieści się centralny obóz dla uchodźców w Austrii. Wiadomość okazała się fałszywa: nikt nie był w stanie potwierdzić cytowanych wcześniej liczb, a tego dnia tylko dwa rumuńskie samochody próbowały dostać się do Traiskirchen. Na zmianę decyzji władz w kwestii wiz (i opinii społeczeństwa) nie wpłynęły też antywęgierskie pogromy w Tirgu Mures, nie licząc krótkiego okresu wahania kanclerza Franza Vranitzkiego, który zapowiedział jej ponowne rozwiązanie. Minister spraw wewnętrznych Franz Löschnak zdecydował jednak, że wydarzenia w Rumunii dotyczą wyłącznie siedmiogrodzkich Węgrów, a przecież ci mają i tak dokąd uciekać. ■ Austriacy politycy, np. minister spraw zagranicznych Alois Mock, domagają się „europejskiej solidarności” w obliczu napływu uchodźców zwanych tu „gos-

podarczymi", czy po prostu emigrantami. Reprezentujący w Wiedniu wysokiego komisarza do spraw uchodźców politycznych ONZ dr Klaus Feldman oświadczył w programie telewizji austriackiej, iż świat zawsze pomagał Austrii, gdy napływały tu kolejne fale uchodźców politycznych: w 1956, w 1968 czy też w latach 1981-82. Skoro jednak Austria odmawia uznania za uchodźców politycznych ludzi szukających dziś w niej schronienia, nie może ona liczyć na jakąkolwiek pomoc międzynarodową, stwierdził przedstawiciel Narodów Zjednoczonych. ■ Wprowadzenia wiz również dla Polaków domagają się coraz liczniejsi politycy austriaccy, ostatnio na przykład burmistrz Wiednia, Helmut Zilk. Przyczyną jest kwitnący szmugiel i czarny rynek, który stał się plagą niektórych dzielnic Wiednia, szczególnie okolic Prateru i Mexicoplatzu, skąd niedawno wygnany został na skraj miasta, na pole kampingowe przy Nabrzeżu Handlowym nad Dunajem. Jak pisze miejscowa prasa, opanowany on jest totalnie przez obywateli Polski, skąd pochodzi też znakomita część towaru. Do kupujących należą Czesi i Słowacy, ale też osiedleni w Austrii obcokrajowcy i okoliczna ludność miejscowa. Władze austriackie są bezradne wobec poczynania polskich „turystów”, nie mogąc ich ani zatrzymać na granicy, ani powstrzymać w centrum kraju. Minister spraw wewnętrznych Franz Löschnak zapowiedział „poważne rozważenie takiego kroku”, a szef wiedeńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Alois Mock wysłał do Warszawy swego przedstawiciela na rozmowy z ministrem Krzysztofem Skubiszewskim w tej sprawie. ■ Jak nieoczekiwane było otwarcie Wschodu, najlepiej świadczy pewna decyzja austriackich kolei federalnych. Otóż w ubiegłym roku sprzedały one teren, przez który biegła niegdyś linia kolejki podmiejskiej Wiedeń-Bratysława, dokładnie ostatnie osiem kilometrów przed słowacką granicą — za symboliczną cenę jednego szylinga za metr kwadratowy. Dziś gorączkowo myśli się o tym, jak ten błąd naprawić. Planowane jest ponadto wprowadzenie dodatkowych połączeń kolejowych Wiednia z Pragą, Brnem i Bratysławą. Od przyszłego sezonu ma zostać uruchomione codzienne połączenie z Krakowem: ekspres „Sobieski”. W dalszej przyszłości miałyby też pojawić się luksusowy pociąg *EuroCity* Praga-Wiedeń-Budapeszt. Problemem pozostaje jednak cena biletu, dla mieszkańców Wschodu zdecydowanie za wysoka i nie wytrzymała konkurencji z autem. ■ Władze austriackie oczekują także szeregu problemów komunikacyjnych na drogach ku Wschodowi, szczególnie w związku z planowaną wystawą światową Expo-1995, której organizację powierzono wspólnie Wiedniowi i Budapesztowi (obecnie myśli się także o włączeniu do tego przedsięwzięcia Bratysławy). Rozstrzygnięto wprawdzie spór na temat przebiegu autostrady wschodniej Wiedeń-Budapeszt, ale otwarcie Czechosłowacji stawia pod znakiem zapytania to rozwiązanie. ■ Również idea kanału Dunaj-Laba-Odra, budowy zapoczątkowanej przez Hitlera i wkrótce zaniechanej (kanał kończy się kilka kilometrów za Wiedniem), zdaje się nabierać atrakcyjności w obliczu oczekiwanego

boomu w handlu z sąsiednimi krajami. Niewątpliwie jednak poza problemami technicznymi ewentualni realizatorzy tej inwestycji będą musieli liczyć się z zastrzeżeniami natury ekologicznej. ■ Otto von Habsburg, syn ostatniego cesarza Austrii i króla Węgier Karola I (i zmarłej przed rokiem cesarzowej Zyty), będzie być może ubiegał się o urząd prezydenta Węgier. Kandydaturę byłego następcy tronu a obecnie posła do Parlamentu Europejskiego z ramienia bawarskiej CSU i przewodniczącego Unii Pancuropejskiej na to stanowisko zamierza wysunąć węgierska Partia Drobnych Posiadaczy. Sam zainteresowany nie ustosunkował się jeszcze jednoznacznie do tej propozycji. Zanim faktycznie doszłoby do takiej nominacji, rozstrzygnięte musiałyby zostać problemy związane z obywatelstwem Otto von Habsburga, legitymującego się obywatelstwem austriackim, a od roku 1978 i niemieckim. Nie jest całkiem jasne, czy wciąż jeszcze jest on obywatelem węgierskim. Według szefa sekretariatu w budapesztańskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Tibora Bálinta, były następcą węgierskiego tronu nie jest obywatelem Republiki Węgierskiej. Jak informuje wiedeński dziennik *Der Standard*, zdania tego ministerstwo nie zmieniło również po przedstawieniu przez adwokata Habsburga stosownych dokumentów. Ponadto w razie wyboru na stanowisko prezydenta Węgier Otto von Habsburg musiałby prawdopodobnie zostać pozbawiony obywatelstwa austriackiego, między innymi dlatego, że obywatelom austriackim nie wolno podejmować służby wojskowej w innym kraju (a prezydent Węgier jest jednocześnie naczelnym wodzem sił zbrojnych tego państwa). ■ W Austrii nie myśli się jeszcze poważnie o ewentualnej „restauracji” austro-węgierskiej monarchii, na przykład w formie środkowoeuropejskiej (kon)federacji. ■ Szymon Wiesenthal, kierownik wiedeńskiego ośrodka dokumentacyjnego badania zbrodni hitlerowskich, zażądał udostępnienia przez NRD archiwów w Poczdamie i w Lipsku. ■ Austriacki program pomocy dla Polski objął akcje doraźne — pomoc żywnościową czy wysyłanie lektorów języka niemieckiego — ale też działania długoplanowe, szczególnie wspieranie tworzenia przedsiębiorstw o mieszanym kapitale (*joint ventures*) w obrębie drobnego i średniego przemysłu i wielkiego rzemiosła. Miasto Wiedeń przyznało gwarancje kredytowe dla firm zainteresowanych działalnością inwestycyjną w Polsce w wysokości 1 miliarda szylingów. Podobne gwarancje przewidziane są w ramach kilkumiliardowego funduszu *Ost-West-Fond*, który ma finansować pomoc i dla innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Ponadto rozważane jest zamienienie części długu polskiego (około sześciu procent) na udziały austriackich firm w polskich przedsiębiorstwach. W tej sprawie przyjechał do Wiednia na początku grudnia ubiegłego roku wicepremier Balcerowicz. ■ Wiedeń był celem pierwszej oficjalnej wizyty zagranicznej delegacji polskiego Senatu z jego marszałkiem, prof. Andrzejem Stelmachowskim, na czele. ■ Prof. Bronisław Geremek został jednym z tegorocznych laureatów Nagrody Herdera, przyznawanej przez Fundację F.V.S., a wręczanej przez

rektora Uniwersytetu w Wiedniu. ■ Szereg osobistości gościło na trzydniowej konferencji „Przejścia do demokracji — socjaldemokratyczne drogi”, zorganizowanej wspólnie przez wiedeński Instytut Nauk o Człowieku i bońską Fundację Friedricha Eberta w dniach 2-4 lutego w stolicy Austrii, między innymi: Zbigniew Bujak, Bronisław Geremek, Jerzy Holzer, Cezary Józefiak, Jan Lityński, Karol Modzelewski, Janusz Onyszkiewicz i Aleksander Smolar. Niestety, w ostatnim czasie Instytut nie uważa za konieczne zapraszania dziennikarzy (z nielicznymi wyjątkami) na organizowane przez siebie imprezy, czy też organizowania konferencji prasowych z przynajmniej niektórymi ich uczestnikami. Bywa też i tak, jak w przypadku odczytu Adama Michnika w marcu, na który zaproszono przedstawicieli prasy austriackiej, natomiast polskich dziennikarzy *Głosu Ameryki* i *Deutschlandfunk* poinformowano, że jest to „prywatne spotkanie”. ■ Akademia Naukowa Dolnej Austrii zorganizowała w marcu sympozjum poświęcone zmianom w Europie Środkowej. Polskę miała reprezentować wyrównana ekipa w składzie: Adam Michnik i Stefan Kisielewski. Kisiel przyjechał (i wystąpił potem jeszcze na spotkaniu w Instytucie Polskim w Wiedniu) ale redaktora *Gazety Wyborczej* zastąpił nieoczekiwanie... Janusz Korwin-Mikke. Ponadto przyjechał również Jacek Bocheński, który od pewnego czasu jest coraz częstszym gościem w Austrii (kilka tygodni wcześniej reprezentował on polski PEN-Club na II Regionalnej Konferencji PEN w Wiedniu). ■ Na tegorocznym majowym festiwalu wiedeńskim *Wiener Festwochen* Andrzej Wajda przedstawi swą inscenizację *Hamleta* z Teresą Budzisz-Krzyżanowską w roli duńskiego księcia.

(amp)

Wiedeń, 28 marca 1990

KRONIKA KANADYJSKA

Fundusz Wieczysty Millenium wyasygnował w 1989 r. na różne cele, instytucje oraz organizacje polonijne ogółem \$ 142.560, podczas gdy w roku poprzedzającym — \$ 132.600. ■ Organizacjom polonijnym udzielono \$ 54.700, w tym : Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy — \$ 15.800, Związek Harcerstwa — \$ 10.000, Polski Instytut Naukowy — \$ 7.500, Zarząd Główny KPK — \$ 4.000, KPK Okręg Toronto — \$ 2.000, Ośrodek Pomocy Nowym Imigrantom oraz opieka społeczna — \$ 1.500, KPK Okręg Manitoba — \$ 1.000 na pomoc dla nowoprzybyłych. Mniejsze sumy przyznano organizacjom na szkółki polskie, grupy taneczne, muzyczne, sportowe itp. ■ Na szkolnictwo wydano ogółem: \$ 52.200, w tym: na profesurę historii Uniw. Toronto — \$ 15.000, na katedrę sławistyki Uniw. Toronto — \$ 5.000, na utrzymanie wykładów j. polskiego McMaster Uniw. Hamilton —

\$ 5.500, na lektorat polonistyki Uniw. Manitoba-Winnipeg — \$ 3.500, Zw. Nauczycielstwa Pol. — na doksztaczenie nauczycieli — \$ 3.000, Uniw. Manitoba — \$ 1.000 na zakup książek do nauki jęz. pol. Kwoty do \$ 2.500 otrzymały szkoły we wszystkich większych ośrodkach polonijnych na dopłaty dla nauczycieli, wyposażenie klas, pomoce, nagrody dla uczniów. KUL otrzymał \$ 1.000 na zakup papieru. ■ Na wydawnictwa oraz „różne” przyznano — \$ 11.860, w tym: Zw. Nauczycielstwa na publikację pracy zbiorowej *Wczoraj i dzisiaj*, podręcznika dla nauczycieli szkół polonijnych; Biblioteka Uniw. Toronto — \$ 1.500 na skatalogowanie publikacji o Solidarności, od \$ 1.000 do \$ 100 na zakup publikacji polskich wydanych w Kanadzie. ■ Indywidualne stypendia przyznano ogółem w wysokości \$ 23.800, w tym: \$ 7.000 studentom KUL-u, \$ 5.000 dla 20 studentów-harceryz prowadzących kolonie barcerskie, \$ 1.300 absolwentce pracującej nad pracą doktorską oraz po \$ 500 21 studentom uniwersytetów Toronto, Winnipeg, Edmonton, St. Catharines, Waterloo, La Salle. ■ Na profesurę historii Polski na Uniw. Toronto w/g ostatnich danych zebrano \$ 246.383, pozostaje więc do zebrania \$ 503.617. ■ Zbiórka na fundusz wyborczy do samorządów w Polsce przekroczyła \$ 40.000, a na Fundusz Mazowieckiego osiągnęła \$ 7.528. ■ Komisja Skarbu Narodowego w Kanadzie w 1989 r. użyła ogółem \$ 13.870, przekazała do Londynu \$ 13.380, w tym \$ 1.170 na Fundusz Pomocy Krajowi.

B.H.

Toronto 17.3.1990 r.

UKRAIŃSKIE INSTYTUTY NAUKOWE W KANADZIE

Studia ukraïnozawcze w Kanadzie nie ograniczają się do dwóch katedr uniwersyteckich — University of Alberta (Edmonton) i University of Toronto — jako że na kilku innych uniwersytetach, na wydziałach slawistycznych, są język i literatura ukraïńska. Kanadyjski Instytut Studiów Ukraïńskich jest niejako organem koordynującym oraz reprezentacyjnym w kontaktach zewnętrznych. Instytut posiada dział wydawniczy, publikuje prace głównie w języku angielskim, ale również w ukraïńskim.

W ubiegłym roku ukazały się dwie ważne pozycje: „Morality and Reality” — materiały z wielkiej konferencji naukowej na temat życia i działalności metropolity Szeptyckiego, która odbyła się w Toronto, i „The Ukrainian Religious Experience: Tradition and the Canadian Cultural Context”. Pierwszą pozycję wydał prof. Robert Magocsi, organizator konferencji, a drugą, na którą składa się kilka esejów, David Goa.

Wydawnictwo ma statut autonomiczny w ramach Instytutu, który wyznacza redaktora odpowiedzialnego. Jest nim obecnie Myroslaw Jurkewicz.

W sierpniu 1989 r. odbyła się w Edmontonie na uniwersytecie inauguracja Centrum Ukraïńskich Badań Historycznych, ustanowionego dzięki dotacji w wysokości \$ 1.000.000 ukraïńskiego przedsiębiorcy i finansisty, Piotra Jacyka z Toronto. Rząd prowincji dołożył \$ 2.000.000 i w ten sposób powstał nowy ośrodek badawczy poświęcony historii Ukrainy.

Ofiarodawca p. Jacyk urodził się na wsi w powiecie stryjskim, a do Kanady przybył w 1949 r. Kilka lat później był właścicielem firmy budowlanej, następnie inwestycyjnej. Jest bodajże najofiarniejszym donatorem na ukraińskie cele naukowe. I tak Centrum Ukrainoznawstwa na Uniwersytecie Harvarda otrzymało \$ 260.00, katedra Ukrainoznawstwa University of Toronto — \$ 48.000, a na projektowaną Encyklopedię Ukrainoznawstwa wyasygnował \$ 111.500.

Poważny, acz skromniejszy, jest zapis testamentarny rodzeństwa Stasiuk ze wsi w powiecie Kołomyja, przybyłych do Kanady w latach 1948-49: \$ 350.000. Dopłata rządu prowincji Alberta w wysokości \$ 700.000 wzbogaca zapis. Dochody z zapisu w najbliższych kilku latach będą przeznaczone na publikacje naukowe.

Kanadyjski Instytut Studiów Ukraińskich dysponuje i zarządza szeregiem skromniejszych zapisów, począwszy od \$ 10.000, oraz otrzymuje dotacje mniejsze, którymi wzbogaca zapisy (fundacje).

B.H.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Z ostatniej chwili

Los litewskiej demokracji

W opinii zachodniej panuje dziś już bez wyjątku przekonanie, że ogłoszona 11 marca litewska niepodległość poświęcona musi zostać dla dobra *pierestrojki*.

Drażni wytrwałość Wilna i nie tylko drażni, ale zaskakuje, zakłóca bowiem obraz stworzony wokół Gorbaczowa i wokół tak zwanego post-komunizmu. Irytuje spokój, z jakim Litwini reagują na wymierzane im przez Kreml kary — na odcięcie ropy naftowej i na ograniczenie dostaw gazu.

Czyżby Litwa myślała tylko o sobie, nie troszcząc się w ogóle o nas? Czyżby uparty, kilkumilionowy naród zdecydowany był narażać na szwank misternie odgrywane przez Kreml pozory światowej bezkonfliktowości i harmonii?

Zdumony i poirytowany Zachód udaje, że nie widzi tego o czym wszyscy wiedzą i na co wszyscy, łącznie z Niemcami, się godzą — to znaczy aktualności paktu między Hitlerem i Stalinem.

Włoski minister Spraw Zagranicznych, De Michelis, po powrocie z Moskwy zapewnił, że ZSSR nie dokonał na Litwie żadnych „pociągnięć autokratycznych”. Prezydent Bush mówi, że chciałby coś zrobić, ale nie może, bowiem runęłoby całe odprężenie: „Chciałbym, a boję się”, podobnie jak śpiewa, uwodzona przez Don Juana, służka Zerlina. Wspólnota Europejska przyrzeka zebrania i mnoży beżużyteczne akta. Parlament Europejski tchórzliwie zachęca Litwinów, by uczyli się od „Europy bez granic”, udając że nie dostrzega różnic między więzieniem narodów i narodami wolnymi, zawierającymi wolne sojusze.

Nie można również powiedzieć, żeby zachodnia opinia publiczna, wraz z jej intelektualistami, zamierzała traktować dekolonizację sowiecką podobnie jak traktowała ongiś dekolonizację europejską, zaś ruch niepodległościowy krajów bałtyckich nie porywa jej tak, jak porywało obalenie muru berlińskiego, czy okrutna rewolucja rumuńska.

Telewizja nie może dostarczać z Litwy obrazów podobnych do wypełnionych trupami i krwią filmów z Timisoara czy do procesu i stracenia Ceausescu. Przeciętny widz telewizyjny pragnie widowisk w stylu Nerona, domaga się krwawych tauromachii politycznych lub masakry *à la* Tienanmen, ziewa natomiast, widząc na ekranie telewi-

zynym walczącego o niepodległość prezydenta Vytautasa Landsbergisa. Godny, powściągliwy, nie pozwalający sobie ani przez chwilę na gestykulacje przed kamerą, na zaklinania i na litowanie się nad losem własnego narodu, lituje się on raczej nad Związkiem Sowieckim. „Przeżyliśmy sytuacje gorsze i możemy wytrwać 100 lat bez gazu i nafty”. Związek Sowiecki zapłaci zaś drogą za zdławienie Wilna: największe zło wyrządza despota sobie samemu — daje do zrozumienia Landsbergis.

Nie znaczy to jednak, że rząd litewski jest samowystarczalny. Potrzebuje on rozpaczliwie dewiz, by móc kupować naftę gdzie indziej. Potrzebuje wymiany handlowej i oficjalnego uznania. Potrzebuje poparcia demokratycznych mężów stanu lub powstania organizacji humanitarnych, które by przyszły z pomocą obłożonemu narodowi w wypadku, gdyby ci mężowie stanu trwali nadal w bezwładzie. By spełnić jednak te oczekiwania, Zachód musiałby przypomnieć sobie zapomniane cnoty, odkryć na nowo stronicę własnej historii wyrzucone do kosza lub wyśmiane.

W świecie określanym przez wszystkich jako „współzależny”, bez granic, podobnym do wieży Babel, któż wierzy jeszcze w walkę o niezależność?

To, co dziś porywa, to demokracja wypełnionych placów i referendum. A posiedzenia parlamentu litewskiego są tak prozaiczne, demokracja parlamentarna, którą Litwa uprawia w miejsce rewolucji mas, wydaje się tak nudna! Sam Landsbergis jakże wydaje się archaiczny, nie umiejący dostosować się do Nowych Czasów! Jedyne, na co zasługuje w oczach Europejczyków, to kłamstwo i zdrada. Nawet rządy krajów Europy Wschodniej robią co innego niż obiecują, przyrzekają solidarność ale nie okazują jej. Podczas gdy on, Landsbergis, jest dziwaczną postacią zachowującą wierność, w jaką wierzył Conrad. Nie kieruje się sentymentalizmem, obce są mu długie wahania i skargi. To, co się dla niego liczy, to konkretne działanie.

W gorbaczowskim Wspólnym Domu Europejskim nie ma na razie dużo miejsca dla Litwy. Zbyt jest ona odmienna. Jest krajem egzotycznym, bardziej niezależnym od reszty Europy. W przeciwieństwie do Niemiec na zachodzie i do Polski na wschodzie, Litwa nie wierzy, że los Europy zależy od rozpadającego się Sowieckiego Imperium. Niepodległość jej, między wojnami, trwała krótko, niewiele więcej niż 20 lat, podobnie jak niepodległość Polski, ale pamięć wielkiej przeszłości trwa.

Zachód chce ją opuścić. Europa Wschodnia też. Komuniści litewscy przygotowują się do usunięcia Landsbergisa. Ale pamięć pomaga w chwilach wielkiej samotności. Tak jak pomaga wytrwałość, brak roztkliwiania się nad własnym losem, arystokratyczność wewnętrzna i conradowska wierność.

Barbara SPINELLI

La Stampa, 21.04.1990

(Przekład z włoskiego Marii i Bohdana Paczowskich)

Listy do Redakcji.

Warszawa, 20.03.1990

Szanowny Panie,

W swoim tekście w *Kulturze* nr 3 znalazłem kilka przykrych błędów. W poprzednich fragmentach „Dziennika” też zdarzały się dosyć często błędy wynikłe najwyraźniej z korekty, czasami bardzo nieprzyjemne. Machałem jednak na to ręką, bo nie przywiązuję aż takiej wagi do każdego słowa. Tym razem jednak zaniepokoiłem się, bo skoro staje się to regułą w piśmie tak wysmienitym należy alarmować. Nie zwykłem swojego tekstu w druku czytać zbyt uważnie, bo go znam i śmiertelnie mnie nudzi, a czasami denerwuje. Moje uwagi dotyczą więc lektury pobieżnej.

Na str. 77 — 12 wers od góry — zamiast „na razie” powinno być „na nie”.

Na 81 str. bardzo przykry błąd — jest „pokornie” a powinno być „przekornie” (4 wers od dołu).

Na str. 88 — wers 9 od góry — powinno być „je studiować”, a nie „studiować”.

Na str. 91 — powinno być „dziennika opozycyjnego”, a nie „dziennika” (16 wers od góry).

Na str 93 (11 wers od góry) — wypadły słowa „a liczni partyjni ulegli mocy”.

W tym ostatnim przypadku mogę mieć przynajmniej nadzieję, że czytelnik domyśli się, że to nie moja nieudolność, a przypadkowa amputacja.

Składam wyrazy szacunku,

Tomasz JASTRUN
(Witold CHARLAMP)

22. marzec 1990

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie mojego krótkiego listu w Pańskim czytelnym piśmie.

Józef Mackiewicz nie żyje już od pięciu lat. Tymczasem wokół jego osoby nadal rozbrzmiewają głosy argumentujące, iż w okresie drugiej wojny światowej dopuścił się kolaboracji. Dyskusje te trwały niedawno na łamach prasy krajowej i zostały w sposób dyspozycyjny powstrzymane przez *Tygodnik Powszechny*. Również w *Kulturze* pojawił się głos Andrzeja Pomiana (*Kultura* 9/1989). Zważywszy, że jego autor należy do osób, których w tej sprawie żadna argumentacja ani fakty nie zdolają już przekonać — ośmielę

się jedynie zauważyć, iż porównywanie zmarłego pisarza z Lordem Hau-Hau czy z pisarzami zafascynowanymi okresowo faszyzmem, jak Knut Hamsun czy Ezra Pound, jest gorzej niż grubym nieporozumieniem.

Jedynym i ostatecznym wrogiem pisarza, który padł swojego czasu nfiarą politycznej prowokacji, pozostaje fałszywa legenda Armii Krajowej i jej pogrobowcy. Przyszłe pokolenia odczytają ją jako „prawdę koniunkturalnego odczytywania prawdy”.

Korzystając łaskawie z Pańskich łam, chciałbym zaapelować do Polskiego PEN-Clubu o przywrócenie dobrego imienia Józefowi Mackiewiczowi, tak jak to uczynił wobec Ferdynanda Goetla w ubiegłym roku. Takie symboliczne oświadczenie wynikałoby nie tyle z okresowej przynależności twórcy „Kontry” do tej międzynarodowej instytucji, ale byłoby przede wszystkim podyktowane sumieniem i solidarnością pisarzy polskich.

Z serdecznymi pozdrowieniami i szacunkiem głębokim —

Tomasz LENCZEWSKI

Wrocław, 17 kwietnia 1990

Właśnie przed chwilą otrzymałem kwietniowy numer *Kultury*, za którą pięknie dziękuję. W związku z korespondencją z p. Geremkiem, którą znajduję na wstępie, pozwolę sobie zakomunikować Panu Redaktorowi że o północy, z 29 na 30 marca, wystąpił w TVP niejaki Redaktor Marek Goliszewski (persona zapewne znana Panu Redaktorowi ze słyszenia) i oświadczył co następuje: „Polska nie uzna rządu Republiki Litewskiej i takie stanowisko jest wynikiem POLSKIEJ RACJI STANU. Albowiem POLSKA RACJA STANU wymaga, abyśmy popierali GORBACZOWA, PIERIESTROJKĘ i REFORMY. Nie możemy natomiast kierować się sentymentami. Dlatego Litwę popierać będziemy tylko werbalnie”.

Nie jest to dosłowny cytat, gdyż nie zdążyłem zanotować. Ale za sens ręcę. Nie wiem jakie są związki politycznego komentatora TVP z p. Geremkiem, ale podejrzewam, że jakieś są. W tej sytuacji trudno uznać list p. Geremka z 15 marca za coś innego niż szczyt hipokryzji i obłudy.

Ten fragment listu może Pan Redaktor opublikować, jeśli to Panu Redaktorowi odpowiada.

Z wyrazami szacunku i najlepszymi życzeniami

Jerzy PRYZYSTAWA

EWAKUACJA WIĘZIŃ PO 22 CZERWCA 1941 ROKU

Pracuję nad monografią na temat ewakuacji polskich więźniów i jeńców w trakcie odwrotu Armii Czerwonej z okupowanych i własnych terenów po 22 czerwca 1941 roku. W związku z tym zwracam się z prośbą do wszystkich, którzy mogliby mi pomóc w maksymalnie wiernym odtworzeniu losu Polaków i masowych zbrodni popełnionych przez Sowietów w przeciągu zaledwie kilku tygodni po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej. Prośba moja dotyczy wszelkich wiarygodnych świadectw i świadków: informacji,

relacji, dokumentów związanych z ewakuacją więzionych Polaków, m.in. w Berezowcu, Brodach, Głębokim, Berdyczowie, Szepietówce, Równym, Skniłowie, Stryju, Kirogradzie, Tarnopolu, Dubnie, Łomży, Żytomierzu, Prowieńszkach, Krzemieńcu, Lucku, Wilnie, Lwowie, Kijowie, Odessie i dziesiątkach innych miejscowości, o których wiadomo bardzo niewiele.

Adres tymczasowy w U.S.A.

Krystyna Laskowicz
20822 Western Blvd.
Hayward, CA 94541
(415) 481-2879

Adres stały:

Krystyna Laskowicz
Os. Oświecenia 105/8
61-212 Poznań, Polska

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Z.S., Francja: — Wiersz „Katyń” jest przykładem typowej twórczości amatorskiej. Nie wszystko co się rymuje zalicza się automatycznie do poezji. Istnieją inne sposoby uczczenia pamięci ofiar tej zbrodni — na przykład utworzenia funduszu stypendialnego na cele społeczne, pomoc rodzinom zamordowanych i in. Reprintu „Słowa przestrogi” Bazylego Padolińskiego z roku 1848 nie widzimy sensu przedrukowywać raz jeszcze, na naszych łamach. Nie wszystko co stare zasługuje na uwagę. Mętny to wywód i bełkotliwy.

K.P., New York: — Opowiadanie „Jak senny jest świt” jest w miarę sprawnie napisanym utworem z dziedziny tzw. psychopatologii społecznej. Odnacza się jednak rozwlekłością i zbyttno sentymentalnym skoncentrowaniem się na postaci narratora-bohatera, rzecz jasna bezwolnej ofierze okrutnego ojca. Tekst wymaga daleko większej destylacji i zdystansowania się do postaci centralnej, która zresztą budzi zdecydowaną awersję. Radzimy studiować z ołówkiem opowiadania mistrzów tego gatunku.

R.C., Kraków: — Pisanie tekstów w słupku nie oznacza jeszcze tworzenia poezji. Nadesłane utwory zdradzają tendencję do automatycznego zapisywania strzępów refleksji natury ogólnej, z odpowiednią dozą patosu. Z latami taka potrzeba na ogół przechodzi.

H.S., USA: — Pana opowiadanie filozoficzne „W krainie demonów” świadczy o tym, że należy Pan do autorów upajających się swoim stylem i obdarzonych dużą łatwością pisania. Tekst zdradza też skłonność do infantylnego spojrzenia na rzeczywistość. W gruncie rzeczy ów pamflet jest próbą zemsty ucznia (studenta) na nauczycielach. Napisany nadszwyczał sztucznym i wyszukany stylem, ma na nasz gust zbyt wielu ojców literackich.

Z.C., Warszawa: — Pani relacja-wspomnienie z lat terroru stalinowskiego jest z pewnością świadectwem traumatycznego doświadczenia z młodości. Nie wątpimy w wartość tego tekstu jako dokumentu. Natomiast ocena w kategoriach czysto literackich nie jest już tak jednoznaczna. Gdy po tyln latach wraca się pamięcią do tamtych wydarzeń, zalecane jest chłodne oko, opisywanie siebie i swoich najbliższych tak jak by się opisywało obce osoby. Kiedy autor sam sobie współczuje, nie wciąga do współczucia czytelników.

Polak, San Francisco: — Nie drukujemy anonimów.

POLEMIKI	
Jarosław Klejnocki:	"Trzy oddechy literatury emigracyjnej"— krytyka 141
Stanisław Beres:	Odpowiadam na zarzuty 142
•	
—	Wydarzenia miesiąca, Kronika austriacka, Kronika kanadyjska, Ukraińskie Instytuty Naukowe w Kanadzie 145
Z OSTATNIEJ CHWILI	
Barbara Spinelli:	Los litewskiej demokracji 155
•	
T. Jastrun (W. Charlamp), T. Lenczewski, J. Przy- stawa:	Listy do Redakcji 157
K. Laskowicz:	Ewakuacja więźniów po 22 czerwca 1941 roku 158
—	Odpowiedzi Redakcji 159

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2737-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
 FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1990			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 10,00	\$A. 60,00	\$A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B.L. Wissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176	F1h 20,00	F1h 95,00	F1h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel- Aviv, P.O.B. 25443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4, Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkow- owiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$can. 10,00	\$can. 50,00	\$can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tysdko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wassung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalkskärgatan 3/IV, 11533 Stock- holm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kociuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLO- NIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327- 5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$US 7,50	\$US 40,00	\$US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. Z7. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 458 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera opracowania: J. Trznadel: *Stan wojenny (czas generała)*; B. Druker: *Dwie rewolucje*; J. Ciechanowski: *Przystąpienie Anglii do wojny*; H. Godulski: *Na Zaolziu (1 maja 1945 — marzec 1947)*; Agata Tuszyńska: *Modlitewnik „na polskom jazykie”*; A. Suchcitz: *Sprawa nadania gen. Komorowskiemu Krzyża Komandorskiego orderu Virtuti Militari*; J. Kuropieska: *Jak kandydowałem na senatora*; K. Watanabe: *Notatka z rozmów z płk. dypl. Antonim Sanojcą, szefem I Oddziału KG AK*; M. Komar, K. Lang: *Myśmy już o tym mówili, proszę pana (wywiad z płk. Antonim Skulbaszewskim)*; *Jak Stalin rozpętał wojnę domową w Polsce w 1944 r.*; *Obóz koncentracyjny w Łambinowicach 1945-1946*; P. Wandycz: *In memoriam*; P. Wandycz: *Nowe książki*; R. Bubnicki: *Duch Orwella*; J. Korczak: *W kręgu legendy Rydza-Śmigłego*; T. Wyrwa: *Francuska misja wojskowa w Polsce w latach 1919-1932*; *Zb. Brzeziński o wizycie w Moskwie i Katyniu*; A. Skarbek: *Mój udział w wypadkach majowych 1926 r.*; N. Kozłowska: *Zakończenie batalii Aleksandra Tipta o honor żołnierzy polskich spod Monte Cassino oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

Cena